SEMKA O KRYZYSIE POLSKO-AMERYKAŃSKIM

Czy uda się nam wydostać z pułapki, w którą wpadliśmy?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 11/264 12–18 MARCA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Bronimy honoru Brygady Świętokrzyskiej

Jak silna jest dziś francuska masoneria

TAJEMNICE MAJĄTKU KWAŚNIEWSKICH

Potężne śledztwo – prokuratura ma nowe tropy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 11 >

Nakład: 96,5 tys. egzemplarzy

caritas POLSKA

Czasami życie zależy od rzeczy... 1%

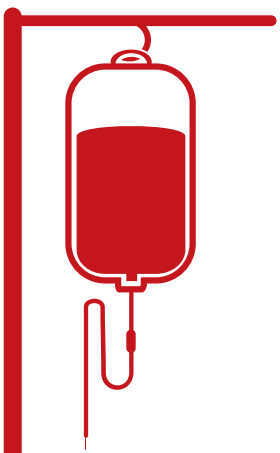

Wpłacając 1% dla Caritas Polska – **KRS 0000198645**, wspierasz zakup specjalistycznego, kosztownego sprzętu nierefundowanego przez NFZ, który będzie dostępny dla wszystkich potrzebujących pomocy w 114 wypożyczalniach Caritas na terenie całej Polski.

jedenprocent.caritas.pl

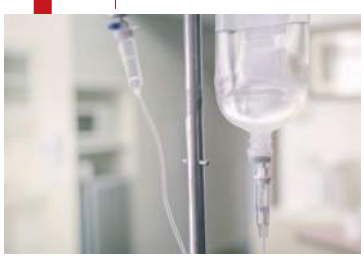

Przekaż 1% podatku dla Caritas Polska. Wpisz w formularzu PIT numer **KRS 0000198645**

eprasa.pl fd2222a256

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W pułapce

Po ostatnim moim komentarzu w sprawie napięcia (wojny, konfliktu?) między Polską a Izraelem postanowiłem, że już o tym pisać nie będę. Przykro to powiedzieć, ale liczba błędów popełnionych przez polską stronę w tej rozgrywce jest tak duża, że trudno zachować zimną krew. Szczególnie jeśli wspiera się główne cele, jakimi są dla Polaków walka z fałszywymi stereotypami i obrona dobrego imienia przed zarzutami o współudział w Holokauście. Jednak cóż, trudno nie komentować najważniejszych faktów. Wszystko rozgrywa się jak w złym śnie. Tyle że, co różni rzeczywistość od snu, w przypadku tej pierwszej można było przewidzieć konsekwencje. W oczywisty sposób obecna sytuacja – znowelizowana ustawa o IPN obowiązuje, ale przedstawiciele rządu robią wrażenie, że jej nie ma – jest skrajnie niebezpieczna.

Jeśli do tej pory cały czas używano mocnej, godnościowej retoryki, to trudno się teraz z niej wycofać z powodów pragmatycznych

Polityczne powody zachowania PiS łatwo zrozumieć. Nawet jeśli niektórzy przynajmniej politycy musieli dostrzec własny błąd, to stali się teraz zakładnikami większości społeczeństwa, które w wycofaniu się z ustawy będzie widzieć, i słusznie, utratę twarzy. Jeśli do tej pory cały czas używano mocnej, godnościowej retoryki, to trudno się teraz z niej wycofać z powodów pragmatycznych. Czy są inne wyjścia?

Rozwiązanie pierwsze to przeczekanie. Wiara w to, że za kilka tygodni, kilka miesięcy sprawa ucichnie. Trybunał Konstytucyjny wyda odpowiednią interpretację, zgodną z oczekiwaniami strony żydowskiej, i będzie po wszystkim. Wilk syty i owca cała. Ten scenariusz wydaje mi się z różnych powodów mało prawdopodobny.

Po pierwsze, może być tak, że ani Izrael, ani USA taką interpretacją już się nie zaspokoją. A co będzie w sytuacji, w której Trybunał dokona interpretacji, a presja na usunięcie artykułu ustawy pozostanie? Po drugie, zanim Trybunał cokolwiek orzeknie, upłynie co najmniej kilka miesięcy. Nacisk na Polskę w tym czasie, obawiam się, nie zelżeje. Informacja Onetu, nawet jeśli portal posunął się za daleko i podkręcił przekaz, wspominając niepotrzebnie o sankcjach USA na Polskę, co do zasady jest wiarygodna.

Liczyć na przeczekanie to liczyć na spokojny czas. Obawiam się jednak, że w najbliższym czasie może dochodzić do różnych prowokacji. A to jakiś kolejny Amerykanin napisze obrzydliwy antypolski paszkwil, a to zrobi to obywatel Izraela. Albo, odwrotna sytuacja, jakiś osiłek lub inny samozwańczy obrońca Polski przed spiskiem żydowskim dokona głupiej demonstracji. Każda taka sytuacja natychmiast wywoła falę antypolskich ataków medialnych. A co, jeśli faktycznie jakaś grupa kongresmenów złoży poprawkę do ustawy, uzależniając finansowanie amerykańskiej obecności wojskowej w Polsce od zmiany treści nowelizacji IPN?

Wskutek kolejnych posunięć – najpierw nowelizacja przyjęta przez Sejm, potem natychmiastowe głosowanie w Senacie i szybki podpis prezydenta – znaleźliśmy się w pułapce. Na razie rząd usiłuje robić dobrą minę do złej gry. Najpierw do Izraela pojechała tłumaczyć się polska delegacja – wyraźny przykład pokazujący, kto w tej grze jest silniejszy. Skutki rozmów jednak są mizerne. Później rząd ogłasza powołanie Muzeum Getta. Rzecz być może zbożna, jednak w tym momencie robi wrażenie, jakby było to działanie pod presją i próba wkupienia się w łaski środowisk żydowskich. Łatwo sobie wyobrazić, że w ten sposób za pieniądze polskich podatników powstanie kolejny silny ośrodek holokaustianizmu. Wreszcie jednego dnia premier Mateusz Morawiecki mówi o wydarzeniach Marca 1968 r., słusznie, że „tamto państwo nie było państwem niepodległym i suwerennym. Było uzależnione od innego mocarstwa", i obwinia za kampanię antysemicką komunistyczne władze, następnego dnia prezydent Andrzej Duda prosi, nie potrafię tego zrozumieć, o wybaczenie „Rzeczpospolitej, Polakom i ówczesnej Polsce". Czyli że to ówczesna Polska i Polacy wygnali Żydów? W sensie politycznym te ruchy można odczytywać jako przejaw słabości i nerwowości. Tak jakby polscy politycy na gwałt próbowali uładzić i uspokoić środowiska żydowskie. Tyle że im więcej takich oznak kapitulacji, tym nacisk będzie rósł.

Co zrobią zatem władze w Warszawie? Są tylko dwie możliwości, przynajmniej teoretycznie. Jedna to reorientacja polskiej polityki zagranicznej. Szukanie innych sojuszników, większy dystans do USA. Jednak nic nie wskazuje na to, żeby w obozie rządzącym ktokolwiek brał to pod uwagę. Dlatego pozostaje druga: utrzymanie zasady – jak to potwierdzał wiele razy PiS – że dobre relacje z USA są filarem polityki bezpieczeństwa. A skoro tak, to zmiana treści ustawy pod wpływem ultimatum amerykańskiego jest kwestią czasu. I znowu: im dłużej przed jej przeprowadzeniem będzie się wzbraniał rząd, tym więcej będzie to Polskę kosztować. Kolejnych gestów, funduszy i upokorzeń.

Chyba że przesadzam i nie doceniam pozycji oraz siły Polski. Tak, chciałbym się mylić. ©℗

eprasa.pl fd2222a256

TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ŚLEDCZY NA TROPIE KWAŚNIEWSKICH
Wraca sprawa willi w Kazimierzu

20 MARCIN MAKOWSKI
KWAŚNIEWSKI W KRĘGU ZAINTERESOWANIA ŚLEDCZYCH

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
WYCIĄGNĄĆ WÓZ Z GRZĘZAWISKA
Zażegnać kryzys polsko-amerykański

26 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM
POLSKA NIE JEST CZARNĄ OWCĄ W UNIJNEJ RODZINIE

30 KAMILA BARANOWSKA
BITWA WARSZAWSKA

34 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SPÓR O SĘDZIÓW

36 ŁUKASZ WARZECHA
BIZANCJUM NA PENSYJCE

38 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ANTYSEMITYZM, PROBLEM PRAKTYCZNY

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KLĄTWA OKŁADKOWA?

KULTURA

42 JOANNA LICHOCKA
NIEMIECKIE LITERKI SZULCÓW
Korzenie Jarosława Marka Rymkiewicza

46 PIOTR GOCIEK
PIKNIK PRZED ZAGŁADĄ

48 ANDRZEJ HORUBAŁA
NICOWANIE MITU – TAKIEGO KSIĘDZA KACZKOWSKIEGO NIE ZNALIŚMY

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 STEFAN SĘKOWSKI
CZAS WYLECZYĆ WETERANOZĘ
Legendy nie mają monopolu na rację

58 TOMASZ TELUK
JEROZOLIMA – STOLICA ŚWIATA

60 KAMIL TRZECIAKIEWICZ
BOLESNY SERIAL

HISTORIA

62 PIOTR ZYCHOWICZ
REALIŚCI Z NSZ
W obronie Brygady Świętokrzyskiej

66 JACEK KOMUDA
GABINET OSOBLIWEJ GROZY

70 PIOTR SEMKA
BEJT ALMIN, CZYLI DOM WIECZNOŚCI

ŚWIAT

72 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZMĘCZONY NIEDŹWIEDŹ
Czy Rosji opłaca się podbój?

74 OLIVIER BAULT
FRANCUSKA REPUBLIKA MASOŃSKA

78 ROZMOWA Z MARIONEM SMITHEM
ŚWIAT POTRZEBUJE MUZEUM KOMUNIZMU

EKONOMIA

80 TOMASZ WRÓBLEWSKI
WOJNA, NA KTÓRĄ CZEKA ŚWIAT
Nowy rozdział w dziejach wolności rynkowych?

84 ŁUKASZ ZBORALSKI
POLACY SIĘ BOGACĄ

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
RAK PŁUCA CZEKA NA NOWE TERAPIE
Szansa dla chorych

STYL

92 JOANNA BOJAŃCZYK
TRZY RĘKAWY, CZYLI „UGGLY"
Moda na skraju przepaści?

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (69), KOWALCZUK (77), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (94), TYRMAND (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl fd2222a256

Prezentowane produkty i usługi dostępne są na wybranych stacjach ORLEN.

KAWA na mieście?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl fd2222a256

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu listy w sprawach już przez Państwa poruszanych w tej rubryce; najwidoczniej są tematy, które żyją dłużej niż tydzień.

„Trójka jak Sejm kontraktowy"

Jako wieloletni słuchacz radiowej Trójki czuję się w obowiązku stanąć w obronie mojej ulubionej stacji. Nie rozumiem, czym kieruje się pan redaktor Pospieszalski, formułując zarzuty o braku polskich artystów w Trójce („Do Rzeczy", 7 i 9/2018). Już sam pomysł, żeby ustawowo regulować procentową obecność polskiej muzyki w radiu, uważam za idiotyczny. Jeśli miałoby to być jakieś kryterium oceny, to najwyżej cenioną stacją w Polsce zostałaby rozgłośnia grająca disco polo. Dla mnie nie jest istotne, ile kawałków polskich usłyszę w radiu, tylko jakiej jakości są to kawałki. I to właśnie w Trójce można usłyszeć dużo świetnej, niekomercyjnej, alternatywnej wobec mainstreamu muzyki. Moja muzyczna wrażliwość została ukształtowana już lata temu dzięki audycjom Tomasza Beksińskiego czy później Piotra Stelmacha. I mógłbym wymienić dziesiątki polskich wykonawców, których dzięki nim odkryłem i doceniłem. Nie obchodzą mnie statystyki, być może Wiktor Świetlik ma rację i wymóg 30 proc. jest spełniony, dla mnie liczy się to, że jadąc rano do pracy, mogę być czasem mile zaskoczony, słysząc starego, dobrego Dezertera. Za to właśnie cenię Trójkę i pozostaję wierny.

Pozdrawiam serdecznie
Łukasz Wojtas

„Decentralizacja Kościoła katolickiego"

Niestety nie mogę się zgodzić z księdzem Andrzejem Kobylińskim i jego opiniami zawartymi w jego tekście o Kościele („Do Rzeczy", 9/2018). Pisze ksiądz, że nie ma w katolicyzmie słowiańskim odpowiedniej siły moralnej i filozoficznej atrakcyjnej dla mieszkańców zachodniej Europy. Wystarczy spojrzeć na niedawną akcję „Różaniec do Granic", na zachwyt, jaki wywołała w wielu zachodnich mediach, by zauważyć, jak błędna jest ta opinia. Czy według takiego podejścia mamy „odpuścić", bo jesteśmy za słabi? Czy w dzisiejszych czasach katolik może sobie pozwolić na rezygnację z drogi ewangelizacji? W dobie zagrożenia islamem i laickością Zachodu musimy walczyć nie tylko o to, by w Polsce pielęgnować siłę naszej wiary i Kościoła katolickiego, lecz także o to, żebyśmy byli przykładem i drogowskazem dla Europy Zachodniej. „Kościołem milczenia" będziemy, jeżeli uznamy, że jesteśmy słabi i że nasza wiara nie może nic zmienić.

Pozdrawiam
Piotr Kryger

„Ustawa o IPN była potrzebna"

Kompletnie nie zgadzam się z panią Anną Marią Anders w jej diagnozie obecnej sytuacji („Do Rzeczy", 10/2018). Twierdzę, że uchwalenie ustawy o IPN to koszmarny błąd polskiego obozu rządzącego, a późniejsze niefortunne zachowanie Mateusza Morawieckiego w Monachium to znak kompletnej amatorszczyzny i braku umiejętności działania w sytuacji kryzysowej. Konflikt polsko-żydowski to najlepszy prezent, jaki PiS mógł sprawić opozycji na 50-lecie wydarzeń marcowych. Porównywanie Jarosława Kaczyńskiego do Gomułki, choć przecież mało sensowne, wziąwszy pod uwagę jego formację żoliborskiego inteligenta, staje się bardzo wygodnym propagandowym łomem. A wszystko przez brak umiejętności dyplomatycznych i zadufanie ludzi, którzy wzięli się do fundowania nam narodowej krzepy.

Maciej Wiśniewski

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Rafał Siderski/FORUM; Jakub Walasek/REPORTER; Wojciech Pacewicz/PAP**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 96,5 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl fd2222a256

UNIA CHWALI POLSKĘ ZA GOSPODARKĘ

Komisja Europejska opublikowała raporty, które oceniają stan gospodarek krajów członkowskich Unii Europejskiej. I choć wcześniej w Brukseli pojawiały się wątpliwości co do gospodarczych posunięć polskiego rządu, to teraz Komisja docenia Polskę.

Zdaniem Komisji Europejskiej polska gospodarka rozwija się solidnie. Unijni urzędnicy zauważają, że motorem wzrostu jest popyt krajowy, a zwłaszcza wzrost konsumpcji wśród prywatnych osób. Według KE ten wzrost konsumpcji był widoczny zwłaszcza w roku 2016 i 2017 (to także rok, w którym tempo bogacenia się Polaków było jednym z najwyższych na świecie – patrz tekst na stronie 84).

Prognozy stawiane przez Komisję Europejską też są dla polskiej gospodarki pozytywne. KE spodziewa się, że nasz PKB będzie wynosił 4,2 proc. w tym roku oraz 3,9 proc. w roku 2019 – i będą to jedne z najwyższych wskaźników w Unii Europejskiej. Dzięki wzrostowi płac konsumpcja prywatna ma się utrzymać na wysokim poziomie, choć jej wzrost nie będzie już tak szybki jak w roku ubiegłym.

KE zauważyła pozytywne efekty uszczelniania systemu podatkowego – poprawę ściągalności podatku VAT.

Unijni urzędnicy wytykają jednak Polsce bariery związane m.in. z ograniczonym dostępem do długoterminowej opieki nad dziećmi. Zwracają też uwagę, że istnieje ryzyko dotyczące naruszenia praworządności. ***(luz)*** ©℗

Nawałka znów zaskoczył. Kto zagra z Nigerią i Koreą?

FOT. ANDRZEJ LANGE/SE/EAST NEWS

Selekcjoner reprezentacji Polski powołał 22 zawodników z lig zagranicznych ma mecze towarzyskie z Nigerią na stadionie we Wrocławiu (23 marca, 20.45) i Koreą Południową na Stadionie Śląskim w Chorzowie (27 marca, 20.45).

Adam Nawałka znów zaskoczył. Jak informuje Polski Związek Piłki Nożnej w kadrze Biało-Czerwonych nie znalazło się bowiem miejsce dla 97-krotnego reprezentanta Polski, byłego kapitana Jakuba Błaszczykowskiego, który dopiero niedawno wznowił treningi po kontuzji pleców. Do kadry po kontuzji powrócił za to napastnik z włoskiego klubu SSC Napoli Arkadiusz Milik.

Pierwsze powołania do dorosłej reprezentacji dostali 30-letni Bartosz Białkowski, bramkarz Ipswich Town, oraz 23-letni Paweł Jaroszyński – lewy obrońca Chievo Werona. Powołania z Ekstraklasy mają zostać ogłoszone w piątek 16 marca.

Kolejne mecze naszej reprezentacji mają istotne znaczenie. 8 czerwca w Poznaniu rywalem Biało-Czerwonych będzie Chile, a 12 czerwca nasi zagrają w Warszawie z Litwą. Następnego dnia kadra Nawałki wyleci już do swojej mundialowej bazy w Soczi, czyli do stojącego nieopodal brzegu Morza Czarnego pięciogwiazdkowego hotelu Hyatt Regency.

Mistrzostwa świata w Rosji odbędą się od 14 czerwca do 15 lipca. Nasi piłkarze zagrają w grupie H z Senegalem (19 czerwca), Kolumbią (24 czerwca) oraz z Japonią (28 czerwca). Polska powróciła na mistrzostwa świata po 12 latach przerwy. ***(jap)*** ©℗

„DO RZECZY" NAJCZĘŚCIEJ CYTOWANE

W styczniu 2018 r. nasz tygodnik zajął pierwsze miejsce wśród najczęściej cytowanych tygodników ogólnopolskich – wynika z analizy przeprowadzonej przez firmę Newton Media.

Na „Do Rzeczy" powoływano się aż 85 razy. Drugie miejsce wśród tygodników ogólnopolskich zajął „Tygodnik Powszechny" (55), a trzecie „Newsweek Polska" (44).

Wśród dzienników na pierwszym miejscu zestawienia znalazła się „Gazeta Wyborcza", na którą powoływano się 152 razy. Druga pod względem liczby cytowań była „Rzeczpospolita" (145). Trzecie miejsce zajął zaś „Przegląd Sportowy" (120). ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl fd2222a256

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Awantury gdańskie

Jestem z urodzenia gdańszczaninem. Nic dziwnego, że co rusz zaglądam do miasta nad Motławą i lubię obserwować, co się dzieje w tamtejszej polityce.

Gdańsk – jak wiadomo – żyje już jesiennymi wyborami samorządowymi. Sypią się jak z rękawa kandydaci na nowego prezydenta miasta. Swój start ogłosił dotychczasowy włodarz grodu Paweł Adamowicz, tym razem jako niezależny kandydat. Wyzwanie chce mu rzucić Jarosław Wałęsa, europoseł PO. Nowoczesna już wystawiła feministkę z Kongresu – Ewę Lieder. A co na to PiS? Ano nic. Oficjalny kandydat nie został jednak jeszcze ogłoszony, bo ponoć prezes się waha.

Za to gdański PiS już zaczął się martwić o medialne wsparcie kampanii. Na fali tych przygotowań miejscowi działacze, z Januszem Śniadkiem na czele, doszli do wniosku, że lokalna rozgłośnia – Radio Gdańsk – jest zbyt mało bojowa, i doprowadzili do dymisji Andrzeja Liberadzkiego, dotychczasowego szefa radia i dziennikarza z dziesiątkami lat praktyki, hen jeszcze od tygodnika „Czas" i podziemnej prasy Regionu Gdańskiego NSZZ „Solidarność". Dymisja formalnie była dobrowolna, ale faktycznie – wymuszona.

Liberadzki został szefem rozgłośni w marcu 2016 r. W ciągu dwóch lat zbudował niezłe radio środka, nie antagonizując zespołu, jednocześnie otwierając je na prawą stronę gdańskiej opinii publicznej. A jednak ktoś w gdańskim PiS uznał, że na czas kampanii samorządowej to za mało i za słabo.

Szybko się okazało, że siły i pomysłu lokalnym działaczom starczyło tylko na usunięcie Liberadzkiego. Bo Śniadek i jego koledzy żadnego dobrego kandydata w zapasie nie mieli.

Ostatecznie miejscowy PiS wystawił do konkursu organizowanego przez Radę Mediów Narodowych Grzegorza Sielatyckiego, dotychczasowego pracownika lokalnej TVP. W gdańskim ośrodku regionalnym telewizji pracował w wydziale ekonomiczno-administracyjnym, a wcześniej w reklamie, promocji i marketingu. Jedyny jego związek z gdańską rozgłośnią polegał na tym, że w latach 2008–2009 był członkiem rady programowej radia. Od 2002 do 2006 r. był radnym miasta Gdańska z ramienia Ligi Polskich Rodzin i byłym członkiem rady naczelnej Młodzieży Wszechpolskiej. Rada Mediów Narodowych wybrała go 27 lutego na nowego szefa Radia Gdańsk, po czym niemal natychmiast, jeszcze tego samego dnia, złożył dymisję. Dlaczego? Można tylko się domyślać, że zaważyć mogły jakieś jego skrajne teksty z czasów, gdy Sielatycki pisywał do pism wszechpolaków z kręgów LPR. Miejscowe media szybko zaczęły kpić z prezesa, który pełnił funkcję zaledwie parę godzin.

Rozgłośnią tymczasowo kieruje Dariusz Wasielewski, były rzecznik prasowy Solidarności, obecny dyrektor ds. operacyjnych Radia Gdańsk. Nowego kandydata wciąż nie ma.

Liberadzki zdobył szacunek zespołu i żegnany był bardzo ciepło. Lepszego kandydata od niego na razie nie znaleziono. Jednak dla lokalnego PiS nie kojarzył się ze skutecznością. Tak się dzieje, gdy ktoś wierzy, że ręcznie sterowane radio to cudowna maszynka do wygrywania wyborów. ©℗

FOT. BEN STANSALL/AFP/EAST NEWS

SZPIEG OTRUTY JAK LITWINIENKO

66-letni Siergiej Skripal, były pułkownik rosyjskiego wywiadu wojskowego, oraz jego 33-letnia córka Julia zostali otruci w Wielkiej Brytanii. Skripal w 2006 r. został skazany za przekazywanie Brytyjczykom danych na temat agentów Rosji w Europie. W 2010 r. wymieniono go na jednego ze szpiegów złapanych przez FBI. Pod zmienioną tożsamością Skripal zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Jego śmierć przypomina sprawę byłego agenta KGB Aleksandra Litwinienki, otrutego w 2006 r. w Londynie za pomocą polonu. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl fd2222a256

Wybuch zazdrości

FOT. PAWEŁ RYBA/REUTERS/FORUM

Brutalne morderstwo i wybuch w kamienicy w Poznaniu to najprawdopodobniej efekt chorobliwej zazdrości

Kiedy mieszkańcy kamienicy przy ul. 28 Czerwca 1956 kładli się sobotniej nocy spać, w jednym z mieszkań na parterze rozgrywała się tragedia, której skutkiem było zawalenie się budynku i śmierć postronnych osób. W niedzielny poranek 4 marca, gdy większość lokatorów kamienicy była jeszcze w łóżkach, doszło do eksplozji.

– Obudził mnie potworny huk. Momentalnie się ubrałem w to, co było pod ręką, i rzuciłem się w stronę drzwi od pokoju – relacjonuje dla „Do Rzeczy" jeden z mieszkańców kamienicy. W kuchni zastał zdezorientowanych rodziców. Kazał im natychmiast uciekać. – Zabrałem to, co było pod ręką, i wybiegłem na klatkę schodową, gdzie było gęsto od dymu. Tam zobaczyłem sąsiadów. Wszyscy byli przestraszeni, nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Wtedy zauważyłem, że nie ma przedniej ściany na klatce schodowej, ludzie z dołu krzyczeli, żeby uciekać. Sąsiadka błagała, żeby ratować jej syna, ale gdy otworzyłem drzwi od ich mieszkania, okazało się, że w ogóle nie ma tej części kamienicy, a drzwi prowadzą teraz donikąd. Przedostaliśmy się więc na dół, a potem na zewnątrz, gdzie udzielono nam pomocy – relacjonuje.

W rumowisku znaleziono pięć ciał: trzech kobiet i dwóch mężczyzn, a 21 osób zostało rannych.

To, co początkowo brano za katastrofę budowlaną lub nieszczęśliwy wypadek, okazało się tuszowaniem zbrodni. Służby ustaliły to po wydobyciu z gruzów zwłok Beaty J., kobiety mieszkającej na parterze i prowadzącej salon kosmetyczny. Prokuratura przyznała, że przed wybuchem gazu doszło do morderstwa. – Na ciele jednej z ofiar są ślady świadczące o działaniu osób trzecich i w związku z tym bierzemy pod uwagę hipotezę, że zawalenie się budowli było wynikiem celowego działania mającego na celu ukrycie innego przestępstwa – mówi „Do Rzeczy" Magdalena Mazur-Prus, rzeczniczka prasowa Prokuratury Okręgowej w Poznaniu.

Beata J. mogła zostać zamordowana przez męża. I to w sposób niezwykle brutalny. Obrażenia, które miał jej zadać sprawca, aż trudno opisywać, zwłaszcza że kobieta osierociła syna. Powodem morderstwa miała być zazdrość o innego mężczyznę.

Beacie i Tomaszowi J. nie układało się od dość dawna. Jak relacjonowali sąsiedzi, do których dotarł „Głos Wielkopolski", mężczyzna pracował w Anglii. Gdy wrócił do domu przed świętami Bożego Narodzenia, Beata J. poinformowała go, że to już koniec, że chce rozwodu. Związek ostatecznie pogrzebał wypadek samochodowy, do którego doszło 1 stycznia tego roku. Tomasz J. jechał wtedy z ich synem. Beata J. miała do męża o to pretensje. Dziecko do dziś przebywa w szpitalach, przechodzi rehabilitację. Być może tylko dzięki temu jeszcze żyje.

– Nigdy nie słyszałam, żeby w domu dochodziło do głośnych kłótni czy przemocy. Pan Tomasz nigdy nie sprawiał wrażenia miłego człowieka, ale zawsze sądziłam, że stanowią dobrą rodzinę. Teraz sama nie wiem, co mam myśleć – mówi nam jedna z sąsiadek rodziny.

Tomasz J. odwiedził swoją żonę w sobotę. Scenariusz tragicznego wieczora stara się odtworzyć prokuratura. Być może doszło między nimi do kłótni, a może Tomasz J. przyszedł z zamiarem zabójstwa. Niemal pewne jest, że w niedzielny poranek odkręcił gaz. Dlaczego doprowadził do wybuchu kamienicy? Tego jeszcze nie wiadomo, bo sprawca sam został bardzo ciężko ranny i przebywa w szpitalu. Hipotez jest kilka. Pierwsza z nich zakłada, że wysadzenie kamienicy miało zatuszować dokonanie zbrodni. Być może rozkręcony gaz wybuchł zbyt szybko, a może ktoś zaskoczył mordercę w mieszkaniu (niektóre media podają informację, że do mieszkania przyjechali znajomi Beaty J., którzy mieli zaopiekować się psem podczas zaplanowanego na niedzielę wyjazdu kobiety). Być może mężczyzna chciał popełnić samobójstwo, a może wysadzenie kamienicy to po prostu kolejny etap chorej zemsty zazdrosnego małżonka.

Po wybuchu 32 osoby zamieszkały w hotelu na koszt miasta Poznania, a cztery przebywają w szpitalu. Poszkodowani otrzymali doraźną pomoc finansową od miasta oraz wsparcie od mieszkańców Poznania i Kościoła. Wiceprezydent Poznania Mariusz Wiśniewski zapewnia, że na tym pomoc urzędu się nie skończy. – Już dwie rodziny mają zaproponowane mieszkania komunalne. W pozostałych przypadkach będziemy rozpoznawać sytuację rodzin i w zależności od sytuacji będziemy proponować mieszkania socjalne, komunalne czy TBS-owskie. Będziemy też mogli pomóc poszukać przez biuro najmu mieszkań z opcją dopłaty do czynszu przez pewien czas. Jest zbyt wcześnie, by o wszystkim rozstrzygać, bo sytuacja wymaga precyzyjnej, roztropnej pracy, a także podejścia z sercem do poszkodowanych. Z jednej strony musimy działać zgodnie z prawem, a z drugiej czuć aspekt społeczny. Na pewno nikogo nie zostawimy bez pomocy – deklaruje wiceprezydent. ©℗

Radosław Wojtas

eprasa.pl fd2222a256

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nie trzeba Żyda

Rzadko zgadzam się z Konstantym Gebertem… Prawdę mówiąc, chyba jeszcze mi się nie zdarzyło. Jednak ostatnio powiedział w Radiu TOK FM, że wszystkie te emocje, jakie wybuchły (czy może lepiej powiedzieć: wybiły) w związku z nowelizacją ustawy o IPN, to nie żadna wojna „polsko-żydowska", tylko „polsko-polska". Został za to schlastany w „prawicowym" Internecie, głownie zresztą argumentami ad personam – a zupełnie niesłusznie.

W przypisywaniu Polakom współodpowiedzialności za Holokaust prym wiodą media polskojęzyczne

Prawda jest bowiem taka, że w przypisywaniu Polakom współodpowiedzialności za Holokaust, w kolekcjonowaniu i nagłaśnianiu przykładów „polskiego antysemityzmu", choćby najbardziej naciąganych, prym wiodą nie media żydowskie, ale polskojęzyczne – TVN, „Wyborcza", „Newsweek" i im podobne. W „Jerusalem Post", nawet w „Haaretz", oprócz głosów uprzedzonych do Polaków, powodowanych nienawiścią do nas czy powtarzających obelżywe stereotypy, można znaleźć także głosy obiektywne albo Polsce życzliwe.

We wspomnianych mediach „opozycji totalnej", obsługujących emocje odstawionych w ostatnich wyborach od wpływów i stołków elit III RP – nigdy. Tam obraz jest prosty i jasny: Polacy żywiołowo pomagali Hitlerowi, radośnie bawili się na karuzeli, a nieliczni, którzy pomagali, musieli się ukrywać przed nienawiścią rodaków.

Rzecz nie dotyczy tylko emocji polsko-żydowskich. Bynajmniej. Kto biegał po europarlamencie, „ostrzegając", że prof. Krasnodębski to „faszysta"? Nie żaden Żyd przecież, tylko grafini von Thun, de domo Woźniakowska. A skąd przyszło do głowy brytyjskiej posłance rodem z Bangladeszu, nieznającej słowa po polsku, uczepić się jako „neonazisty" niżej podpisanego? Bo przyszły do niej z taką prośbą polskie komuchy. Od dwóch lat, ilekroć „tefałeny" cieszą się, że gdzieś w zachodnich mediach napluto na Polskę, okazuje się, że pod prasową plwociną w dziewięciu przypadkach na dziesięć jest polskie nazwisko. A jeśli nawet obco brzmiące, to też jest to któryś z wychowanków „Wyborczej" czy „Krytyki Politycznej", względnie żona byłego ministra z PO.

„Nie był potrzebny żaden sąsiad, rodzimej dosyć jest kanalii" – śpiewał w piosence o Solidarności i stanie wojennym Jan Krzysztof Kelus. I od tamtych czasów wcale jej nie ubyło. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Dekomunizacja na rowerze

Jeśli jest tu ktoś, kto współpracował z SB, niech podniesie rękę i wyjdzie. Teraz, bo później będzie jeszcze większy wstyd – wypalił Andrzej Domin, wiceprezes Polskiego Związku Kolarskiego, na ubiegłotygodniowym posiedzeniu związku. Sportowcy, którzy mi o tym opowiadali, krztusili się ze śmiechu, mówiąc o pełnej zgrozy – na takie dictum – reakcji leśnych dziadków, bardziej spodziewających się zapewne gromu z jasnego nieba niż tego, że ktoś – ni z tego, ni z owego – będzie chciał zburzyć zakonserwowany, sięgający jeszcze PRL układ. Podobną reakcję dało się zauważyć w 2016 r., gdy minister Witold Bańka zapowiadał dekomunizację związków sportowych. Natychmiast oburzyła się część pasożytujących w sporcie „baronów", dla których przełomy polityczne dotąd oznaczały tylko zmianę koloru krawata.

Może teraz dekomunizacja – po policji, wojsku i szkolnictwie – zaistnieje także w polskim sporcie. Trochę wejdzie tylnymi drzwiami, wszak zmiany w PZKol zostały wymuszone patologiczną sytuacją i aferami. Nowi ludzie próbujący naprawić polskie kolarstwo, opowiadają mi jeżące włos na głowie historie o fakturach znajdowanych w siedzibie związku w skrytkach pod dywanem, o „bizancjum", o kontaktach leśnych dziadków z Gazpromem. Jednak każda okazja, by posprzątać stary układ, jest dobra, a ekipa, która się teraz zabrała za oczyszczanie kolarskiego bagienka przed organizowanymi w Polsce mistrzostwami świata w kolarstwie torowym ma, wydaje się, zdrowe podejście do tego, jak sport powinien funkcjonować.

Czy się uda? Może, ale tylko wtedy, gdy te pomysły, jeśli się sprawdzą w PZKol, zostaną wykorzystane w kolejnych dyscyplinach. A jeśli nie? Cóż, stare, nieco wyblakłe, ale wciąż czerwone układy w sporcie będą trzymały się mocno. ©℗

eprasa.pl fd2222a256

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Odczepcie się od rodziców i myśliwych

Jednym z ważnych wątków politycznego przekazu PiS podczas rządów PO był nacisk na autonomię rodziny, tak aby rodzice mogli wychowywać dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami. Aby nie było mowy o narzucanej odgórnie indoktrynacji. Jednak cóż – punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Sejmowa większość uchwaliła właśnie nowelizację prawa łowieckiego, zawierającą m.in. – poza różnymi wątpliwymi bądź wprost niemądrymi pomysłami – zakaz uczestniczenia nieletnich w polowaniach. Oznacza to, że rodzice chcący wdrażać swoje dzieci do łowieckiej tradycji, która jest dla nich ważna, nie mogą już tego robić. Troskliwe państwo uznało bowiem, że wie lepiej, co dla dziecka dobre, a co nie. Można założyć, że nie bez znaczenia była tutaj antymyśliwska fobia samego Naczelnika, w sprawach zwierząt idącego ręka w rękę ze skrajną lewicą.

A co z patroszeniem ryb w domu przed świętami? Co z wędkarstwem? Szybko, ustawy pilnie potrzebne!

Za wprowadzeniem zakazu stało przekonanie posłów PiS – sterroryzowanych obawą przed przeciwstawieniem się animalsowemu feblikowi prezesa – że dziecko dozna na polowaniu straszliwego szoku, a ponieważ myśliwi, zdaniem wojujących ekooszołomów, są w ogóle nienormalni, więc w ramach tej nienormalności nie będą swoim dzieciom owego szoku oszczędzać. Nie bardzo jednak wiadomo, dlaczego – jeśli faktycznie o to chodzi – skupiono się wyłącznie na myśliwych. A co choćby z dziećmi rolników, które przyglądają się świniobiciu, a nawet, przed ukończeniem 18 lat, mogą być zmuszone do uczestniczenia w nim lub, powiedzmy, do zabicia kury na rosół? Tutaj też przydałaby się jakaś ustawa, prawda? A co z patroszeniem ryb w domu przed świętami? Co z wędkarstwem? Szybko, ustawy pilnie potrzebne!

Oczywiście wiadomo, że rzecz sprowadza się w gruncie rzeczy do umieszczenia myśliwych na cenzurowanym, bo taki jest kurs lewicy na całym świecie, a PiS jest przecież partią z gruntu lewicową. To jednak równia pochyła. Jeśli dziś PiS uzna, że państwo musi zakazać dzieciom uczestnictwa w polowaniach ze względu na „szkody psychiczne", to kiedyś inna lewica, przejąwszy rządy, uzna, iż podobne szkody psychiczne przynosi np. uczestnictwo nieletnich w praktykach religijnych i pozwolić na to można dopiero od 18 lat. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Miłość w powietrzu

Kiedy zbieram dla państwa te tweety, kwiaciarnie przeżywają oblężenie, wiosna unosi się w powietrzu, a kobiety obchodzą swoje święto. Z tej okazji nie może zabraknąć życzeń. Oddajmy zatem głos Marcinowi Antosiewiczowi. „Życzę kobietom, by miały takie same zarobki i prawa aborcyjne co mężczyźni" – stwierdził były korespondent TVP z Berlina. Nie wiem, gdzie tego tweeta pisał, ale może poza wiosną w powietrzu unosiło się coś jeszcze.

A teraz na drugą nóżkę, Eryk Mistewicz. „Duży szacunek dla normalnych polskich kobiet. To Wasz dzień i Wasze święto: normalnych, spokojnych, zdroworozsądkowych sojuszniczek mądrych mężczyzn, zwykle stoicie skromnie w tle decyzji facetów. Nisko się Wam kłaniam i życzę miłego dnia" – wyznał znany bon vivant polskiego dziennikarstwa. „Francuzi powiedzieliby: what the f...k, Eric" – odparł najpewniej niezbyt normalny facet, Tomasz Walczak z „Super Expressu".

A skoro powoli żegnamy zimę, to równocześnie witamy tradycyjny czas romansów i strategicznych aliansów. Na taki krok zdobyli się niedawno Grzegorz Schetyna z Katarzyną Lubnauer, ogłaszając start ze wspólnych list do wyborów samorządowych. Zdjęcie z ich uściskiem dłoni złośliwie skomentował jednak Paweł Kukiz, twierdząc, że „wyglądają jak wyjęci z reklamy mrożonej pizzy".

„Lepiej grać w reklamie pizzy, niż być przystawką prezesa" – sparował przytyk Kukiza rzecznik PO, Jan Grabiec. „Co tam jakiś prezes... Ty i tylko Ty, Czarowniku Czarnobrewy... Chodźmy na pizzę, weź mnie na przystawkę, PLS!!!" – odpisał w romantycznym uniesieniu Paweł Kukiz, jednocześnie dołączając trzy emotikony z serduszkami zamiast oczu. I niech mi ktoś powie, że Zjednoczona Opozycja nie jest możliwa.

Na brak dystansu nie może również narzekać prezydent Donald Trump. Znany ze swojej (niekiedy ambiwalentnej) niechęci do elit Hollywood nie mógł sobie pozwolić na brak komentarza w obliczu słabych wyników tegorocznej gali oscarowej. „Najniższa oglądalność Oscarów w HISTORII. Problem polega na tym, że nie mamy już prawdziwych Gwiazd – poza Panem, Panie Prezydencie (tylko żartowałem, oczywiście)!". Oczywiście. ©℗

eprasa.pl fd2222a256

TOLERANCYJNA I OTWARTA

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Aktorka Magdalena Cielecka, która ostatnio mocno zaangażowała się w politykę, udzieliła wraz ze swoim nowym narzeczonym wywiadu „Newsweekowi". Oprócz zwyczajowych narzekań, że demokracja jest zagrożona, konstytucja łamana, a PiS straszny, mówi tam m.in. o tym, jak w Izraelu poznała swojego chłopaka Dawida Wajntrauba. – Jak Dawid przyjechał do mnie po raz pierwszy w 2013 r., to wszystko mu się bardzo podobało. Jeszcze tych kilka lat temu, kiedy się poznaliśmy, byłam dumna, do jakiego kraju go zapraszam: to był normalny, otwarty, tolerancyjny kraj – mówi Cielecka. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Jarosław Kaczyński. – Wcześniej nie byłem tu Żydem, teraz zaczynam być. Tu w marszach idą faszyści i głoszą swoje hasła. I nikt nie reaguje – mówi Dawid. – My się po prostu boimy – dodaje Cielecka i podkreśla, jak bardzo jest jej wstyd. Marzy o Polsce takiej jak kiedyś. – Fajnie byłoby dożyć momentu, kiedy wróci ta dobra Polska, otwarta, która jest bliżej tego Tel Awiwu, w którym się wtedy spotkaliśmy na ścieżce rowerowej. Kiedy przestanie być krajem odwróconym plecami do wszystkiego, co liberalne, nowoczesne, światowe, mądre, wartościowe – marzy Cielecka. Przy okazji mówi też, że narodowość jej chłopaka nie miała dla niej znaczenia. No prawie. – Mnie się przede wszystkim podobało, że to nie jest Polak. To mógł być Francuz albo Amerykanin, ale nie Polak – stwierdziła, po czym wróciła do zarzucania Polakom antysemityzmu. Od razu zrobiło się jakoś bardziej nowocześnie i światowo. Tylko wstyd pozostał. U tych, co czytali ten wywiad.

KONSEKWENCJA TO PODSTAWA

Tymczasem podróżniczka i dziennikarka Martyna Wojciechowska doczekała się, jako pierwsza Polka w historii, własnej lalki Barbie, stworzonej na jej podobieństwo! „To podróżniczka, himalaistka, dziennikarka. Kobieta, która realizując wyprawy na krańce świata, podróżuje do ludzi, nie do miejsc. Jej pasja, zaangażowanie i postawa są dla małych i dużych kobiet potwierdzeniem, że nie ma rzeczy niemożliwych, że warto mieć marzenia i je spełniać – tak uzasadniło swój wybór jury. Na Facebooku czytamy zaś, że postawa i zaangażowanie Martyny „stanowią inspirację dla kobiet i dziewczynek na całym świecie". – To niezwykłe wyróżnienie, przyznane po raz pierwszy poza USA – pochwaliła się Wojciechowska. Ktoś złośliwy mógłby zapytać, jak to się ma do jej zadeklarowanego feminizmu. – Urodziłam się feministką, tylko jako dziecko nie wiedziałam, że tak to się nazywa. Odkąd pamiętam, miałam potrzebę łamania stereotypów – mówiła w jednym z wywiadów. A jak wiadomo, lalka Barbie to nieodzowny element łamania stereotypów na temat kobiet. Martyna bardzo pasuje do polskich feministek. Jest tak samo konsekwentna jak one.

FOT. PAWEŁ GRDMADA

BEJBI MAJDAN

Ruszył flagowy show TVN z Małgorzatą Rozenek i jej mężem Radosławem Majdanem w roli głównej, czyli „Iron Majdan". Pierwszy odcinek okazał się sukcesem, bo oglądało go ponad milion widzów. I już widać, że program będzie nie tylko kopalnią bon motów Perfekcyjnej Pani Domu, lecz także plotek na temat życia prywatnego Majdanów. Chyba o to im zresztą chodziło. I tak już w pierwszym odcinku państwo Majdanowie planowali wspólne dziecko. – Kiedy skończymy ten program, zaczniemy się starać, ale ponieważ nie jesteśmy osiemnastolatkami, nie wiemy, czy się uda – powiedziała Małgorzata. Za chwilę jednak pozytywnie oceniła formę swoją i męża. – Dbamy o siebie, dobrze się odżywiamy, przeszliśmy sporo operacji plastycznych – stwierdziła żartem. Skoro tak, to nie powinno być problemu. A gdyby był, to tym lepiej. Show ze starania się Majdanów o dziecko to dopiero byłby hit. Po „Pożarze w burdelu" stacja mogłaby to reklamować jako całkiem nową jakość. Taką, w sumie, prorodzinną.

HIPNOZA NA MIARĘ TVN

À propos programów na poziomie – inny flagowy show TVN spotkał się z miażdżącą krytyką widzów. Najpierw „Pożar w burdelu", a teraz to. Widać wielkomiejscy widzowie z aspiracjami zaczynają rozumieć, że ktoś tu ma ich za idiotów. W każdym razie program „Hipnoza" został ostro skrytykowany, że głupi, infantylny, nienaturalny, a ludzie w nim występujący byli podstawieni. Jakby tego było mało, „Hipnozę" wyśmiał nawet prawdziwy hipnotyzer. „Oglądając ten program, czułem ogromne zażenowanie, ponieważ on nie powinien się nazywać »Hipnoza«, tylko »Teatr«. Ten program jest niewiarygodny i nie wykazuje jakiejkolwiek wiedzy o prawdziwej hipnozie – stwierdził hipnotyzer Daniel Mach w rozmowie z Wirtualną Polską. Nawet prowadzący program Filip Chajzer nie miał siły go bronić. „Moi drodzy – dzięki, że byliście. Nawet jeśli do pierwszej reklamy" – napisał jedynie na Facebooku. Optymistycznie zakładając, że ktoś wytrwał aż tyle. ©℗

eprasa.pl fd2222a256

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, kolejny raz, który to już, musimy studzić emocje wynikające z występu reprezentujących ten kraj sportowców na arenie międzynarodowej. Tym razem chodzi of kors o lekkoatletów.

Od razu musimy zastrzec, iż nie podoba nam się samo słowo „lekkoatletyka", która sugeruje odrębność wobec „ciężkoatletyki", która w tym dychotomicznym podziale jest sytuowana jako gorsza, cięższa, mniej atrakcyjna, także seksualnie, a więc niewarta uprawiania przez napompowanych testosteronem samców.

Tak więc chcemy zwrócić uwagę, iż poza tym, że występy i medale lekkoatletów w Anglii były w takim razie nie dość, że seksistowskie, to w dodatku osiągnięte w jakichś np. biegach, czyli szybkim przemieszczaniu się z punktu A do punktu B. Potrafi to równie dobrze zrobić kolega-gej, jak goni autobus xD

Of kors nie zdobywamy medali w jakichś zaawansowanych intelektualnie grach i konkurencjach, jak Scrabble czy Jenga. Tylko w bieganiu. Taka to postępowa i innowacyjna myśl tego kraju.

Straszna siara. W rankingu krajów najbardziej przyjaznych turystom LGBT ten kraj zajął dopiero 80. miejsce. To bardzo daleko za Europą, co też doskonale ilustruje skalę prześladowań osób nieheteronormatywnych.

Nowy z Tarnowa zachował się jak najgorszy ciemniak i kupił kwiatki oraz nylonowe rajstopy dla naszych frendziar z kolektywu

W tym Gay Travel Index of kors zwyciężyły ukształtowane i stabilne zachodnie demokracje: Szwecja i Kanada, gdzie wiedzą, iż turysta LGBTQWERTY jest mniej awanturujący się i zostawi więcej pieniędzy niż przeciętny janusz podróżujący z roszczeniową grażyną i gromadą rozwrzeszczanych osobodzieci.

Ten kraj, jak widać, znów okazał się podkarpaciem Europy. Autorzy rankingu wskazali na zbyt duże wpływy religijne, prawo przeciwne osobom LGBT (iż turyści nie mogą w czasie wakacji wziąć tu ślubu i zaadoptować osobodzieci) oraz wrogich wobec osób nieheteronormatywnych lokalnych januszów i grażyn.

Ale wstyd nam będzie teraz wyjechać na Zachód na wakacje :(

Pewnie zastanawiacie się, jak w tym roku wybrnęliśmy z przykrej konieczności celebrowania tzw. Dnia Kobiet w naszym korpo. Niestety, Nowy z Tarnowa zachował się jak najgorszy ciemniak i kupił kwiatki oraz nylonowe rajstopy dla naszych frendziar z kolektywu, które słusznie oburzone dokonały aktu spalenia ich w toalecie w czasie przerwy na e-papierosa.

Niestety, w trakcie tej przerwy wyszło nam, iż u nas w korpo pracuje więcej osób waginoujemnych niż waginododatnich, co sprawia, iż część z naszego kolektywu ma do wyboru albo złożyć wypowiedzenie i odejść z pracy, albo zmienić płeć, albo – ewentualnie – zatrudnić więcej waginoosób, na co jednak Nowy krzywo patrzy, iż jego zdaniem korpo w ogóle nie powinno być koedukacyjne.

No i okazało się, iż mamy problem, z którego wcale nie tak łatwo będzie wybrnąć. Na razie tłumaczymy się frendziarom dżenderem, ale nie wiemy, na jak długo to wystarczy :(©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl fd2222a256

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Z okazji rocznicy wydarzeń marcowych tygodniki „Polityka" i „Newsweek" ustaliły, że atmosfera Marca 1968 i marca 2018 r. jest właściwie taka sama. Zgadzamy się z tą tezą. „Polityka" w 1968 r. nie pomstowała na Żydów, ale za to trzymała linię reformatorów z PZPR. I tak samo jest dzisiaj. Z kolei Tomek Lis, naczelny „Newsweeka", rozumiał w 1968 r. ze świata polityki mniej więcej tyle co dwulatek (bo tyle właśnie miał lat). I to też się nie zmieniło.

Życie, jak wiecie, składa się z poszukiwań. Obecnie trwa więc poszukiwanie osoby, na którą można zwalić całą chryję z nowelizacją ustawy o IPN. Poszukiwania trwają w Ministerstwie Sprawiedliwości oraz w paru innych miejscach. Chodzi o to, by całą historię zakończyć nie tylko efektownym wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego, lecz także jeszcze bardziej efektowną egzekucją, tfu, to znaczy dymisją.

Intensywne poszukiwania trwają też w MSZ. Chodzi o kreta, który wyniósł do Złonetu informację o notatce dotyczącej stosunków polsko-amerykańskich. Wilkiem patrzy się m.in. na Jana Parysa, którego notatkę opublikował również Złonet. Inne tropy wiodą jednak do Waszyngtonu, gdzie wciąż, tak jak na wszystkich placówkach, zalegają złogi bierutowsko-gomułkowskie. Z ostatniej chwili: ustalono już, że w sprawie notatki chodzi bardziej o złogi schnepfowsko-sikorskie.

Pamiętacie, jak pisaliśmy, że nowym wiceministrem w MSZ zostanie Andrzej Papierz? To chwilowo nieaktualne. Papierz co prawda zjechał ze Stambułu do Warszawy, jednak zanim odebrał nominację, już został zredukowany w ramach redukcji liczby wiceministrów. Znaczy złogi bierutowsko-gomułkowskie zalegające w dyplomacji mogą chwilowo odetchnąć.

Chwilowo nieaktualne" oznacza, że może być znowu aktualne. Kiedy? Los Papierza spoczywa w rękach żydowskich. Wszystko bowiem zależy od tego, kiedy Izrael da tzw. agremą Markowi Magierowskiemu na nowego ambasadora w Tel Awiwie. Wtedy zwolni się stanowisko wicka, które będzie mógł zająć Papierz.

Tymczasem w Warszawie. Jaki kandydat? Jednak Jaki. Tak podpowiadają wiewiórki, wskazując rozważane przez Nowogrodzką plusy i minusy. W sondażach wypada najlepiej, więc może fuksem wygra. A jeśli nie wygra, to winna będzie Solidarna Polska, że miała takiego słabego kandydata.

Szanse Jakiego rosną, bo dr Karczewski stracił serce do pomysłu, wicepremier Bełata kategorycznie nie chce, Michała Dworczyka kategorycznie nie chcą, a Mario Błaszczak jest potrzebny w MON. Sytuację komplikuje jedynie działalność antyjakowego lobby na Nowogrodzkiej, którego zdaniem poszukiwania kandydata do ścięcia za bałagan z IPN powinny zakończyć się właśnie na Jakim. A ze ściętą głową trudno kandydować na prezydenta Warszawy. Chociaż…

Zastanawiamy się nad nazwą przyszłego sojuszu. Nie może to być Zjednoczona Lewica, bo już jedna była. To może Zjednoczona Ośmiornica?

Nie jestem przedskoczkiem" – poinformował nas natomiast z kolei znany kukista Tyszka Stanisław, kiedy dopytywaliśmy, kiedy wreszcie ogłosi, że kandyduje na prezia Warszawy. Mamy złą wiadomość. Na skoczka też się średnio nadaje.

Już się ucieszyliśmy – Myszka Agresorka machała w Sejmie małymi bordowymi książeczkami. Byliśmy przekonani, że to paszporty posłów Nowoczesnej Kropki, którzy wybierają się na emigrację na Maderę, bo tam jest jeszcze demokracja i nie sięgają macki Kaczora Dyktatora. Niestety, były to tylko małe, bordowe konstytucje. Więc się zmartwiliśmy. Ale znamy kogoś, kto zmartwił się bardziej. To Grzesiek Schetyna.

Oczywiście żartujemy. Grzesiek Schetyna niczym się nie martwi, tylko szykuje się do konsumpcji. Chodzi o Ryśka Petru. Plan jest taki – Rysiek wychodzi z Nowoczesnej Kropki i zabiera swoich posłów, a potem robi własne ugrupowanie, które zostaje stronnictwem sojuszniczym Peło w zamian za gwarantowane miejsca na listach i stanowisko wicepremiera dla Ryśka w przyszłym rządzie.

To ciekawa koncepcja. Zauważcie, że w ten sposób Rysiek zostaje Jarosławem Gowinem zjednoczonej opozycji. A Grzesiek – jej Kaczorem Dyktatorem. Zastanawiamy się nad nazwą takiego przyszłego sojuszu. Nie może to być Zjednoczona Lewica, bo już jedna była. To może Zjednoczona Ośmiornica?

Zauważcie, że skoro NPP (nowa partia Petru) będzie takim odpowiednikiem liberalnego Porozumienia czy innej Polski Razem w obozie Zjednoczonej Ośmiornicy, to otwarta pozostaje kwestia, kto w tym obozie zostanie Solidarną Polską. Zostaje tylko

eprasa.pl fd2222a256

nieszczęśnik Kosiniak-Kamysz i jego zieloni bracia z peezelu. W sumie to by pasowało – będą zabezpieczać skrzydło patriotyczno-nacjonalistyczne.

Ktoś może zapytać, gdzie w takim razie w tym wszystkim znajduje się miejsce dla oryginalnej Nowoczesnej Kropki, ale bez Ryśka, tylko z Kaśką Lubnauer na czele. Jak to gdzie? Nigdzie.

Jeszcze o Nowoczesnej Kropce. Aśka Scheuring-Wielgus chodzi po mediach i nadaje na szefową partii Kaśkę Lubnauer. Jak przypominają jednak Nowocześni, kiedy szefem partii był Rysiek, Aśka też wcale nie była szczęśliwa. Podobno wszystko przez to, że za jedyną prawdziwą nadzieję opozycji Aśka uważa Roberta Biedronia. Wiele to mówi i o Aśce, i o całej opozycji.

Teraz będzie o okrucieństwie. Stały Komitet Rady Ministrów zabiera się do ukochanego dziecka wicepremiera Gowina, czyli reformy nauki. Mamy złą wiadomość – dziecku zostaną wyrwane rączki i nóżki. Ufamy, że dziecko nie utraci wtedy miłości Gowina. Chociaż na pewno w tej wersji bardziej kochał je będzie wicemarszałek Terlecki.

Zmiany, zmiany, zmiany. Idzie wielka rewolucja w Centrum Informacyjnym Rządu. A co się zmieni? A wszystko. Co ciekawe, za przeprowadzenie rewolucji nie będą wcale odpowiadać ci, którzy obecnie stoją na czele CIR. Wiecie, jak to jest z rewolucjami. Pożerają własne dzieci. A czasem także cudze.

À propos dzieci. Widzieliśmy na mieście piękne billboardy z Dominiką Kulczyk. I dzięki temu już wiemy, do czego służą dzieci. Jeśli są biedne i polskie, to służą do atakowania PiS za to, że rozdaje im pińcet plus. Jeśli są biedne i zagraniczne, to zasługują na pomoc. Oraz Dominikę i program w tefauenie.

Jak wiecie, Peło, Nowoczesna Kropka i peezel nie tylko nie wystawiły swoich kandydatów do KRS, lecz także zbojkotowały głosowanie. I wołały o końcu demokracji. Chcąc im osłodzić gorycz tych trudnych chwil, sięgnęliśmy po słowa autorytetu moralnego. „Opozycja jest nerwowa, kiedy nie ma zbyt dużego wpływu" – mówił autorytet,

CBA nie odpuszcza. W najbliższym czasie planowane jest zatrzymanie pewnego niegdyś bardzo wpływowego generała

kiedy pewnego razu partia opozycyjna wyszła z sali sejmowej i nie głosowała. Ten autorytet nazywa się Donald Tusk, a rzecz miała miejsce w roku 2008. A może demokracja skończyła się już wtedy?

Pamiętacie, jak ukuliśmy kiedyś zwrot „Demoniczny Krzysztof Szczerski"? Czas na nowe, podobne: „Demoniczny Adam Bielan". Po mieście zaczęto bowiem rozpowiadać, że sączy on jad do uszu premiera Mateusza, a jad ten dotyczy tego, żeby ścinanie głów w Ministerstwie Sprawiedliwości za nowelizację ustawy o IPN miało jak największy zasięg. Bielan niegdyś z Zizou Ziobro zakładał Solidarną Polskę, ale nawrócił się na PiS. Jak wiadomo, neofici są najgorsi.

Ponieważ nastroje siadły ostatnio wszędzie, to nic dziwnego, że stało się tak i przy Rakowieckiej, gdzie trwają przygotowania do abordażu na Sąd Najwyższy. W ramach plotkowania o kandydatach na pierwszego prezesa SN najczęściej pada nazwisko prokuratora Dariusza Barskiego, popularnie zwanego Barrym. Jednak jest i dużo bardziej zaskakujące nazwisko: Barbara Piwnik, która zdaniem zawistnych ludzi nawraca się na PiS. Może więc jednak neofici są najlepsi?

Dobrze, że choć CBA nie odpuszcza. W najbliższym czasie planowane jest zatrzymanie pewnego niegdyś bardzo wpływowego generała. Tyle możemy napisać, nie narażając się na zarzut ujawnienia tajemnicy państwowej.

No i mamy ustawę degradacyjną. Czytelnicy proszą o komentarz. Niestety, nic oryginalnego nie wpadło nam do głowy. Skorzystamy więc z kawałka starego monologu Jana Pietrzaka: „W Chinach zaczęły się ostatnio pośmiertne wykluczenia z partii. Kłopot będzie wtedy, jak zaczną przyjmować". ©℗

eprasa.pl fd2222a256

Wojciech Wybranowski

Śledczy na

Prokuratura analizuje przepływy finansowe na kontach współpracowników oraz znajomych rodziny byłego prezydenta i wystąpi o kolejne dane bankowe. Część wcześniejszych materiałów CBA w sprawie „willi Kwaśniewskich" teraz uznano za materiały dowodowe

Afery: z pieniędzmi transferowanymi z Komitetu ds. Młodzieży, z akcjami towarzystwa ubezpieczeniowego Polisa, bulwersujące powiązania byłej pierwszej damy Jolanty Kwaśniewskiej z lobbystą Markiem Dochnalem i jej męża Aleksandra z oligarchami z dawnych sowieckich republik, skandal z „meblami szwagra", ułaskawienie „kasjera lewicy" i wreszcie sprawa tajemniczej nieruchomości w Kazimierzu Dolnym, która – według ustaleń Centralnego Biura Antykorupcyjnego – zakupiona na „słupa" w rzeczywistości miała należeć do Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich. Niemal cały okres funkcjonowania na scenie publicznej byłego prezydenta naznaczony jest wątpliwościami, skandalami i aferami, w których tle pojawiają się wielkie pieniądze. Do tej pory jednak z każdej z tych awantur Kwaśniewscy wychodzili cało. Wiele jednak wskazuje na to, że tym razem mogą mieć poważne problemy.

W katowickiej prokuraturze regionalnej trwa śledztwo dotyczące „uchylania się osób zobowiązanych do zapłaty podatku oraz podejmowania wspólnie i w porozumieniu z innymi osobami działań mogących utrudnić stwierdzenie przestępczego pochodzenia środków płatniczych".

To ciąg dalszy głośnego dochodzenia nazywanego wcześniej sprawą „willi Kwaśniewskich". W latach 2007–2009 prowadziło je CBA. Ustalenia operacyjne Biura wskazywały wówczas, że małżeństwo Kwaśniewskich mogło kupić „na słupa" atrakcyjną willę w Kazimierzu Dolnym, bo oficjalnie nie mogło dysponować kwotą, która nie znalazłaby potwierdzenia w ich oficjalnych dochodach.

Postępowanie zostało umorzone w 2010 r.. Wznowiono je 1 grudnia 2016 r. w katowickiej prokuraturze regionalnej po tym, jak analiza akt wykazała, iż wcześniejsza decyzja o umorzeniu zapadła bez przeprowadzenia wielu podstawowych czynności procesowych.

Postępowanie raczej nie zakończy się w czerwcu tego roku, jak wcześniej zakładano. Zdaniem informatorów „Do Rzeczy" właśnie trwają kluczowe czynności śledcze, które mogą mieć wpływ na dalsze decyzje procesowe.

KONTA I PRZEPŁYWY

– Od podjęcia tej sprawy prokurator przesłuchał wielu świadków, dokonał analizy obszernej dokumentacji dotyczącej postępowań prowadzonych przez organy skarbowe wobec osób pozosta-

eprasa.pl fd2222a256

CBA podejrzewało, że willa w Kazimierzu Dolnym nieoficjalnie została kupiona przez Aleksandra i Jolantę Kwaśniewskich

FOT. WOJCIECH PACEWICZ/PAP

tropie Kwaśniewskich

jących w zainteresowaniu tego śledztwa, natomiast obecnie prowadzona jest analiza przepływu środków finansowych na rachunkach bankowych tych osób – informuje Waldemar Łubniewski, rzecznik Prokuratury Regionalnej w Katowicach.

O jakie analizy przepływu środków prokuratorom chodzi? Według naszych nieoficjalnych informacji śledczy chcą uzyskać dane o operacjach finansowych dokonywanych w przeszłości na rachunkach kilkunastu osób zamieszanych bezpośrednio w sprawę „willi Kwaśniewskich". Chodzi tu m.in. o Marię J. i jej syna Jana J. – przyjaciół Kwaśniewskich, dawniej opiekujących się tą nieruchomością w Kazimierzu, oraz Marka M., byłego prezesa Budimexu, formalnie właściciela nieruchomości, Aleksandra i Jolantę Kwaśniewskich oraz ich bliskich znajomych i współpracowników powiązanych z fundacjami kierowanymi przez byłą parę prezydencką: Amicus Europae oraz Porozumienie bez Barier.

– To szersza grupa niż osoby, które do tej pory pojawiały się w medialnych informacjach dotyczących śledztwa i całej tej sprawy – twierdzi osoba z kręgów organów ścigania.

eprasa.pl fd2222a256

Chodzi o sprawdzenie m.in., czy między tymi osobami a Kwaśniewskimi bądź ich zaufanymi współpracownikami dochodziło do rozliczeń finansowych, które nie mają uzasadnienia w świetle zawieranych między nimi jawnych porozumień i umów. Najprościej mówiąc – także o to, czy mogły zaistnieć transakcje dotyczące np. przelewu przez Kwaśniewskich opłat za nieruchomość w Kazimierzu, z tytułu jej użytkowania, amortyzacji, opłat za media: gaz, prąd, wodę.

Jak nieoficjalnie ustaliliśmy, trudno powiedzieć, że banki chcą w tej sprawie współpracować ze śledczymi. Prokuratura ma problem z pozyskaniem danych dotyczących transakcji finansowych.
– Informacje, jakie otrzymała prokuratura, są szczątkowe. Banki udzieliły bardzo ograniczonej odpowiedzi, nie ujawniając większości danych dotyczących rejestrowanych na rachunkach bankowych transakcji w okresie, który interesował śledczych – twierdzi nasz informator.

W katowickiej prokuraturze regionalnej udało nam się uzyskać potwierdzenie, że śledczy skierują kolejne wnioski do sądu z prośbą o zgodę na pozyskanie informacji bankowej w szerszym niż dotychczas zakresie.

MATERIAŁY CBA

Kilkanaście dni temu niektóre media podały za „Gazetą Polską", że w sprawie „willi Kwaśniewskich" pojawiły się „nowe dowody". Z naszych informacji wynika jednak, że chodzi nie tyle o nowe ustalenia, ile przede wszystkim o materiały operacyjne CBA pochodzące z lat 2007–2009, które teraz w części zostały uznane za materiał dowodowy.

– W mojej ocenie materiał zebrany przez CBA jednoznacznie wskazywał, że nieruchomość w Kazimierzu Dolnym w rzeczywistości należała do Jolanty Kwaśniewskiej – mówi nam minister Maciej Wąsik, sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych, a wcześniej szef zespołu CBA pracującego nad tą sprawą.

Chodzi m.in. o zebrane przez Biuro nagrania z podsłuchów znajomej Kwaśniewskich: Marii J. i jej syna, a także byłego prezesa Budimexu oraz podsłuchów rozmów samej Jolanty Kwaśniewskiej. W 2010 r. prokuratura zakwestionowała te materiały, przekonując, że zostały one zdobyte nielegalnie. – To bzdura, która później została powielona przez część mediów. Na wszystkie czynności, które były wykonywane przez CBA, była zgoda sądu. Prowadzono je pod kontrolą sądu – mówi nam inny z funkcjonariuszy CBA zaangażowanych wówczas w to śledztwo.

Pracujący nad sprawą śledczy nie chcą dziś wypowiadać się na temat wartości materiałów CBA i tego, czy mogą one przesądzać o ewentualnej przyszłej odpowiedzialności karnej Kwaśniewskich. Zwracają jednak uwagę, że zmieniły się przepisy Kodeksu postępowania karnego. – Zmieniły się m.in. w zakresie zbierania materiałów niejawnych i wykorzystania ich w śledztwie. Jest to niewątpliwie ważny powód, dla którego materiał dowodowy zebrany w tym śledztwie musi zostać poddany ponownej analizie i ocenie – podkreśla prokurator Łubniewski.

ROZMOWA GUDZOWATEGO

Jak doszło do zebrania materiałów operacyjnych CBA, które później stały się kanwą śledztwa w sprawie majątku Kwaśniewskich? W marcu 2006 r. „Dziennik" ujawnił stenogram nagrania rozmowy, którą pół roku wcześniej odbył prezes Bartimpexu Aleksander Gudzowaty z byłym premierem Józefem Oleksy.

Polityk SLD nazywający Kwaśniewskiego ironicznie małym kanciarzem opowiadał w niej, że były prezydent i jego małżonka mają majątek, którego źródła finansowania nie będą w stanie udokumentować. „Ma tego majątku trochę. Jak zderzysz jego wynagrodzenia prezydenckie, a nawet Joli dochody […] nie uzbiera, żeby nie wiem jak się naharował, to nie uzbiera tyle, ile potrzebuje na wylegitymizowanie tego. […] Oluś zawsze był krętaczem, i to małym krętaczem" – mówił były premier. Wspomniał przy tym o wartej blisko 2 mln zł willi w Kazimierzu Dolnym, którą, jak twierdził, mieli kupić Kwaśniewscy. Ten trop w 2007 r. podjęli funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego.

„PANIUSIA" I GROŹBA MATACTWA

– Z naszych ustaleń wynika, że Kwaśniewscy kupili posiadłość w Kazimierzu na „słupa", którym był Marek M., przyjaciel Kwaśniewskiego, 25 października 2005 r., dzień po wyborach prezydenckich. Formalnie Aleksander jeszcze był urzędującą głową państwa. Zapłacono za to 830 tys. dol. – opowiada nam funkcjonariusz CBA, który w latach 2007–2009 pracował w zespole rozpracowującym „willę Kwaśniewskiego". – Skąd to wiemy? Dotarliśmy do sprzątaczki, która widziała spisaną umowę przedwstępną – dodaje.

Wspomniana kobieta jest jednym ze świadków w sprawie. Według naszych rozmówców jest też wśród nich m.in. miejscowy taksówkarz, który miał wozić Kwaśniewskiego do „jego willi". A także ludzie, którzy pracowali w budynku, zajmowali się jego renowacją, wykonywali zakupy. Z ich opowieści ma wynikać, że wszystkie decyzje dotyczące sytuacji budynku miała podejmować osobiście Jolanta Kwaśniewska.

– W domu, w willi w Kazimierzu znajdowały się przedmioty osobistego użytku Aleksandra i Jolanty Kwaśniewskich, obraz Aleksandra, notatki, nawet projekt pisma Kwaśniewskiej do Pawła Lisickiego, wówczas redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej", z żądaniem sprostowania niewygodnego dla niej artykułu – opowiada nasz rozmówca.

Obok śledztwa katowickiej prokuratury i CBA w latach 2007–2009 prowadzone było też dochodzenie Urzędu Kontroli Skarbowej w Lublinie. Uznano, że nie ma szans, by Kwaśniewska lub jej mąż dysponowali pieniędzmi pochodzącymi z legalnych źródeł, które mogłyby pozwolić im na zakup tego budynku.

– Notarialnie właścicielem domu był M., ale opiekowali się nim Maria J. z Puław, przyjaciółka Kwaśniewskiej, oraz jej syn. Wzięliśmy ich pod lupę, uzyskaliśmy zgodę sądu na zastosowanie podsłuchów. I co się okazało? J. co jakiś czas dzwoniła nie do M., ale do Kwaśniewskiej – z pytaniem o remonty, o rachunki za prąd, gaz, o to, co należy zrobić w domu. Pytała nawet o telewizję w domu, jakie kanały zamówić. A jak przychodziło do płacenia za rachunki, to kasa też szła od „pierwszej" – opisuje nasz informator z CBA.

Jak to miało wyglądać? Według naszego informatora Maria J. kontaktowała się z Kwaśniewską, mówiąc, jaka kwota jest potrzebna, by uregulować niezbędne opłaty. Ustalano termin. Wówczas syn Marii – Jan J., miał jechać do Warszawy do jednej z fundacji Kwaśniewskich. Z obserwacji CBA wynikać ma, że tam mógł otrzymywać gotówkę. Z pieniędzmi udawał się na pl. Bankowy, gdzie przelewał środki na konto swojej mamy. Dzwonił też do niej (zarejestrowane rozmowy są w materiałach dowodowych). – To była krótka informacja o tym, że pieniądze są już na koncie. Mówił wówczas „paniusia wpłaciła". I matka, i syn mianem „paniusia" określali Kwaśniewską – uważa funkcjonariusz CBA.

eprasa.pl fd2222a256

Sama Kwaśniewska też miała być podsłuchiwana, jednak dopiero w ostatniej fazie śledztwa. Dlaczego? Miała się bowiem pojawić groźba matactwa. W pewnym momencie funkcjonariusze dziesięcioosobowego zespołu CBA odnieśli wrażenie, że nastąpił przeciek ze śledztwa. Nasz rozmówca sugeruje, że informacje mogły wyciec w ścisłym gronie osób z prokuratury krajowej, które podpisywały wnioski operacyjne. – Doszło do spotkania Kwaśniewskiej z Markiem M. i panią Marią J. Była pierwsza dama uprzedziła ich, że willą interesują się dziennikarze, że mają uważać, z kim i o czym rozmawiają – opowiada nasz rozmówca. – Nie jestem w stanie powiedzieć teraz, czy Markowi M. powiedziała, że chodzi o naszych śledczych, ale na pewno J. zbajerowała, że chodzi o media.

CBA zdecydowało się na przeprowadzenie transakcji kontrolowanej. W tym celu agent CBA Tomasz Kaczmarek zaprzyjaźnił się z synem J. Pozyskał też zaufanie jego matki. Miał też zwierzyć się, podczas jednej z wizyt w Kazimierzu, że sam chętnie ten dom by kupił. Agenci CBA zarejestrowali wszystkie rozmowy w tej sprawie, m.in. te między Marią J. a Jolantą Kwaśniewską, dotyczące warunków sprzedaży domu. Zdaniem funkcjonariuszy prowadzone były szyfrem – kilka lat temu do mediów wyciekła już informacja, że ustalając, w jakiej walucie ma „agent Tomek" uiścić opłatę, Kwaśniewska mówiła, że „buty, które odbierze, najlepiej, żeby były w rozmiarze europejskim lub amerykańskim". Ustalono też, że dom zostanie sprzedany za 3 mln 100 tys. zł. Maria J. poinformowała też „kupca", że 1,6 mln oficjalnie na akcie notarialnym, ale kolejne 1,5 mln ma być przekazane pod stołem.

CBA zdecydowało się sfinalizować transakcję, przygotowując oznaczone pieniądze i walizkę z ukrytym nadajnikiem GPS. Pieniądze trafiły do Marii J., a ta za pośrednictwem syna przekazała je Markowi Z., przyjacielowi Kwaśniewskiej, zarządzającemu wówczas agencją nieruchomości Royal Wilanów. Ten zaczął jeździć z pieniędzmi po kantorach wymiany walut i wymieniać je na dolary. Wówczas CBA zdecydowało o przerwaniu akcji. Marek Z. został zatrzymany. Zdaniem naszych informatorów zeznał, że działał na polecenie Kwaśniewskiej, a pieniądze już wymienione na zachodnią walutę miały trafić do byłej prezydentowej. Jego zeznania są – tak wynika z naszych informacji – jednym z ważniejszych dowodów w sprawie.

Po umorzeniu postępowania w 2010 r. i ujawnieniu przez media niektórych kulisów postępowania Kwaśniewscy ogłosili, że padli ofiarą prowokacji politycznej i że nie mieli nieruchomości w Kazimierzu. A po usunięciu Mariusza Kamińskiego z fotela szefa CBA jego następca Paweł Wojtunik usiłował postawić go przed prokuraturą pod zarzutem przekroczenia uprawnień. Sejm, który miał możliwość wysłuchania informacji o śledztwie na tajnym, zamkniętym posiedzeniu, nie zgodził się jednak na uchylenie immunitetu byłemu szefowi CBA.

KWAŚNIEWSKI I SKOK NA KASĘ

Sprawa willi w Kazimierzu to nie pierwszy przypadek, gdy o Aleksandrze Kwaśniewskim mówi się w kontekście podejrzeń o poważne nieprawidłowości finansowe.

W marcu 1992 r. Najwyższa Izba Kontroli w piśmie do prokuratury zarzuciła Kwaśniewskiemu, wówczas posłowi, udział w złym zarządzaniu pieniędzmi Komitetu ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej, którym kierował od 23 października 1987 r. do 18 czerwca 1990 r. NIK wytknął mu podejrzane transakcje polegające na transferowaniu pieniędzy Komitetu do spółek „słupów" utworzonych przez dawnych działaczy PZPR. Kontrolerzy wskazali m.in. na sprawę Banku Turystyki – organizacji utworzonej w 1990 r. przez Orbis, PTTK i Komitet reprezentowany przez Kwaśniewskiego. Prezesem banku został dyrektor Departamentu Ekonomicznego Komitetu ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej Stanisław Koman, bliski współpracownik Kwaśniewskiego. Na kilkanaście dni przed odwołaniem Kwaśniewskiego z funkcji szefa Komitetu podjął on decyzję o przesunięciu 5 mln dol. z oprocentowanego konta Komitetu w banku BRE na nieoprocentowane konto w Banku Turystyki. Z kolei BT natychmiast przerzucił te pieniądze na oprocentowane konta w innych bankach. Bank Turystyki zarobił, a Komitet stracił. Prokuratura jednak wybieliła Kwaśniewskiego oraz Komana i umorzyła postępowanie.

Za rządów AWS – w lipcu 2000 r. – do sprawy wrócił Mariusz Kamiński. Poprosił w Sejmie o powołanie komisji śledczej, która miałaby przyjrzeć się tej sprawie. Podczas debaty Kamiński ujawnił, że z ulokowanych w BRE pieniędzy zarządzanego przez Kwaśniewskiego Komitetu ds. Młodzieży dokonano niewyjaśnionych transferów 38 mln dol. do spółek powiązanych z ludźmi dawnego PZPR. Trafiły m.in. do firmy Inster, którą zarządzali Ireneusz Sekuła i Mieczysław Rakowski. Kilkanaście przelewów trafiło też na konta powiązanych z postkomunistyczną lewicą podmiotów, które później założyły towarzystwo ubezpieczeniowe Polisa. – Właścicielami akcji Polisy stali się później państwo Kwaśniewscy. Pamiętamy skandal, jaki wybuchł w związku z zatajeniem przez Aleksandra Kwaśniewskiego faktu posiadania tych akcji w swoim oświadczeniu majątkowym – mówił Kamiński. Sejm na powołanie komisji śledczej wówczas się nie zgodził.

W akcji CBA pieniądze za willę trafiły do przyjaciela Kwaśniewskiej – Marka Z. Miał zeznać, że działał na polecenie byłej pierwszej damy. Jego zeznania są jednym z ważniejszych dowodów w sprawie

A afera z akcjami Polisy, o której przypominał Kamiński, to jeden z większych skandali towarzyszących karierze politycznej Kwaśniewskiego. W 1995 r. „Życie Warszawy" ujawniło, że żona Oleksego oraz żona Kwaśniewskiego są akcjonariuszkami Towarzystwa Ubezpieczeniowo-Reasekuracyjnego Polisa SA, którego udziałowcami były też państwowe i gospodarujące publicznymi pieniędzmi instytucje. Mimo braku znaczących zysków Polisa wypłacała akcjonariuszom – ludziom z aparatu SLD i dawnego PZPR – wysokie dywidendy, jednocześnie fałszowano jej sprawozdania finansowe, a państwowe organy kontrolne mimo informacji o nieprawidłowościach nie podejmowały interwencji. Okazało się też, że Kwaśniewski, startujący wówczas w wyborach prezydenckich, zataił informację o posiadaniu przez żonę akcji Polisy w poselskiej deklaracji majątkowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

Kwaśniewski w kręgu zainteresowania śledczych

Marcin Makowski

Czy prezydent Aleksander Kwaśniewski, wraz z innymi europejskimi politykami, przyjmował gotówkę od byłego lobbysty Wiktora Janukowycza oraz menedżera kampanii Donalda Trumpa? Sprawę badają amerykańscy śledczy

Grupa Habsburg" – taką nazwę miało nosić elitarne grono byłych przywódców państw europejskich, które zdaniem amerykańskiego specprokuratora Roberta S. Muellera pobierało korzyści majątkowe z rąk prorosyjskiego lobbysty oraz menedżera kampanii Donalda Trumpa, Paula Manaforta. W śledztwie toczącym się obecnie w Waszyngtonie wzięto pod lupę nie tylko jego powiązania z ludźmi Władimira Putina, lecz także lata 2012–2013, kiedy pracował dla prezydenta Ukrainy, Wiktora Janukowycza.

W tym czasie, zdaniem amerykańskiej speckomisji, Manafort wraz ze swoim wspólnikiem Rickiem Gatesem miał założyć grupę wpływowych osobistości „występujących na rzecz Ukrainy oraz przemawiających w tym zakresie na konferencjach w Stanach Zjednoczonych" oraz potajemnie kierować jej działaniami. W akcie oskarżenia sformułowanym w piątek 23 lutego czytamy m.in. o 2 mln euro, które poprzez cztery zagraniczne tajne konta bankowe miały być rozdysponowane pomiędzy polityków występujących w rolach „niezależnych ekspertów" od spraw ukraińskich.

Jak podaje „The New York Times", w poufnym dokumencie datowanym na czerwiec 2012 r., do którego dotarli amerykańscy śledczy, Manafort wspomina o „super VIP-ach", którzy „w małych grupach, stworzonych z europejskich liderów opinii na wysokim szczeblu i ich wiarygodnych przyjaciół, będą działać nieformalnie i bez widocznych powiązań z rządem ukraińskim".

Owa grupa miała być wytypowana przez „byłego europejskiego kanclerza", przedstawionego jako „zagraniczny polityk »A«".

Zdaniem Roberta S. Muellera szczególnie w 2013 r. członkowie „Grupy Habsburg" mieli intensywnie i zakulisowo wpływać na stanowisko amerykańskich kongresmanów, przedstawiając przychylny obraz prorosyjskiego rządu Janukowycza, który de facto przez swojego lobbystę, a następnie menedżera kampanii Donalda Trumpa, autoryzował finansowo całą operację. Chociaż w amerykańskich dokumentach nie padają konkretne nazwiska, to zagraniczne media błyskawicznie zidentyfikowały kilku polityków mogących działać w porozumieniu z Manafortem – w tym byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

Według „The Financial Times" i „The Washington Post" na czele grupy stali były austriacki kanclerz Alfred Gusenbauer (utożsamiany ze wspomnianym „zagranicznym politykiem A") oraz były premier Włoch i szef Komisji Europejskiej – Romano Prodi. W rozmowie z BBC Gusenbauer potwierdził, że w dobrej wierze „działał na rzecz zbliżenia się Ukrainy do Unii Europejskiej i USA", w tym celu spotykając się z członkami Kongresu na zlecenie grupy lobbingowej Mercury Public Affairs. Jak się okazało, firma organizowała również spotkania edukacyjne w USA z udziałem innych postaci życia publicznego z Europy, w tym z Aleksandrem Kwaśniewskim.

Były prezydent odcina się jednak od powiązań z ludźmi Wiktora Janukowycza. Jak przyznaje, spotykał się jednak wcześniej z Manafortem. – Poznaliśmy się w 2012 r., kiedy wraz z byłym szefem Parlamentu Europejskiego Patem Coxem prowadziliśmy na Ukrainie misję, która miała za zadanie przekonać Janukowycza do zwolnienia z więzienia liderki opozycji Julii Tymoszenko. Spotykaliśmy się kilka razy, licząc, że Manafort pomoże przekonać Janukowycza. Nie widziałem się z nim od listopada 2013 r., gdy Janukowycz odmówił podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE i wybuchł Majdan – tłumaczył Kwaśniewski w rozmowie z Onetem i zapewnił, że „żadne pieniądze od niego nie wchodzą w grę".

Jak dodał, w latach 2012–2013 organizowanych było wiele debat i konferencji na temat Ukrainy. – Brałem w nich udział, czasem z Prodim, czasem z Gusenbauerem. Oczywiście braliśmy honoraria. Może Manafort opłacał je przez swoje firmy? Jednak to były publiczne, jawne debaty – stwierdził Kwaśniewski. Również Alfred Gusenbauer zapewniał w rozmowie z austriacką agencją prasową APA, że nigdy nie otrzymywał pieniędzy pośrednio ani bezpośrednio od prezydenta Janukowycza. Także biuro prasowe Romano Prodiego wyraźnie odcięło się od jakichkolwiek oskarżeń o udział w płatnym i niezarejestrowanym na terytorium USA lobbingu na rzecz interesów ówczesnego promoskiewskiego prezydenta Ukrainy.

Nowy akt oskarżenia wobec byłego szefa kampanii Donalda Trumpa pojawił się w ten sam dzień, w którym jego współpracownik Rick Gates przyznał się do dwóch zarzucanych mu przestępstw i zobowiązał się do współpracy ze śledczymi w sprawie Rosji i wyborów prezydenckich w 2016 r. Manafort konsekwentnie nie przyznaje się do winy. Warto zaznaczyć, że akt oskarżenia przeciwko Paulowi Manafortowi nie stwierdza, by działalność Aleksandra Kwaśniewskiego czy innych polityków europejskich naruszała prawo. ©℗

eprasa.pl fd2222a256

Tomasz P. Terlikowski

Łatwość czynienia cudów. Wenanty jak Szarbel

Jeśli jest w Polsce jakiś kandydat na świętego podobny do św. Szarbela, to jest nim Sługa Boży Wenanty Katarzyniec. Obaj przeżyli życie w milczeniu, odosobnieniu, bez wielkich, nadzwyczajnych wydarzeń. Obaj stali się naprawdę aktywni dopiero po śmierci, obaj wreszcie mieli nadzwyczajną łatwość czynienia cudów. Jest też różnica. Święty Szarbel często wymadlał potężne cuda: uzdrowienia, niezwykłe nawrócenia, niesamowite wydarzenia. Sługa Boży Wenanty Katarzyniec jest zaś, można powiedzieć, bardziej przyziemny. Dzięki jego wstawiennictwu można załatwić środki konieczne do remontu, wspomóc swój biznes, znaleźć pracę, kupić samochód dla rodziny, a także – z innej sfery – doprowadzić ludzi, którzy wiele lat się nie spowiadali, do kratek konfesjonału. Katarzyniec działa błyskawicznie!

Dominika Figurska, aktorka

Wenanty pomaga w problemach materialnych!

Kiedy wracaliśmy z mężem z wakacji, zatrzymaliśmy się w Kalwarii Pacławskiej. Wychodząc z sanktuarium, spotkaliśmy Tomasza Terlikowskiego. Zapytał, czy modliliśmy się już przed grobem Wenantego Katarzyńca. Nie miałam pojęcia, o kim mowa. Tomek opowiedział nam jego historię: gdy św. Maksymilian Kolbe miał kłopoty finansowe, przyjeżdżał do Kalwarii i modlił się przy grobie Katarzyńca. Poszliśmy w jego ślady i poprosiliśmy Wenantego o większy samochód dla naszej siedmioosobowej rodziny. Nie minął miesiąc, a pod naszym domem stało rodzinne auto!

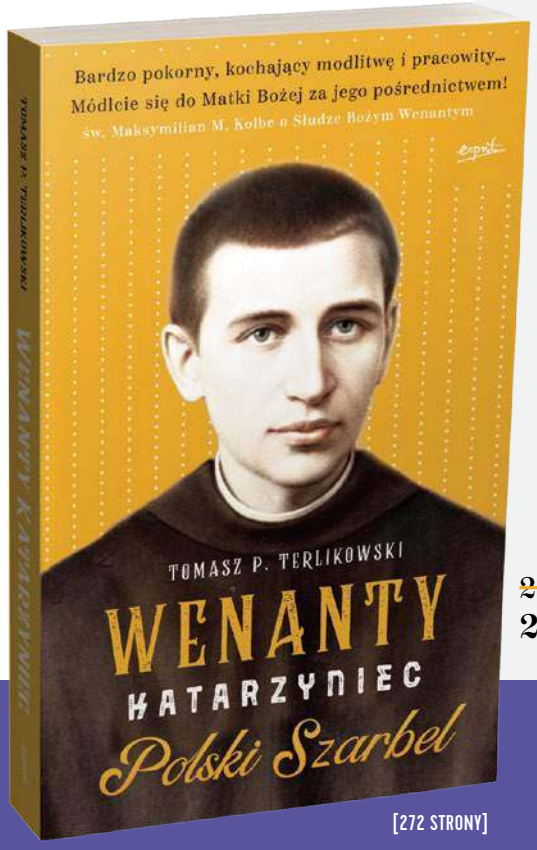

[272 STRONY]

~~29,90 zł~~
24,90 zł

Zamów książki na www.esprit.com.pl lub telefonicznie: 12 267 05 69, 12 264 37 09, 12 264 37 19. Atrakcyjne rabaty! Przy zamówieniach powyżej 70 zł darmowa dostawa.

eprasa.pl fd2222a256

Wyciągnąć wóz

Piotr Semka

Kryzys wokół nowelizacji ustawy o IPN trwa już piąty tydzień. Dlaczego tak ciężko PiS wyjść z tego kryzysu? W ciągu wielu dni rozmawiałem na ten temat z dyplomatami gaszącymi pożar w rozmowach ze stronami izraelską i amerykańską. Na ich podstawie warto wyliczyć problemy, które czynią sytuację tak trudną

Jest coś przewrotnego, że wybuch kryzysu w trakcie uroczystości w Auschwitz nastąpił wieczorem w dniu, kiedy Jarosław Kaczyński odniósł chyba swój największy triumf dyplomatyczny w życiu. Sekretarz stanu USA Rex Tillerson odwiedził go w biurze przy Nowogrodzkiej. Parę dni później Kaczyński musiał zrozumieć, że na szczytach rządzącej partii doszło do błędu o niezwykle poważnych konsekwencjach. Przed podjęciem decyzji o nowelizacji ustawy o IPN w końcu stycznia nikt na czas nie zwrócił uwagi prezesowi na notatkę ze spotkania, do którego doszło 19 stycznia w MSZ z Thomasem K. Yazdgerdim, odpowiedzialnym w amerykańskim Departamencie Stanu za kwestie dotyczące Holokaustu. Yazgerdi wyraził opinię, że w przypadku uchwalenia zmian w ustawie o IPN, jak również w przypadku oskarżenia J.T. Grossa, Departament Stanu będzie zmuszony do wyrażenia krytycznego stanowiska. Być może to, że w czasie kolejnego spotkania z wiceministrem Patrykiem Jakim wysłannik z USA skupił się na pytaniach o udział obywateli USA w ewentualnej reprywatyzacji, odwróciło uwagę od kwestii nowelizacji ustawy o IPN. Nie zmienia to tego, że w trójkącie MSZ-MS-Nowogrodzka – czy to wskutek rywalizacji, czy też braku koordynacji działań – nie znalazł się nikt, kto na czas wyczułby kłopoty.

Ze swojej strony Amerykanie popełnili błąd, próbując, tuż po wybuchu konfliktu, zbyt obcesowo naciskać na Warszawę, aby nowelizacja ustawy po uchwaleniu jej przez Sejm nie miała szans na przejście w Senacie. Urażony mało dyplomatyczną szarżą ambasador Anny Azari w Auschwitz Kaczyński, a po nim Andrzej Duda uznali, że o zmianie nowelizacji można dyskutować dopiero po jej podpisaniu w Pałacu Prezydenckim. Kolejnym zgrzytem w relacjach Waszyngton – Warszawa była wypowiedź premiera Mateusza Morawieckiego z 17 lutego, której udzielił w Monachium. Wydaje się, że Amerykanie przestraszyli się, iż Morawiecki chce eskalować konflikt. To wtedy powstać mogła nagłośniona przez Onet tajna notatka, zawierająca supozycje zawieszenia spotkań na najwyższym szczeblu i pewnego „schłodzenia relacji".

Opisując ten dokument, Onet, jak mógł, podkręcił jego ultymatywność i ostrość, pisząc o sankcjach, które mają uderzyć w Andrzeja Dudę. Można przyjąć, że Amerykanie dwa tygodnie po jej sformułowaniu zorientowali się, że Polska nie eskaluje konfliktu. Odwrotnie – wysyłane były gesty pojednawcze. Dobre wrażenie zrobiło też szybkie wysłanie 26 lutego do USA wiceministra Marka Magierowskiego z misją wyjaśniania stanowiska polskiego tamtejszym politykom. Podobnym sygnałem była wspólna wizyta 27 lutego prezydenckiej pary w towarzystwie rabina Michaela Schudricha w krakowskim przedszkolu żydowskim, choć nie zmieniło to stanowiska USA.

Paradoks polegał na tym, że media polskie, a za nimi światowe, zaczęły powtarzać news Onetu właśnie wtedy, gdy obawy Departamentu Stanu o linię Warszawy osłabły. Chociaż oczywiście sprzeciw wobec ustawy i message: „Załatwcie to z Izraelem jak najszybciej" pozostawały w mocy. Jednak Waszyngton zaniepokoiło to, że zaczęło się tworzyć medialne wrażenie, jak gdyby doszło do zerwania specjalnych relacji Polska – USA.

Stąd szybka wypowiedź rzeczniczki Departamentu Stanu, podkreślająca, że o żadnych sankcjach nie ma mowy, choć USA zachowują krytycyzm wobec nowelizacji ustawy o IPN. Używając swobodnego języka – Amerykanie dali sygnał: prowadzimy z Polakami dyskusję i mamy swoje postulaty, ale jest to dialog dyskretny i nikomu nic do tego.

Stan relacji na linii Waszyngton – Warszawa nie jest więc ani bezpro-

eprasa.pl fd2222a256

blemowy, ani tak dramatyczny, jak próbował to przedstawić Onet, a za nim politycy opozycji. Jednak tak jak np. Jan Grabiec z PO z przesadą wieszczył, że tylko patrzeć, jak US Army zniknie z Polski, tak politycy PiS, także na pożytek wojny polsko-polskiej, przekonywali, że żadnego problemu nie ma.

deklaruje wolność badań historyków, ma na celu ograniczenie swobody dyskusji o Holokauście. Tutaj jako dowód na ukryte intencje podaje się pozwy wobec Jana Tomasza Grossa, notabene obywatela amerykańskiego, który skutecznie buduje za Atlantykiem swój wizerunek zagrożonej w Polsce ofiary.

Beniamin Netanjahu przemawia w Waszyngtonie. 6 marca 2018 r.
FOT. JOSE LUIS MAGANA/AP/EAST NEWS

z grzęzawiska

Politycy PiS tacy jak Mariusz Błaszczak podkreślają pozytywne stanowisko sekretarza obrony Jamesa Mattisa w sprawie Polski. To prawda, ale jednocześnie w Departamencie Stanu i – szerzej – w świecie amerykańskiej polityki, w Kongresie, kwestia normalizacji relacji Polski z Izraelem traktowana jest niezwykle serio.

SPOJRZENIE ZZA ATLANTYKU

Moi rozmówcy z MSZ wskazują, że mało kto w Polsce zauważa, iż do wyobraźni polityków zza oceanu najmocniej trafiły przekazy prasowe o groźbie ograniczenia przez polską ustawę wolności słowa, co w USA zawsze wywołuje sprzeciwy. Polscy rozmówcy trafiają też na ugruntowane przekonanie kongresmenów, że nowa ustawa, nawet jeśli

„Dodatkowym problemem w rozmowach bywa wyjaśnianie, czym się różni polski zapis odróżniający obwinienie narodu polskiego za Holokaust od win poszczególnych Polaków. Po angielsku termin »People of Poland« oznacza zarówno cały naród, jak i grupy pojedynczych Polaków" – wskazuje jeden z negocjatorów.

Ten sprzeciw jednak, wypływający z liberalnych tradycji anglosaskich, nie byłby tak silny, gdyby nie nałożył się na zdeterminowany nacisk lobby żydowskich w Ameryce, żądających do kongresmenów i administracji Trumpa kontrakcji przeciw ustawie, która w ich opinii prowadzi do negacji Holokaustu. A wojenna tragedia Żydów została już dawno włączona do tradycji USA i nawet podejrzenie o jej umniejszanie wywołuje sprzeciw Waszyngtonu.

Amerykańscy kongresmeni wolą nie zadzierać z największymi organizacjami żydowskimi, na czele z wpływowym AIPAC. Nieprzypadkowo premier Beniamin Netanjahu, gdy odwiedził 6 marca zjazd AIPAC w Waszyngtonie, dziękował jej liderom za skuteczne promowanie interesów izraelskich w USA. Mając do wyboru sympatie do Polski i chęć utrzymywania dobrych stosunków z AIPAC, niemal każdy kongresmen wybierze lobby żydowskie. A te potrafi bardzo dobitnie przypominać o agendzie swoich postulatów, wśród których od lutego jest zmuszenie Polski do odrzucenia ustawy o IPN lub dokonanie w niej znacznych zmian.

Jakby tego było mało, na to wszystko nałożył się niekorzystny dla Polski kalendarz wyborczy w USA.

„W Ameryce odbędą się w tym roku wybory do Kongresu i wszyscy kongresmeni są wyczuleni na wsparcie organizacji żydowskich" – wskazuje jeden z polskich dyplomatów. „Jeśli prezydent Donald Trump straci dotychczasową większość w Izbie Reprezentantów i w Senacie – będzie mu niezwykle trudno rządzić". Nic dziwnego, że w obu partiach ogłoszono alert. W USA kongresmen walczący o reelekcję zarówno dba o wsparcie przekładające się na liczbę głosów ze strony grup etnicznych, takich jak np. Latynosi, jak i musi dbać o wsparcie finansowe. A to już domena żydowskich grup lobbingowych. Wizja kongresmenów blokujących finanse na pobyt US Army w Polsce nie jest więc nieprawdopodobna.

Dodajmy do tego jeszcze utrwalany od dwóch lat w czołowych mediach, takich jak „The New York Times", „The Washington Post" czy CNN, wizerunek Polski jako państwa odchodzącego od demokracji. Nawet republikanie, którzy sami wiedzą najlepiej, ile fake newsów wykreował CNN przeciw Trumpowi, krytyczne teksty o Polsce traktują serio, bo niewiele o niej wiedzą.

Sytuację ratowałoby w jakimś stopniu silne lobby sprzyjające Polsce. Jednak większość tzw. przyjaciół Polski to kręgi przyjaciół dawnej Unii Wolności, czerpiące wiedzę o naszym kraju z kręgów opozycji. A siła Polonii to cień jej dawnego znaczenia jeszcze z lat 90.

IZRAEL CZEKA

Nieco inne problemy ma Polska z Izraelem. Tutaj od początku konfliktu elementem podstawowym jest specyfika

eprasa.pl fd2222a256

tamtejszego życia politycznego. Izrael choruje na rozdrobnienie życia partyjnego (obecny rząd tworzy aż sześć ugrupowań) i stosunkowo dużą brutalność gry politycznej. Rządy oscylują na granicy większości w Knesecie. A obecny szef rządu tkwi po uszy w aferach. Wzmacnia to pozycję sprawnych krzykaczy, którzy oddziałują na emocje. To zarzuty lidera opozycji Yaira Lapida wobec Beniamina Netanjahu, że nie kultywuje pamięci o Holokauście i pozwala Polsce na ściganie ocalałych z Zagłady, skłoniły premiera Izraela do postawienia sprawy polskiej ustawy na ostrzu noża. Yair Lapid nadal pilnuje, by Netanjahu o sprawie Polski nie zapomniał. Niedawno po pierwszym pozwie Reduty Dobrego Imienia przeciw argentyńskiej gazecie wezwał „Bibiego" do odwołania ambasador Azari z Warszawy do Jerozolimy.

– Lapid reprezentuje lewicę, a ta od lat krytykuje Netanjahu za kontakty z krajami środkowej Europy, takie jak flirt z antysemitami i sprzedawanie interesów Izraela. „Bibi" broni się, ale w sytuacji konfliktu z Polską musi demonstrować stanowczość. A antypolonizm znajduje tu posłuch – mówi jeden ze znawców polityki Izraela.

Nie oznacza to, że w gazetach nie zdarzają się głosy rozsądku, takie jak ten seniora izraelskiej polityki Szlomo Avneriego, że wycieczki młodzieży powinny zaczynać się w Berlinie, gdzie zaplanowano Zagładę, a nie obejmować tylko obozy na terenie Polski. Jednak to głosy elitarne. Politycy liczą się zaś z emocjami mas. A te na hasło najmniejszej nawet negacji Holokaustu reagują z religijnym oburzeniem.

Na tym tle to i tak dobrze, że Izrael przyjął dość rzeczowo polską grupę do spraw dialogu historycznego, ale sprawę stawia jasno: bez zmian w ustawie o porozumieniu nie ma mowy. Ponadto Netanjahu nie odwołał jak dotąd Anny Azari do Jerozolimy. Jeden z polskich dyplomatów wskazuje, że na nerwowość Jerozolimy wpływa ponownie rosnące poczucie zagrożenia Izraela.

„W krajach Unii od lat nasila się izolowanie państwa żydowskiego. To efekt coraz ważniejszej roli muzułmańskich wyborców, ale i niechęci do Izraela jako »kraju zaborczego«. W grudniu 2017 r. Izrael wystąpił z UNESCO, bo siłą głosów delegatów z zachodniej Europy przegrał głosowanie w sprawie objęcia ochroną arabskich miejsc historycznych w Hebronie i Jerozolimie. Coraz więcej jest niechętnych Izraelowi uchwał w Parlamencie Europejskim. W kwietniu spotkają się przywódcy Rosji, Turcji i Iranu. Kooperacja tych trzech antyzachodnich sił w Syrii bardzo niepokoi Żydów".

Wydawało się, że w tej sytuacji Izrael powinien jeszcze bardziej cenić silne wsparcie ze strony Polski. – Teoretycznie tak – mówi mój rozmówca. – Jednak irytacja wywołuje emocje, które najbezpieczniej wyładować na kraju, który wielu Izraelczykom ich dziadkowie i babcie opisywali jako „kraj niewoli".

Otwarty – na razie – pozostaje wyjazd wiceministra Marka Magierowskiego na stanowisko ambasadora w Izraelu. Polskie MSZ złożyło wniosek w sprawie jego agrément i czeka na odpowiedź. Władze w Jerozolimie nie tylko w przypadku Polski mają ponoć zwyczaj długiego rozpatrywania takich wniosków.

Emocje najbezpieczniej wyładować na kraju, który wielu Izraelczykom ich dziadkowie i babcie opisywali jako „kraj niewoli"

Izraelskie media pozytywnie przyjęły rezolucję Sejmu z okazji Marca '68 z wyraźnym potępieniem antysemityzmu oraz przeprosiny Andrzeja Dudy wobec żydowskich emigrantów złożone na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego 8 marca. Z drugiej strony lodowato zabrzmiała wypowiedź ambasador Anny Azari w czasie uroczystości na Dworcu Gdańskim tego samego dnia. Nawiązując do wcześniejszych słów premiera Polski, Azari mówiła: – Przez ostatnie półtora miesiąca już wiem, jak łatwo w Polsce obudzić i przywołać wszystkie demony antysemickie – nawet kiedy w kraju prawie nie ma Żydów. Są ludzie, którzy mówią, że wtedy nie było Polski. [...] Można przypisać Związkowi Radzieckiemu zerwanie stosunków dyplomatycznych z Izraelem. Rzeczywiście wszystkie kraje bloku komunistycznego oprócz Rumunii zrobiły to. Jednak Marzec '68 zdarzył się tylko w Polsce".

NIEOCZEKIWANY CIOS

Dopiero na tle problemów, jakie ma polska dyplomacja z opanowaniem kryzysu w relacjach z Jerozolimą oraz jego wpływem na stosunki z Waszyngtonem, można zrozumieć, jak bardzo dolegliwe dla MSZ były sensacje Onetu na temat poufnej notatki Amerykanów, która mogła jeszcze bardziej osłabić pozycję Polski w świecie. Onet, powołując się na dziennikarskie prawo do nagłośnienia zdobytych dokumentów, jednocześnie postawił Polskę w bardzo trudnej sytuacji dyplomatycznej i dlatego wywołało to tyle emocji.

A sam fakt wycieku poza MSZ tak poufnego dokumentu pokazuje, że PiS ma w resorcie wciąż wielu cichych zwolenników opozycji. Powtórzmy, że tylko szybka pomoc Amerykanów w postaci dementi rozładowała sytuację.

Kolejnym przykładem dobrej woli Waszyngtonu jest wizyta ministra Krzysztofa Szczerskiego w USA. Jego godzinna rozmowa z Wessem Mitchellem, asystentem sekretarza stanu ds. Europy i Eurazji, to sygnał, że o zatrzaskiwaniu drzwi nie ma mowy. Wyraźnie pod wpływem krajowej wrzawy Szczerski podjął temat możliwego spotkania prezydentów Polski i USA. – Dzisiaj rozmawiałem o tym w Departamencie Stanu. Decyzja jest taka, że wszystkie opcje są możliwe, wszystkie opcje co do terminów spotkań i forum spotkań dwóch prezydentów są otwarte, żadna nie została zamknięta – powiedział Szczerski.

Nikt jednak nie ma złudzeń – sprawy mają szanse ruszyć z miejsca dopiero po werdykcie Trybunału Konstytucyjnego odnośnie do nowelizacji ustawy. W grę wchodzą albo nowa interpretacja ustawy, albo odesłanie jej do Sejmu ze wskazaniem, które przepisy należy zmienić. Sędziowie TK unikają pytań o termin werdyktu. Jedynie Mariusz Muszyński mówił pod koniec stycznia, że Trybunał zajmie się ustawą najwcześniej za dwa miesiące. Jednocześnie dodał: „Rozpatrzenie sprawy za kilka tygodni jest możliwe przy założeniu, że strony postępowania terminowo zajmą pisemne stanowiska w sprawie".

Dwa miesiące zatem czy kilka tygodni? W sprawie o tak ogromnym znaczeniu dla sytuacji zagranicznej Polski można chyba wymagać od sędziów TK większej elastyczności. Tym bardziej że nasza dyplomacja już znajduje się wobec presji nowej daty – uroczystości 75. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim 19 kwietnia 1943 r. Światowe media z pewnością będą śledzić, kto i w jakiej randze przybędzie z Izraela. Rocznica Marca '68 przeszła wbrew obawom dość spokojnie. Kolejna próba sił już za miesiąc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

Pieniądze bliżej ludzi – Bancovo

Demokratyzacja, transparentność i jedno miejsce, gdzie klient znajdzie ofertę, której szuka – to właśnie te elementy mogą zapewnić sukces w sektorze pośrednictwa finansowego on-line. Wszystkie te elementy ma nowa platforma Bancovo, która od marca jest dostępna dla indywidualnych klientów

Start Bancovo to realizacja hasła „Czas to pieniądz" – nakierowanie usługi na potrzeby klienta. Platforma ruszyła z początkiem marca i – jak zapewniają jej twórcy – wypełni pustkę w obszarze łączenia klienta szukającego usług finansowych z tymi, którzy je oferują.

OFERTA ZAMIAST REKLAM

Platforma rusza z czterema podmiotami partnerskimi – Inbankiem, Alior Bankiem i firmami pożyczkowymi TakTo Finanse i SuperGrosz – to ich propozycje oferty są już dostępne dla klientów, którzy wejdą na Bancovo.pl.

Zasady działania platformy są proste, klient wchodzi na stronę i cały proces aplikowania o pożyczkę, weryfikacji danych i otrzymania decyzji odbywa się przez Internet. Kluczowa różnica pomiędzy Bancovo a zwykłymi porównywarkami pożyczek polega na tym, że na tej platformie klient ogląda realne oferty, a nie tylko teoretyczne propozycje – jeśli weryfikacja klienta wypadnie pomyślnie, to może on zapoznać się z ofertami nawet po minucie, a pieniądze otrzymać nawet w ciągu 15 minut.

Prezes spółki NewCommerce Services, właściciela firmy Bancovo, Monika Charamsa podkreśla, że twórcy platformy skupili się przede wszystkim na przejrzystości procesu ubiegania się o pożyczkę, a także na jego maksymalnym uproszczeniu.

Z jednej strony, firma stosując wysokiej klasy technologie zabezpieczające dane, dba o klienta, a z drugiej strony zabezpiecza też w ten sposób banki i firmy pożyczkowe, które działają w ramach Bancovo.

Wojciech Rudzki, dyrektor ds. rozwoju biznesu w Bancovo, zapewnia, że otwarcie platformy to skuteczne połączenie dwóch światów – klientów, którzy korzystają z usług finansowych i oczekują prostego oraz skutecznego dostępu do tych usług on-line, z instytucjami finansowymi, które mogą w bezpiecznym miejscu zaoferować nowym klientom konkretne usługi.

INWESTYCJA W PRZYSZŁOŚĆ

Głównym inwestorem platformy Bancovo jest Alior Bank, który na projekt przeznaczył 30 mln zł. Przedstawiciele banków biorący udział w inauguracji projektu zapewniają, że platforma nie będzie polem do konfliktu między różnego rodzaju instytucjami oferującymi pożyczki, ale miejscem, gdzie klient będzie mógł wybrać najlepszą dla siebie ofertę.

– To inwestycja otwarta, obecnie Bancovo negocjuje z kolejnymi podmiotami, które będą dołączać do platformy – mówił podczas konferencji prasowej Michał Chyczewski, p.o. prezes Alior Banku. – Ten projekt narodził się w Alior Banku, oznacza rewolucję w zakresie udzielania pożyczek gotówkowych. To pierwsze miejsce, gdzie można w pełni on-line uzyskać pożyczkę – podkreślał Chyczewski.

Chociaż przedstawiciele Alior Banku ani samego Bancovo nie zdradzają, z kim rozmawiają o akcesie do platformy, to – jak sami przyznają – ich plany są ambitne. Poza kampanią marketingową siłę Bancovo będą bowiem zwiększali kolejny partnerzy – prawdopodobnie do końca roku do platformy dołączy pięć–sześć banków (w tym dwa może już w najbliższym kwartale), a także siedem–osiem firm pożyczkowych.

– Obecnie mówimy o pożyczkach gotówkowych, niedługo być może też o kredytach hipotecznych i ubezpieczeniach – zapowiadają przedstawiciele Bancovo.

BOOKING.COM, NETFLIX I BANCOVO

– Polska jest postrzegana na świecie jako lider w kwestiach finansowych, polskie banki, a szczególnie Alior Bank, są otwarte na innowacje – mówił podczas inauguracji serwisu Chris Skinner niezależny komentator rynków finansowych, specjalista od fintechów. Jak tłumaczył ekspert, jedną z takich innowacji, z którymi „mierzy się" obecnie cały świat, jest właśnie postępująca digitalizacja usług, która uzasadnia potrzebę powstawania takich platform jak Bancovo.

Jak podkreślił Skinner, takie rozwiązania funkcjonują już w wielu miejscach na świecie, a gwarantem ich skuteczności muszą być transparentność i bezpieczeństwo działania, zapewnienie równego dostępu dla wszystkim klientów – co umożliwia dostęp do platformy przez Internet oraz zebranie jak największej liczby usług w jednym miejscu.

– Wchodzimy do Internetu, bo klienci już tam są. Dlatego w wielu branżach pojawił się fenomen, jakim są agregatorzy usług. Jeśli jedziemy na wakacje – to myślimy o Booking.com, jeśli szukamy rozrywki – to wchodzimy na Netflixa, jeśli zamawiamy jedzenie – to przez UberEats albo Pyszne.pl. Pomyśleliśmy, że branża finansowa nie ma jeszcze takiego agregatora. Mamy ambicje, żeby za rok klient, który pomyśli o pożyczce, pomyślał Bancovo – podkreśla Monika Charamsa.

(z.d.)

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl fd2222a256

FOT. ADAM JAGIELAK/ WPROST

Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego
rozmawia Maciej Pieczyński

Polska nie jest czarną owcą w unijnej rodzinie

MACIEJ PIECZYŃSKI: Według informacji Onetu do czasu przyjęcia zmian w ustawie o IPN ani prezydent Trump, ani wiceprezydent Pence nie będą spotykać się z prezydentem Dudą i premierem Morawieckim. Wygląda na to, że zraziliśmy do siebie nawet najbliższego sojusznika. Jak mogło dojść do tej dyplomatycznej katastrofy?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Nie przesadzajmy. Nie żadnej dyplomatycznej katastrofy lub sankcji. Departament Stanu już zaprzeczył tym informacjom. Można więc tylko pytać, kto rozsiewa tego rodzaju informacje i w jakim celu. To, że jakiś urzędnik w Departamencie Stanu mógł krytycznie odnieść się do ustawy o IPN, jest wprawdzie możliwe, ale robienie z tego tragedii świadczy o stanie psychozy, w jaki popadała część polskich mediów.

Został pan jednym z 14 wiceprzewodniczących Parlamentu Europejskiego. Do końca kadencji został jeszcze rok. Jak zamierza pan wykorzystać ten czas?

Pytanie jest przedwczesne. Muszę się zorientować, jakie dokładnie możliwości daje to stanowisko. Ryszard Czarnecki zajmował się m.in. relacjami ze wschodnimi sąsiadami UE. Będę to kontynuował. W tym tygodniu najprawdopodobniej dowiem się, co konkretnie będzie należało do moich szczegółowych zadań. Poza tym wiceprzewodniczący pełni również oczywiście obowiązki administracyjne, organizacyjne, prowadzi obrady, głosowania, reprezentuje parlament na zewnątrz, w zastępstwie przewodniczącego. Jednak oprócz tych oficjalnych funkcji są też możliwości nieformalnego wpływania na podejmowane decyzje i procesy polityczne. Mam na myśli większą niż przed nominacją możliwość

eprasa.pl fd2222a256

nawiązywania kontaktów, budowania sojuszy… W debatach na temat sytuacji w Polsce czy dotyczących przyszłości Europy głos jednego z 14 wiceprzewodniczących ma większą siłę przebicia niż głos jednego z 751 szeregowych posłów.

W jaki sposób i w jakich sprawach zamierza pan wykorzystać tę siłę przebicia?

Myślę, że pomimo tej brudnej kampanii oszczerstw, jaką rozpętano, by uniemożliwić przegłosowanie mojej kandydatury, dałem się poznać jako osoba, która ma dobre kontakty z kolegami z różnych grup politycznych. Wdrożona przeciw Polsce procedura oparta jest na równie iluzorycznych podstawach empirycznych, co formułowane pod moim adresem oskarżenia o poglądy skrajnie „eurosceptyczne" czy nawet „faszystowskie". Dlatego ważne wydaje mi się kontynuowanie rozpoczętego jeszcze w trakcie ubiegania się o fotel wiceprzewodniczącego cyklu spotkań z liderami grup politycznych w PE i wpływowymi posłami. Właśnie w takich nieformalnych rozmowach można wiele wyjaśnić, wiele wytłumaczyć adwersarzom. Większość zarzutów pod adresem Polski czy polskiego rządu – od tych dotyczących praworządności aż do polityki historycznej – wynika z nieporozumień. Będę więc spokojnie rozmawiać i wyjaśniać nasze racje. Pozytywnym sygnałem są słowa Manfreda Webera, przewodniczącego frakcji Europejskiej Partii Ludowej, który wyraził nadzieję, że będziemy blisko współpracować.

W dniu, w którym został pan wybrany na wiceprzewodniczącego PE, ten sam PE uchwalił kolejną rezolucję w sprawie Polski. To nie jest pozytywny sygnał.

Oczywiście, ale spodziewaliśmy się tego. Bruksela nie tylko nie rozumie naszego stanowiska, lecz także w sposób skrajnie niesprawiedliwy stosuje różne kryteria oceny różnych krajów. Rozmawiamy dzień po wyborach we Włoszech. Reakcja mediów zachodnich jest jednoznaczna: oto mamy do czynienia z nowym „chorym państwem Europy". Nagle okazuje się, że Włochy są wielkim problemem dla UE. Nikt tego dotąd nie głosił z taką wytrwałością, z jaką godną lepszej sprawy wykazuje się w przypadku atakowania Polski. A przecież Włochy miały swoje poważne problemy na długo przed wyborczym zwycięstwem Ruchu Pięciu Gwiazd. Komisja Europejska naprawdę ma się komu przyglądać w UE. Zabójstwo dziennikarzy śledczych na Słowacji i Malcie, różne dziwne praktyki na Malcie i Cyprze, takie jak np. sprzedawanie obywatelstwa oligarchom rosyjskim o szemranych powiązaniach, ograniczenia praw obywatelskich we Francji…

Trudno mieć nadzieję, że Komisja Europejska przestanie się nami zajmować, bo się skupi na innych.

Gdybyśmy przeanalizowali rzetelnie sytuację we wszystkich krajach UE, okazałoby się, że Polska naprawdę nie jest żadną czarną owcą w unijnej rodzinie. Nawet Niemcy mają swoje problemy – dopiero po kilku miesiącach od wyborów sformowali rząd. O trójpodziale władzy w tym kraju też można dyskutować. Wiemy przecież, że niemieccy sędziowie mogą należeć do partii politycznych, że niemieckie media publiczne znajdują się pod ścisłą kontrolą polityczną. Ma pan jednak rację, że Komisja Europejska zapewne się tym nigdy nie zajmie. Frans Timmermans, tak chętny do pouczania Polski, nie odważy się zapytać, dlaczego w Niemczech polityk, były premier kraju związkowego, członek CSU, mógł zostać sędzią Trybunału Konstytucyjnego. A przecież wydawałoby się, że w świetle wartości europejskich jest to poważne naruszenie zasady rozdziału władz. Niechęć KE do zajmowania się Francją czy Niemcami wynika stąd, że obok tych szczytnych haseł unijnych, które mówią o wartościach, o państwie prawa, jest jeszcze – a w zasadzie przede wszystkim – twarda polityka. To przecież właśnie interes polityczny sprawia, że dziś w oczach brukselskich elit Silvio Berlusconi już nie jest populistą, tylko mężem stanu, który ratuje Włochy przed populizmem, do spółki zresztą z Ligą Północną, która jeszcze niedawno uchodziła za skrajnie prawicową. Co więcej, Liga należy w PE do frakcji Europa Narodów i Wolności, która była wykluczona ze wszystkich negocjacji prawnych i legislacyjnych, była całkowicie bojkotowana. Przyjęto nawet niepisaną regułę, że niezależnie, jaką ta frakcja złoży poprawkę, ma ona być odrzucana. A za chwilę będzie może tworzyła rząd we Włoszech, tak jak austriacka FPÖ, należąca do tej frakcji.

Dobrze, ale co dalej? Co zamierzacie zrobić, żeby zapobiec kolejnym wymierzonym w Polskę działaniom?

Cały czas przedstawiamy swoje argumenty, nasi unijni partnerzy będą mogli zapoznać się z białą księgą, wyjaśniającą dokładnie sens i cel naszych reform. Premier Morawiecki oraz ministrowie Czaputowicz i Szymański cierpliwie wykładają nasze racje.

Po rekonstrukcji rządu atmosfera rozmów wygląda na lepszą, ale dalej nie zanosi się na to, by Bruksela chciała ustąpić.

Nastąpiło ocieplenie we wzajemnych relacjach. Jednak oczywiście to nie usuwa zasadniczego powodu całego sporu. Decydująca jest siła polityczna. Wszystko może się zmienić po wyborach do PE w 2019 r. Jest możliwe, że skurczy się reprezentacja partii socjalistycznych i profederalistycznych, a bardzo dobry wynik uzyskają te wszystkie ruchy, które zmierzają raczej do zwiększenia suwerenności państw. Wtedy to z nimi będą musieli się liczyć chadecy. Jeśli w tym kierunku zmieni się skład PE i Komisji Europejskiej, to nasza pozycja w UE będzie zgoła inna – dobra zmiana dotrze także do UE.

O tym, jak postrzegana jest Polska w Brukseli, świadczy proste zestawienie: Ryszard Czarnecki za porównanie Róży Thun do szmalcowników stracił stanowisko, podczas gdy Guy Verhofstadt bezkarnie nazwał wszystkich uczestników Marszu Niepodległości faszystami.

O tym, że Ryszard Czarnecki umieścił poseł Różę Thun von Hohenstein w niezbyt pochlebnym kontekście, musiał zaalarmować Brukselę ktoś z Polski. Wątpię, by europosłowie z innych krajów śledzili tak uważnie polskie media, szczególnie że przecież w PE znajomość języka polskiego niestety nie jest powszechna. Zrobiono z tego wielką aferę. Także ta sprawa pokazuje, jak silna jest nagonka na PiS i na Polskę ze strony potężnych ośrodków władzy w Europie i że tej nagonki by nie było, gdyby nie głosy płynące z Polski właśnie.

Europoseł PO Janusz Lewandowski stwierdził, że procedura przeciw Polsce to uzasadnione działanie.

Ja rozumiem, że będąc w opozycji, można, a nawet powinno się krytykować rząd. Jednak europosłowie PO doprowadzają tę krytykę do skrajności – i kolportują tę skrajną absurdalną diagnozę w świecie. Przekonują na forum unijnym i w mediach, że w Polsce rodzi się dyktatura, a jednocześnie nie dostrzegają żadnych naruszeń prawa w Hiszpanii czy niedoskonałości demokracji niemieckiej, włoskiej. Wydaje im się, że są światłymi Europejczykami, a tymczasem w ogóle świata nie znają, są oderwani od rzeczywistości. Polskę widzą w czarnych barwach, na Europę zaś,

eprasa.pl fd2222a256

na inne państwa patrzą przez różowe okulary. Mentalnie zatrzymali się w latach 80., kiedy rzeczywiście wielu Polakom, doświadczonym przez komunizm, wydawało się, że Zachód jest pod każdym względem doskonały, a my jesteśmy jego ubogimi, rachitycznymi krewnymi. To myślenie anachronicznie. Janusz Lewandowski jest jednak przynajmniej uprzejmy. W przeciwieństwie do Róży Thun von Hohenstein można z nim chociaż wymienić pozdrowienia, a nawet porozmawiać.

Rozumiem, że kiedy mija się pan z Różą Thun na korytarzach europarlamentu, udają państwo, że się nie znają?

Pani Róża Thun von Hohenstein z nikim z PiS nie wymienia pozdrowień.

„Jeśli politycy EU nadal będą działać z takim taktem politycznym i znajomością rzeczy, wkrótce i w Polsce staniemy przed koniecznością referendum" – ten tweet posłużył za pretekst, by stwierdzić, że jest pan zwolennikiem polexitu.

Zostałem wiceprzewodniczącym z ramienia Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, a nie EPL czy PO. Do frakcji tej należą brytyjscy konserwatyści, którzy popierali referendum w sprawie wyjścia z Unii, a część z nich – w tym przewodniczący Syed Kamall – to wręcz zwolennicy brexitu. I jakoś nikomu nie przyszło do głowy, żeby ich atakować, żeby odbierać im godność ciężkimi oszczerstwami politycznymi, żeby ograniczać im możliwość sprawowania funkcji w PE. Krytykować, dyskutować – owszem, ale nie słyszałem, żeby ktokolwiek nazwał Kamalla faszystą. Niedawno jednym z wiceprzewodniczących został także czołowy polityk Ruchu Pięciu Gwiazd, czyli partii, która niedawno wyraźnie opowiadała się za wystąpieniem Włoch ze strefy euro. Tak więc Anglik może krytykować Unię, a nawet popierać wyjście z niej swego kraju, Włoch może krytykować Unię i traktuje się wyrażane przez nich poglądy jako normalny element dyskusji politycznej, natomiast Polak, który nie ma do Unii stosunku bałwochwalczego, może się narazić na kampanię nienawiści rodaków, fanatycznych euroentuzjastów.

Czy polexit jest w jakiejś perspektywie możliwy?

Cytowany przez pana tweet to zdanie warunkowe. Nie ma konieczności, by przywódcy Unii mieli wykazać się skrajnym brakiem taktu politycznego i kompetencji. Teoretycznie można sobie jednak wyobrazić, że zostaniemy postawieni w sytuacji, w której nie będziemy mieli innego wyjścia. Gdyby krajom członkowskim został narzucony stały mechanizm relokacji uchodźców, fundusze strukturalne zostałyby powiązane z arbitralnie definiowaną praworządnością, a Polska straciłaby prawo głosu w instytucjach europejskich i stała się płatnikiem netto – to zapewne trzeba by było zadać Polakom pytanie o to, czy dalej chcemy być członkiem Wspólnoty. To jednak fikcyjny, czarny scenariusz i mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Wracając do faszyzmu... Panu też zdarzyło się użyć podobnej argumentacji. „Nie uważam, by dało się rozmawiać z częścią przywódców Nowoczesnej i Platformy, nie da się rozmawiać ze skrajną, faszyzującą lewicą" – to pańskie słowa. Czy to odpowiedni język?

Niestety, generalnie w polskiej polityce panuje daleko idąca inflacja języka. Użyłem tego – przyznaję, zbyt ostrego – sformułowania, komentując demonstracje uliczne, które miały doprowadzić do obalenia rządu. Opozycja, która definiuje się jako totalna, nie chce być opozycją parlamentarną. Zamiast formułować własny program, woli dążyć do zmiany władzy na ulicy, poprzez totalne odrzucenie wyniku wyborów i mechanizmów demokracji parlamentarnej. Ba, niektórzy wzywają nawet do przemocy.

> **Na tle wszystkich rządów III RP – od Tadeusza Mazowieckiego począwszy – rząd Platformy prowadził najbardziej odpowiadającą Niemcom politykę**

Jednak żeby nazywać ją z tego powodu faszyzującą?!

Słowo „faszyzująca" było potępieniem strategii mobilizowania mas przeciwko demokracji parlamentarnej i rozbudzania skrajnych emocji. Podczas szczytu w Hamburgu mogliśmy obserwować, do jak niebezpiecznych rozruchów mogą prowadzić takie skrajne działania.

Już po wyborze stwierdził pan, że rząd PO-PSL to najlepsza rzecz, jaka po 1989 r. przydarzyła się... Niemcom. Nie uważa pan, że tego typu wypowiedzi pogłębiają wojnę polsko-polską?

Przecież to nie był z mojej strony zarzut, tylko konstatacja oczywistego faktu, niezależnie od tego, jak ten fakt będziemy oceniać. Politycy PO sami przy każdej okazji podkreślali, że podstawą polityki zagranicznej w latach 2007–2015 były relacje z Republiką Federalną Niemiec.

Czy PO to stronnictwo niemieckie w Polsce?

Niewątpliwie na tle wszystkich rządów III RP – od Tadeusza Mazowieckiego począwszy – rząd Platformy prowadził najbardziej odpowiadającą Niemcom politykę. Żaden inny premier Polski nie był tak pozytywnie oceniany w Berlinie jak Donald Tusk. Można powiedzieć: „No cóż, był to czas, kiedy nasze interesy były całkowicie zbieżne". Prawda jest jednak inna – także za rządów PO istniały poważne różnice interesów, tyle że wówczas byliśmy ustępliwi do granic potulności. Oczywiście powinniśmy mieć jak najlepsze relacje z Niemcami. To nasz bardzo ważny partner. Pytanie tylko: Na jakich warunkach rozwijamy to partnerstwo? Na pewno ceną partnerstwa nie może być rezygnacja z artykułowania własnych żywotnych interesów, bo wtedy to nie jest partnerstwo, lecz relacja podległości.

Rząd PiS artykułuje te problemy, ale nie widać zmian. Do nowego rządu Angeli Merkel nie wejdą jednak Zieloni, którzy byliby sojusznikami w walce z drugą nitką gazociągu bałtyckiego, ale prorosyjsko nastawieni socjaliści.

Trwa spór pomiędzy Radą Europejską a Komisją Europejską w sprawie Nord Stream 2. Sprawa nie jest stracona. Niemcy są jednak bardzo trudnym partnerem do rozmów. To silny kraj, który dość bezwzględnie broni swoich interesów i rzadko ustępuje. Angela Merkel pokazała to, choćby forsując wbrew niepisanym regułom unijnym Donalda Tuska na drugą część kadencji przewodniczącego RE mimo negatywnego stanowiska Polski – kraju, z którego Tusk pochodzi i którego zgoda powinna być warunkiem tego wyboru. Podobną niechęć do uzgodnień wykazywały i wykazują Niemcy także w znacznie ważniejszych sprawach, takich jak polityka energetyczna, imigracyjna czy cyfrowa. Co nie przeszkadza temu, że wiele nas także łączy i w wielu kwestiach bliżej nam jest do Niemiec niż np. do Francji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

DWIE KSIĄŻKI
"ANALFABET III RP"
"KRETA SUBIEKTYWNIE"

+

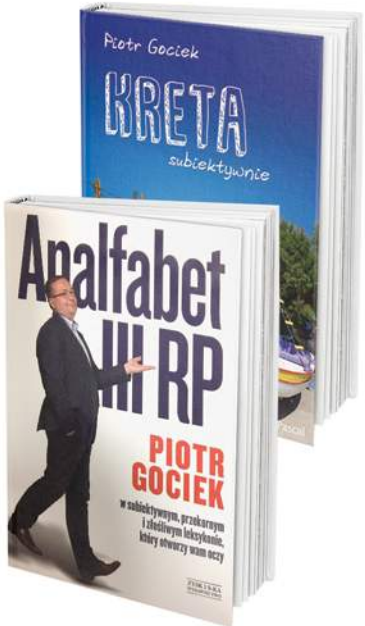

Cena: 146 zł
Oszczędność: 113zł

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII, WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI, LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl fd2222a256

Bitwa warszawska

Kamila Baranowska

Stawka wyborów na prezydenta stolicy jest wysoka. PiS chce udowodnić, że jest w stanie przyciągnąć wielkomiejskich wyborców, Platforma musi pokazać, że jeszcze potrafi wygrywać

Wybory samorządowe, według Państwowej Komisji Wyborczej, powinny się odbyć między 17 października a 9 listopada. Z punktu widzenia partii politycznych czasu wcale nie jest tak dużo. Dlatego choć oficjalna kampania jeszcze nie ruszyła, we wszystkich partiach przygotowania idą pełną parą. To będą pierwsze wybory od trzech lat, więc każda formacja traktuje je jako realny sprawdzian tego, w jakim miejscu się dziś znajduje.

W wyborach do samorządów liczy się nie tylko efekt realny, czyli to, ilu kandydatów uda się wprowadzić do rad gmin, powiatów i sejmików wojewódzkic i ile foteli wójtów, burmistrzów i prezydentów obsadzić, lecz także ten wizerunkowy. Na ten ostatni wpływ mają dwa czynniki – wybory do sejmików, które mniej więcej oddają poparcie dla partii w skali kraju, oraz wybory prezydentów dużych miast.

Największa i najbardziej spektakularna bitwa rozegra się w Warszawie. Z kilku powodów. W powszechnym przekonaniu stolica funkcjonuje jako jeden z bastionów Platformy. To tutaj Hanna Gronkiewicz-Waltz urzęduje już drugą kadencję i mimo kilku prób nie udało jej się odwołać w referendum. Platforma liczy, że wygraną m.in. w Warszawie udowodni wszystkim (i sobie), że wciąż potrafi jeszcze wygrywać z PiS. Jednocześnie jednak nigdy Platforma w Warszawie nie była tak słaba jak dziś. To skutek afery reprywatyzacyjnej, która obciąża samorządowców z Platformy z obecną prezydent Gronkiewicz-Waltz na czele. I wiadomo, że będzie to jeden z głównych tematów kampanii wyborczej. Już dziś zresztą politycy PiS twierdzą, że wygrana Rafała Trzaskowskiego, kandydata PO na prezydenta stolicy, to przedłużenie rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz i zapewne w tym klimacie będzie utrzymana cała kampania. PiS wie, że jego wygrana w stolicy jest mało prawdopodobna. Jednak rok 2015 pokazał politykom tej partii, że nawet jeśli coś jest mało prawdopodobne, to nie niemożliwe. Dlatego będą chcieli o Warszawę zawalczyć. No bo jak nie teraz, gdy opozycja jest słaba, a zaufanie do Platformy w Warszawie mocno nadwątlone aferą reprywatyzacyjną, to kiedy?

BRUTALNA KAMPANIA

Platforma jako jedna z pierwszych partii ogłosiła swojego kandydata na prezydenta stolicy. Wcześniej zrobiła to tylko Nowoczesna, która w wyniku porozumienia z PO wycofała się z tego wyścigu, a jej kandydat Paweł Rabiej jako kandydat na wiceprezydenta wspiera obecnie Trzaskowskiego.

Rafał Trzaskowski, były europoseł, w PO zaliczany do grona „młodych, dobrze zapowiadających się" polityków, teoretycznie ma wszystko, co powinno przyciągnąć wielkomiejski elektorat i za-

eprasa.pl fd2222a256

PO i Nowoczesna w wyborach w stolicy postawiły na duet: Rafał Trzaskowski (z prawej) jako kandydat na prezydenta i Paweł Rabiej jako kandydat na wiceprezydenta FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

pewnić mu zwycięstwo – jest wykształcony, obyty, grzeczny, kulturalny, dobrze wygląda, zna języki, a w tym, co mówi, stara się być umiarkowany. Wizerunek ten od paru tygodni próbuje zburzyć Michał Dzięba, dawny kolega Trzaskowskiego, a swego czasu zaufany człowiek ścisłego kierownictwa Platformy. Kolportuje on w mediach informacje o tym, że Trzaskowski miał przyjąć 150 tys. gotówki na kampanię wyborczą od jednego z biznesmenów, a także opowiada o skandalach z udziałem kandydata Platformy, takich jak romanse, zażywanie twardych narkotyków czy udział w sex party. Trzaskowski odpowiada, że Dzięba jest niewiarygodny m.in. ze względu na swoją chorobę psychiczną i zapowiada, że pozwie go do sądu.

– Wiadomo, że ta kampania będzie bardzo brutalna. To dopiero początek różnych brutalnych plotek, pomówień i insynuacji. Różne rzeczy będą wyciągane. Pan Dzięba jest osobą mało wiarygodną, gdyby rzeczywiście coś wiedział, to myślę, że dawno zaprezentowałby konkrety – mówi Rabiej. – Dobrze, że Rafał zareagował i przeciął te jego spekulacje.

Politycy Platformy sugerują, że Dzięba jest inspirowany przez PiS. Ci z PiS twierdzą, że to wewnętrzna rozgrywka w Platformie, bo nie wszyscy są tam zachwyceni kandydowaniem Trzaskowskiego i najchętniej zastąpiliby go na przykład Andrzejem Halickim.

PIS CIĄGLE MYŚLI

Trzaskowski ma pod górkę nie tylko ze względu na oskarżenia dawnego kolegi. Trudno się prowadzi kampanię (nawet tę nieoficjalną), jeśli nie wiadomo, kogo się ma za głównego przeciwnika. – Jest to pewien element niepewności, ale nasza kampania nie będzie opierać się wyłącznie na PiS i na podkreślaniu, jaki PiS jest zły. Stawiamy na pozytywny przekaz, odbywamy dużo spotkań z mieszkańcami Warszawy, słuchamy ich głosów, próbujemy przekonywać do siebie różne środowiska – mówi Paweł Rabiej.

PiS wciąż jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji, kto stanie do walki na odcinku warszawskim. W grze są, jak wiadomo, marszałek Senatu Stanisław Karczewski oraz Patryk Jaki, wiceminister sprawiedliwości, bliski współpracownik Zbigniewa Ziobry, który zyskuje popularność jako przewodniczący komisji weryfikacyjnej, rozliczającej dziką reprywatyzację w Warszawie. Od niedawna zaś – o czym informowaliśmy w poprzednim numerze „Do Rzeczy" – otoczenie premiera Morawieckiego lobbuje za kandydaturą Michała Dworczyka. Oprócz tej trójki w PiS sondowano także kandydaturę Beaty Szydło. Była premier nie pali się jednak do startu. Z wielu różnych powodów bardziej pasuje jej rola wicepremiera i cichego recenzenta działań Mateusza Morawieckiego. – Generalnie w partii ścierają się dwie koncepcje. Pierwsza, by postawić na bezkompromisowego szeryfa, który ma posprzątać po ekipie Gronkiewicz-Waltz, walczyć z niesprawiedliwością i zadbać o zwykłych ludzi. Czyli pójście drogą Lecha Kaczyńskiego i do tego oczywiście Jaki pasuje idealnie. Druga koncepcja mówi zaś o kandydacie, który byłby Morawieckim bis na skalę warszawską. Taki ktoś, kto byłby do zaakceptowania dla wielkomiejskiego wyborcy. Sęk w tym, że ci, którzy optują za tą opcją, nie potrafią

eprasa.pl fd2222a256

wskazać nikogo sensownego, kto przekonałby kierownictwo partii – mówi nam jeden z polityków PiS. Trudno powiedzieć, która z tych koncepcji ostatecznie wygra.

RÓŻNE WARIANTY NA WYBORY

Pojawiła się nawet koncepcja, ponoć całkiem poważnie rozważana, by przeciwko duetowi Trzaskowski-Rabiej wystawić duet Karczewski w roli kandydata na prezydenta i Jaki w roli kandydata na wiceprezydenta. Szybko okazało się jednak, że wiceminister nie jest zainteresowany takim rozwiązaniem, czemu dał wyraz na Twitterze. „Od razu prostuję. Będę wspierał marszałka, jeśli się zdecyduje – to dobry kandydat i uczciwy człowiek. Jednak nie zgodzę się na taki wariant. W MS mam jeszcze wiele pracy" – napisał. Trudno mu się dziwić, że nie chce zrzec się mandatu poselskiego, porzucić resortu sprawiedliwości i komisji, która przynosi mu ogromną popularność i sympatię ludzi, dla stanowiska zastępcy prezydenta stolicy, którego można odwołać z dnia na dzień.

Zwłaszcza że w sondażach – i tych publikowanych w mediach, i tych wewnątrzpartyjnych – to właśnie Patryk Jaki wypada najlepiej. Według badania Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu" gdyby to Jaki starł się w drugiej turze z Trzaskowskim, mógłby liczyć na 30 proc. poparcia. Zaraz potem byłaby Beata Szydło (29 proc.). Najmniejszym poparciem cieszy się Stanisław Karczewski (19 proc.). We wszystkich trzech przypadkach to kandydat PO wygrywa. Te wyniki pokrywają się z sondażem, który na zlecenie Platformy Obywatelskiej wykonał IBRIS, a który opisała „Gazeta Wyborcza". Tu także w starciu z Trzaskowskim najlepiej wypada Jaki. W pierwszej turze Jaki może liczyć na 33,9 proc. głosów (Trzaskowski na 48,5 proc.). W scenariuszu z marszałkiem Senatu 49,6 proc. dostaje Trzaskowski, a 24,3 proc. Karczewski. W drugiej turze wygrywa kandydat PO z wynikiem 53,1 proc. Wedle sondażu Jaki dostałby 41 proc., a Karczewski mógłby liczyć na 38 proc.

Prezes Kaczyński ma jednak wątpliwości do kandydatury Patryka Jakiego.

Sondaże wskazują, że z kandydatów branych pod uwagę przez PiS najlepiej wypada Patryk Jaki
FOT. DAREK GOLIK/FORUM

Oprócz Karczewskiego i Jakiego PiS sondował także Beatę Szydło. Była premier nie pali się jednak do startu w tych wyborach

– Z jednej strony wiemy, że przeciwko Trzaskowskiemu trzeba wystawić właśnie kogoś takiego jak Jaki: młodego, prężnego i pracowitego, kto będzie chciał udowodnić, co potrafi. Z drugiej strony jest obawa, że jeśli mu się uda, to zaczną się problemy, bo będzie chciał pokazywać, jak bardzo jest samodzielny, a jeśli już kogoś będzie słuchał, to Ziobry, a nie kierownictwa PiS. Prezes po doświadczeniach z prezydentem wolałby uniknąć takich rozczarowań – kreśli sytuację nasz kolejny rozmówca z PiS. Dodaje jednak, że prezesowi zależy na zwycięstwie, więc jego kalkulacja będzie podyktowana głównie tym. Kiedy ją poznamy? Po 10 kwietnia. Dopiero po uczczeniu rocznicy katastrofy smoleńskiej ma ruszyć cała machina wyborcza PiS.

– My do sondaży podchodzimy z pokorą, bo sprowadziły już na manowce niejednego polityka. Mamy swój plan działania i chcemy go realizować, nie oglądając się na sondaże – deklaruje Paweł Rabiej. Są jednak sondaże, które i opozycji spędzają sen z powiek. Jak choćby ten, w którym zbadano poparcie w Warszawie dla Roberta Biedronia. Z sondażu Kantar Millward Brown dla Wirtualnej Polski wynika, że Biedroń mógłby liczyć na 16 proc. poparcia. Wyprzedziliby go Rafał Trzaskowski z wynikiem 36 proc. i Patryk Jaki z 24 proc.

Po stronie opozycji trwają starania, by jedynym znaczącym rywalem kandydata Platformy był kandydat PiS. Na razie wszystko wskazuje na to, że po stronie antypisowskiej będzie o wiele tłoczniej niż po prawej. – Rozmawiamy ze wszystkimi środowiskami tu w Warszawie, tłumacząc, że dziś najważniejsze jest niedopuszczenie PiS do władzy w stolicy i aby ten cel osiągnąć, musimy ze sobą wszyscy współpracować – tłumaczy Rabiej. Biedroń zaś robi wszystko, by nie składać na razie jednoznacznej deklaracji. – Wiemy, że Robert Biedroń jest namawiany do takiego ruchu, jego start uruchomiłby całkiem nową konfigurację, ale to byłoby bardzo ryzykowne. Rozdrobnienie w I turze może sprawić, że wynik drugiej będzie nieprzewidywalny. Może to oznaczać wygraną PiS – mówi Rabiej.

Politycy PiS przywołują tu natychmiast przykład Lecha Kaczyńskiego. W 2002 r., gdy startował w wyborach na prezydenta Warszawy, jego głównym rywalem wydawał się Andrzej Olechowski z Platformy (choć obie partie zawarły koalicję przedwyborczą, to wyłączono z niej Warszawę). Nieoczekiwanie na scenie pojawił się całkiem nowy gracz, kandydat SLD Marek Balicki, który podebrał sporą część wyborców Olechowskiemu. W efekcie do drugiej tury weszli Kaczyński i właśnie Balicki. PiS trzyma więc kciuki za Biedronia, licząc na powtórkę tamtego scenariusza. Powtarzają też, że jeśli Trzaskowski przegrałby w pierwszej turze (tu analogia do wyborów prezydenckich z 2015 r.), wtedy w drugiej gra rozpoczęłaby się od nowa i rządziłaby się już całkiem inną dynamiką. I wszystko byłoby możliwe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

REPUBLIKA
PILNUJMY POLSKI!
Wtorek 20:00
#ZapytajMacierewicza
zadaj pytanie!
Oglądaj Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl
eprasa.pl fd2222a256

Wojciech Wybranowski

Spór o sędziów

Naciski, próby zastraszania, wykluczanie ze środowiska, wreszcie próba zablokowania prac – tak wyglądały kulisy wyboru nowych członków Krajowej Rady Sądownictwa

W ubiegłym tygodniu Sejm wybrał 15 sędziów – nowych członków Krajowej Rady Sądownictwa. Po raz pierwszy w historii o składzie KRS zadecydowali parlamentarzyści, a nie samorząd sędziowski. Zgodnie z przyjętym w ustawie prezydenckim pomysłem wybór nowych członków KRS miał być maksymalnie pluralistyczny i kandydaci mieli zostać wybrani przez Sejm większością trzech piątych głosów uzyskanych w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. Jednak PO, PSL i Nowoczesna zbojkotowały głosowanie. Dla powołania nowej Rady, w której znaleźli się kandydaci zgłoszeni przez Prawo i Sprawiedliwość (dziewięciu kandydatów) oraz Kukiz'15 (sześciu kandydatów), nie miało to większego znaczenia. Ostatecznie w głosowaniu wzięło udział 269 posłów, a aż 267 z nich poparło nowy skład KRS. Do rady wybrano sędziów: Dariusza Drajewicza, Jarosława Dudzicza, Grzegorza Furmankiewicza, Marka Jaskulskiego, Joannę Kołodziej-Michałowicz, Jędrzeja Kondeka, Teresę Kurcyusz-Furmanik, Ewę Łąpińską, Zbigniewa S. Łupinę, Leszka Mazura, Macieja A. Miterę, Macieja Nawackiego, Dagmarę Pawełczyk-Woicką, Rafała Puchalskiego i Pawła Styrnę.

Wyborowi nowego składu KRS towarzyszyły olbrzymie polityczno-medialno-środowiskowe naciski.

– To wybór sędziów marcowych, powiązanych z Ministerstwem Sprawiedliwości – bulwersowała się poseł Kamila Gasiuk-Pihowicz z Nowoczesnej.

– To koniec nadzwyczajnej kasty. Dobry dzień dla demokracji. Przywracamy model demokratyczny, znany w innych państwach – ripostował Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości.

Poseł PO Borys Budka, szef resortu sprawiedliwości w gabinecie Ewy Ko-

Pierwsza prezes SN Małgorzata Gersdorf zrezygnowała z kierowania pracami Rady, a tylko ona może zwołać pierwsze posiedzenie KRS FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

eprasa.pl fd2222a256

pacz, spis sędziów, którzy kandydowali do Krajowej Rady Sądownictwa, nazwał listą hańby. To określenie najwyraźniej trafiło do partyjnych przekazów dnia w Platformie, było bowiem później wielokrotnie powtarzane przez polityków partii Schetyny i bliskich jej publicystów.

„Lista hańby tych, którzy poparli uzależnienie KRS od Kaczyńskiego i Ziobry. Trzeba pamiętać!! Będziemy pamiętać!!" – grzmiał w mediach społecznościowych Marcin Kierwiński, poseł PO, wklejając listę nazwisk parlamentarzystów, którzy w minionym tygodniu zagłosowali za wyborem członków nowej Krajowej Rady Sądownictwa. Jeszcze dalej poszedł Tomasz Lis, redaktor naczelny „Newsweeka", który umieszczając na Twitterze artykuł zawierający listę nazwisk członków Krajowej Rady Sądownictwa, nazwał ją „Listą hańby PiS-owskich sługusów" i wzywał, by wybranych do niej sędziów: „Pokazywać palcem, piętnować".

PRESJA

Agresja wobec sędziów, którzy zdecydowali się na KRS, zaczęła się już wtedy, gdy okazało się, że nie wypali bojkot – ogłoszony przez polityków opozycji i część środowiska sędziowskiego, zwłaszcza członków Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia, które już w kwietniu apelowało do sędziów, by po przyjęciu nowelizacji ustawy o KRS nie brali udziału w wyborach nowej Rady.

– Stowarzyszeniu sędziowskiemu wolno działać swobodnie, w ramach statutowych zadań. Musi tylko baczyć, czy nie wchodzi w kolizję z fundamentalną zasadą niezawisłości sędziego. Niezawisłość sędziego polega właśnie na tym, że nikt nie ma prawa stosować w stosunku do niego żadnych metod zastraszania czy nacisków, które mogłyby wpływać na wydawane przez niego orzeczenia – komentowała sędzia Teresa Kurcyusz-Furmanik, nowy członek KRS, w rozmowie z „Dziennikiem Zachodnim".

Presję wywieraną przez część środowiska sędziowskiego na tych, którzy zdecydowali się kandydować do KRS, krytykowała w rozmowie z „Do Rzeczy" sędzia Barbara Piwnik, była minister sprawiedliwości. – Jak treść takich apeli odbierze zwykły obywatel? Czy nie pomyśli sobie, że skoro sędziemu można powiedzieć: „Zrób tak", „Nie rób tego!", to w sytuacji, gdy dotyczy to jego istotnej życiowo-zawodowej decyzji, gdy przyjdzie do podejmowania decyzji w sferze orzekania, też można do danego sędziego zaapelować albo go nastraszyć? – mówiła. I zaznaczała: – Sędzia powinien być szczególnie uczulony na to, by każdą ważną decyzję, również życiowo-zawodową, podejmować samodzielnie.

Ostatecznie na 15 miejsc w KRS zgłosiło się 18 kandydatów, w tym… siedmiu sędziów należących do... Iustitii. Ci zresztą jako pierwsi stali się ofiarami kampanii wymierzonej w osoby, które wbrew polityczno-środowiskowej presji zdecydowały się wziąć udział w pracach nad tworzeniem nowego systemu sądownictwa w Polsce. Na początku marca zarząd stowarzyszenia sędziów Iustitia przyjął uchwałę wzywającą do wykluczenia z organizacji tych osób, które zgłosiły swoje kandydatury do KRS. To w tym stowarzyszeniu nie jest zresztą czymś nowym – kilka miesięcy wcześniej za wsparcie reformy wyrzuciło ze swojego grona doświadczonego sędziego Łukasza Piebiaka, wiceministra sprawiedliwości.

Nie tylko sędziowie przeciwni reformom starają się dokuczyć nowym członkom KRS.

W Częstochowie zawisł billboard atakujący sędziego, który zdecydował się na kandydowanie do Rady. „Sędzio Leszku Mazurze zrezygnuj z KRS. Kadencja minie, wstyd zostanie" – głosi napis na nim. Kampanię przygotowała Akcja Demokracja – organizacja zaangażowana w przygotowywanie antyrządowych protestów. Podobne billboardy miały zawisnąć też w 14 innych miastach – miejscach pracy pozostałych członków kandydatów do KRS, ale jak twierdzą przedstawiciele Akcji Demokracja, zawieszenia ich mieli odmówić przedstawiciele firm dysponujących ulicznymi billboardami. „Obawiamy się, że to, co obserwujemy, jest efektem działania obecnej władzy" – poskarżyli się aktywiści organizacji na swoim Facebooku.

BLOKADA KRS

Tymczasem wiele wskazuje na to, że choć Krajową Radę Sądownictwa udało się wybrać, jej prace pozostaną sparaliżowane do kwietnia. Ponieważ z kierowania pracami Rady zrezygnowała prof. Małgorzata Gersdorf, pierwsza prezes Sądu Najwyższego, która – jak informowało radio RMF – uważa nowy KRS za ciało wybrane niezgodnie z konstytucją. A zgodnie z przepisami to właśnie prezes Sądu Najwyższego jest jedyną osobą, która może zwołać pierwsze posiedzenie KRS. To w praktyce oznacza blokadę prac Krajowej Rady Sądownictwa przez co najmniej miesiąc. W kwietniu sędzia Gersdorf, zgodnie z nowymi przepisami o Sądzie Najwyższym ograniczającymi wiek urzędowania sędziów do 65. roku życia, będzie musiała odejść w stan spoczynku. Dopiero wybór nowego prezesa Sądu Najwyższego pozwoli na zwołanie przez niego posiedzenia KRS, ale by ten wybór mógł zostać zrealizowany, najpierw niezbędne będzie obsadzenie 110 stanowisk sędziowskich w SN.

Funkcjonowanie dotychczasowej Krajowej Rady Sądownictwa budziło wiele zastrzeżeń i wątpliwości. W kwietniu ubiegłego roku „Do Rzeczy" ujawniło, że w 2015 r. KRS spośród 94 kandydatów na stanowisko sędziego SR Warszawa-Mokotów wybrała Joannę Raczkowską, żonę swojego wiceprzewodniczącego, sędziego płk. Piotra Raczkowskiego. I to mimo że Zgromadzenie Przedstawicieli Sędziów okręgu Sądu Okręgowego w Warszawie opowiedziało się przeciw jej kandydaturze. Ustępująca KRS nie potrafiła nam wówczas przekonująco odpowiedzieć, dlaczego spośród asystentów sędziowskich, notariuszy, adwokatów zdecydowała się wybrać właśnie żonę swojego wiceprezesa.

Agresja wobec sędziów, którzy zdecydowali się na KRS, zaczęła się już wtedy, gdy okazało się, że nie wypali bojkot – ogłoszony przez polityków opozycji i część środowiska sędziowskiego, zwłaszcza członków Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Bizancjum na pensyjce

Łukasz Warzecha

Polski system wynagradzania najważniejszych osób w państwie stoi na głowie. Pensje są bardzo niskie, a przywileje i bonusy rozbuchane

Dawno temu ówczesny minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski sygnalizował mi swoje rozżalenie artykułem dziennika „Fakt" (gdzie wówczas pracowałem), w którym opisano, jak to odwoził swoich synów do szkoły służbową limuzyną. Sikorski argumentował, że przy niewielkich wynagrodzeniach ministrów takie wykorzystywanie bonusów, którymi dysponują – nieprzynoszące przecież państwu żadnej straty, bo szkoła była „po drodze" – jest dopuszczalne.

Ta anegdota sprzed lat pokazuje, na czym polega nasz problem z wynagrodzeniami władzy, którego nie rozwiążą ostatnie zapowiedzi premiera Mateusza Morawieckiego o odchudzaniu administracji i kasowaniu nagród dla urzędników.

ZA NISKIE PENSJE

Problem pierwszy: pieniądze dla najważniejszych urzędników w państwie są zdecydowanie za małe w stosunku do oczekiwanych kwalifikacji, zakresu odpowiedzialności i wymiaru pracy. W tej sprawie bardzo trudno przeciwstawić się populizmowi, bo dla większości Polaków już wynagrodzenie rzędu 5–6 tys. zł netto wydaje się ogromne. W czasie słynnej rozmowy z Pawłem Wojtunikiem, szefem CBA, w restauracji Sowa i Przyjaciele Elżbieta Bieńkowska opowiadała o swojej znajomej, pracującej jako wiceminister, samotnie wychowującej dwoje dzieci i dojeżdżającej z Trójmiasta do stolicy: „Mówi, ja dostawałam, powiem ci 6 tysięcy... 6 tysięcy... Rozumiesz to? Albo złodziej, albo idiota... To jest niemożliwe, żeby ktoś za tyle pracował. Ona mówi, że jej koledzy z uczelni się w głowę pukają albo nie wierzą właśnie, a jak uwierzą, to się w głowę pukają, co ona tu jeszcze robi".

Ten dialog był jednym z gwoździ do trumny PO, ale przecież Bieńkowska oraz wtórujący jej Wojtunik mieli absolutną rację. Siatka płacowa w Polsce zawiera zresztą jawne absurdy. Jeden z bliskich współpracowników prezydenta, mający pod sobą niemałą strukturę urzędniczą, mówił mi, że jego wynagrodzenie jest niższe, niż może być wynagrodzenie jego zastępców. I nie jest, nie trzeba dodawać, oszałamiające. Jeszcze w grudniu 2015 r. ówczesny szef Komitetu Stałego Rady Ministrów skarżył się, że zarobki podsekretarzy stanu – mniej więcej na poziomie, o jakim mówiła Bieńkowska – są tak niskie, iż trudno znaleźć ludzi do tej pracy. Nawet jeśli do podstawy doliczy się dodatek funkcyjny i ewentualnie za wysługę lat.

Praca w rządzie nie powinna być sposobem na wzbogacenie się, a wysokość pensji nie powinna być główną motywacją obejmowania funkcji publicznych. Z drugiej jednak strony powinna pozwalać na godne i względnie wygodne życie. Nie może oznaczać drastycznych wyrzeczeń wobec dotychczasowego poziomu życia. Tutaj konieczne jest wyważenie, podobnie jak w przypadku choćby wynagrodzeń sędziów.

Osoby sprawujące najwyższe funkcje w Polsce nie wypadają imponująco na tle świata. Rocznie polski premier zarabia ok. 53 tys. dol. (nie licząc dodatków i ewentualnego dodatkowego wynagrodzenia poselskiego). Premier Węgier ma wynagrodzenie o 12 tys. dol. wyższe, premier

eprasa.pl fd2222a256

Holandii to już poziom 170 tys. dol. rocznie, premier Francji – 202 tys. dol., kanclerz Niemiec – 263 tys. dol., a premier bogatego i małego Singapuru rocznie pobiera ponad 1,6 mln dol.

UKRYĆ PRZED WYBORCĄ

Problem drugi: ze względu na obawę przed reakcją opinii publicznej na zamiar podwyższenia wynagrodzeń osobom ze świecznika stosuje się różne wybiegi, aby wynagrodzić im pensje nieadekwatne do zadań. Temu właśnie służyły nagrody, które zamierza skasować premier Morawiecki.

Nagrody w dotychczasowej postaci były fatalnym rozwiązaniem, przede wszystkim wizerunkowo, ponieważ samo pojęcie nagrody oznacza specjalny bonus za wyjątkowe osiągnięcia, podczas gdy w rzeczywistości mieliśmy do czynienia ze standardowym, przyznawanym niemalże z automatu dodatkiem do pensji. I tak w 2017 r. Beata Szydło przyznała ponad 70 tys. zł nagrody wicepremierowi Glińskiemu, 65 tys. wicepremierowi Gowinowi, 82 tys. ministrowi Błaszczakowi itd. – w sumie 1,5 mln zł. Jednak tak robili wszyscy premierzy.

Skasowanie nagród sprawi, że jeszcze trudniej będzie pozyskać do rządu, zwłaszcza na stanowiska poniżej ministerialnych, kompetentnych ludzi, których wiedzę i umiejętności rynek wycenia znacznie wyżej. I nie chodzi o to, że tacy ludzie nie chcą służyć krajowi, ale o to, iż często ich na to po prostu nie stać. Nagrody powinny zatem pozostać, ale jako premia za autentyczne osiągnięcia przy jednoczesnym znaczącym podniesieniu zasadniczego wynagrodzenia, tak aby nagroda nie była niezbędna dla utrzymania się na przyzwoitym poziomie. A przecież da się w przypadku poszczególnych ministerstw opracować kryteria oceny osiągnięć.

Należałoby także ograniczyć nagminną praktykę wynagradzania urzędnikom niskich wynagrodzeń choćby obsadzaniem ich w radach nadzorczych spółek Skarbu Państwa, które w ten sposób, zamiast organem kontrolującym zarząd, stają się sposobem na dorobienie sobie paru tysięcy miesięcznie praktycznie bez wysiłku.

BONUSY WŁADZY

Problem trzeci to absurdalnie rozbudowany system bonusów związanych ze sprawowaniem władzy. Najlepiej pokazuje to rozdęta do absurdu flota służbowych samochodów. Brytyjski rząd obsługuje jedna agencja – Government Car Service – podlegająca Ministerstwu Transportu. Całość brytyjskiej rządowej floty to ok. 90 pojazdów, podzielonych pomiędzy poszczególne urzędy centralne, plus niewielka liczba rezerwowych. Własne pojazdy utrzymują cztery brytyjskie ministerstwa: obrony, spraw zagranicznych, rozwoju międzynarodowego oraz pracy.

Liczebność polskiej rządowej floty bardzo trudno oszacować bez wyciągania informacji z poszczególnych ministerstw, bo o ile w przypadku Wielkiej Brytanii zbiorcza informacja widnieje na stronie GCS, o tyle podobnych danych próżno szukać na stronach polskich ministerstw czy w ich „Biuletynach Informacji Publicznej". Wiadomo jednak, że samo tylko Ministerstwo Obrony Narodowej dysponuje ponad 100 samochodami. W 2017 r. polski rząd ogłosił przetarg na prawie 260 aut, przy czym chodzi też o samochody dla urzędów wojewódzkich. Dla porównania, brytyjski Cabinet Office, czyli tamtejsza kancelaria premiera, ma do dyspozycji ok. 8–10 samochodów z ogólnego zasobu.

Jak możliwa jest tak porażająca dysproporcja pomiędzy liczbą aut służbowych dla administracji centralnej w Wielkiej Brytanii i w Polsce? To proste. Brytyjczycy, którzy szanują publiczne pieniądze, wychodzą z założenia, że dla załatwiania spraw oficjalnych samochód na stałe powinien przysługiwać jedynie premierowi i ministrom. Innym auta są przyznawane na bieżąco w miarę udokumentowanej potrzeby, zaś urzędnicy ze szczebla odpowiadającego naszym podsekretarzom stanu czy dyrektorom departamentów doskonale radzą sobie, jeżdżąc własnymi autami, taksówkami czy transportem publicznym. Korona im z głowy nie spada.

Standardem jest, że polscy politycy nie wyznaczają jasnej granicy między tym, co przysługuje im z racji funkcji, a tym, co prywatne

Pracownicy polskiej administracji wciąż lubią bizantyjski styl i nie liczą się z publicznymi pieniędzmi. Charakterystyczna jest zasłyszana przeze mnie historia o dyrektorze jednej z rządowych komórek, który – przychodząc na stanowisko w ubiegłym roku – w pierwszych dniach urzędowania ogłosił przetarg na nowy służbowy samochód dla siebie oraz ekspres do kawy za 10 tys. zł. A kto bogatemu (publicznymi pieniędzmi) zabroni? Jednocześnie bardzo oszczędnie przyznawane premie dla wykonujących naprawdę ciężką pracę pracowników tejże komórki wynoszą po 200–300 zł.

Standardem jest, że polscy politycy nie wyznaczają jasnej granicy między tym, co przysługuje im z racji funkcji i jest opłacane z publicznych pieniędzy, a tym, co prywatne. W ogóle nie czują takiej potrzeby. W znacznie od Polski bogatszych krajach wygląda to całkiem inaczej. Na przykład kanclerz Niemiec z własnej kieszeni musi opłacać czynsz za wynajęcie służbowego mieszkania (jeśli zdecyduje się na specjalnie dostosowaną dla szefa rządu willę w berlińskiej dzielnicy Dahlem, to kosztuje to 4 tys. euro miesięcznie) i – uwaga! – za korzystanie poza czasem pracy ze służbowej limuzyny. A musi z niej korzystać przez cały czas ze względów bezpieczeństwa.

Polski system wynagradzania najważniejszych ludzi w państwie stoi więc na głowie. Oficjalne pensje są o wiele za niskie, za to wykorzystuje się wszelkie okazje, żeby coś do nich dorzucić, a do tego kompletnie nie pilnuje się wydawania publicznych pieniędzy na poziomie udogodnień, takich jak służbowe auto czy karty kredytowe (to ostatnie, zgodnie z zapowiedzią Mateusza Morawieckiego, ma się zmienić).

Można niestety spokojnie założyć, że żadna władza nie będzie chętna, aby ten chory system rzeczywiście przebudować. Podwyżka pensji wywołałaby populistyczny opór, a z kolei bonusy, związane ze sprawowaniem władzy w nieformalny sposób, wyznaczają pozycję danej osoby, w czym znać mentalne dziedzictwo nie tylko komunizmu, lecz także zaborów – zwłaszcza rosyjskiego. Proszę sobie wyobrazić, że na negocjacje ze strajkującymi wiceminister przyjeżdża taksówką albo własnym samochodem, samemu siedząc za kierownicą. Można spokojnie założyć, że nie zostałby potraktowany poważnie.

Premier zareagował w zrozumiały sposób na oburzenie, które pojawiło się po ogłoszeniu wysokości nagród dla członków rządu, ale zapowiedziane przez niego zmiany niewiele pomogą. Potrzebna jest odwaga, aby w końcu podnieść wynagrodzenia najważniejszych osób w państwie oraz przeciwstawić się bizantyjskim nawykom polityków, zwłaszcza tych od lat żyjących z publicznej kasy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

POSUBOTNIK

Rafał A. Ziemkiewicz

Antysemityzm w Polsce zawsze wynikał z konfliktu interesów, a nie z nienawiści rasowej. Dzisiaj antysemityzmu nad Wisłą nie trzeba się obawiać

Antysemityzm, problem praktyczny

Kwestia żydowska nigdy nie była poważnie dyskutowana między Żydami a nie-Żydami. Wobec prób jej poruszenia Żydzi albo milczą, albo podejmują taki wrzask, że przy nim żaden głos spokojniejszy nie może dojść do ucha słuchaczy… Potrzebna jest szeroka dyskusja… Obowiązuje ona zarówno tych, którzy walczą z Żydami, jak Żydów i tych nie-Żydów, którzy z Żydami stoją w jednym szeregu. Ci, którzy uchylają się od niej… wobec obrotu, jaki sprawa żydowska w świecie bierze, mają wszelkie widoki zapłacenia dużych kosztów za tę taktykę". Cytowałem już kiedyś te słowa Romana Dmowskiego (puentują one wstęp do rozprawy „Żydzi w dwudziestym wieku" z roku 1933), by wyjaśnić, że jeśli istnieje coś takiego jak „polski antysemityzm", to możemy być z niego dumni. Pokażcie mi drugi taki antysemityzm, który by postulował nie eksterminację, nie czystkę, ale zmuszenie Żydów do rozmów o sprzecznych interesach i do kompromisu – apelując przy tym do ich rozsądku, do wzięcia pod uwagę, jaki „obrót" bierze „sprawa żydowska", i uświadamiając, że bez zażegnania konfliktu między „Żydami a nie-Żydami" może dojść do rzeczy strasznych.

JAK ŻYD ZE SZLACHCICEM

Cytowane słowa to tylko jeden z wielu dowodów, że istotą i główną przyczyną wrogości Polaków wobec Żydów były sprzeczności interesów. Bardzo żywotnych interesów, o charakterze przede wszystkim socjalnym – czy też, że sięgnę po język lewicy, „klasowym". Cały fałsz dyskusji o sprawach polsko-żydowskich, zmieniający ją w czczą gadaninę, wynika z negowania i wymazywania z historii tej podstawowej sprawy.

Użyłem przed chwilą języka lewicy, szczególnie aktywnej w potępianiu „polskiego antysemityzmu", nie przypadkiem, ale po to, by podkreślić jej hipokryzję. Jak wiemy, z zasady lewica afirmuje, a co najmniej usprawiedliwia, nienawiść wyzyskiwanych do wyzyskiwaczy. Gdzie jednak wyzyskiwanym był polski chłop, a wyzyskiwaczem żydowski lichwiarz lub handlarz, tam nagle lewicowa wrażliwość zmienia się diametralnie.

Właśnie po to, by zamaskować tę hipokryzję – choć są też ważniejsze powody, o których dalej – w zdominowanym przez michnikowszczyznę dyskursie ostatniego ćwierćwiecza historia wzajemnych stosunków Polaków i Żydów została całkowicie sprowadzona do konfliktu katolików z wyznawcami judaizmu i autochtonów z „obcymi". Na tym zafałszowaniu oparto stereotyp nie tylko kłamliwy, lecz także wręcz rasistowski: Polacy nienawidzą Żydów, bo są Polakami, a źródłem ich nienawiści jest katolicyzm.

Pomijając wszystko inne, ma się to nijak do podstawowych faktów. Polacy katolikami byli od zawsze, od zawsze też mieli poczucie narodowej, sarmackiej wyższości, a antysemityzm, wbrew pseudonaukowym wywodom w rodzaju książki „Żyd, wróg odwieczny" Aliny Całej (wartej lektury jako skrajne exemplum zafałszowanego dyskursu), pojawił się na większą skalę dopiero w drugiej połowie wieku XIX. W kulturze szlacheckiej Żyd wrogiem z całą pewnością nie był. Przeciwnie, nie brak przykładów zarówno z literatury (Mickiewiczowski Jankiel), jak i historii (Berek Joselewicz) doskonałego wtopienia Żydów w kulturę szlachecką, oczywiście nie jako pełnoprawnych jej uczestników, ale jako grupy narodowi szlacheckiemu potrzebnej i z tej racji cieszącej się jego opieką. „Każdy szlachcic miał swojego Żyda, każdy Żyd miał swojego szlachcica" i jedni z drugimi świetnie się dogadywali.

Stworzony przez supremację szlachecką „paradis judaeorum" miał jednak swoich pariasów, płacących jego cenę – chłopów. O „krzywdzie chłopskiej" pisano w PRL tak dużo i tak głupio zaprzęgano ją do rydwanu sowieckiej propagandy, że całe pokolenia skutecznie na nią znieczulono, nawet na tak znakomite jej świadectwa jak Żeromskiego. Jednak prawdą jest, że podobnie jak w innych krajach najniższa warstwa społeczna dawnej Polski poddana była całkowitemu odczłowieczeniu, bezwzględnemu wyzyskowi i przemocy. Dopiero czasy nowożytne przyniosły jej emancypację – a ta, podobnie jak wcześniejsze chłopskie wybuchy zemsty w Galicji czy na Ukrainie, zwracała się przeciwko obu ciemiężycielom, zarówno przeciw panu, jak i jego pomagierowi, Żydowi. Z tym że pan był daleko i, nawet najgorszy, jednak swą „pańskością" poddanym imponował – a Żyd był

eprasa.pl fd2222a256

prześladowcą bliskim, bezpośrednim, a na dodatek innej wiary i obyczaju.

Mimo że po katastrofie ostatniej wojny jesteśmy społeczeństwem w 90 proc. chłopskim, nasza oficjalna pamięć wciąż jest niemal wyłącznie pamięcią szlacheckiego dworku i jego inteligenckich potomków. Chłop jest w niej tylko przedmiotem, czasem współczucia albo pogardy, ale podmiotem – nigdy. Pamiętniki chłopskie – takie jak „Pamiętniki włościanina: Od pańszczyzny do dni dzisiejszych" niecenionego Jana Słomki – są nieliczne, niewznawiane, nieuwzględniane; nawet wspomnienia samego Witosa. A właśnie w tych pamiętnikach – zwłaszcza u Słomki – znaleźć można liczne dowody, że w czasach walki o emancypację, o dobicie się statusu człowieka, Polaka i obywatela, Żyd był dla polskiego chłopa wrogiem takim samym jak ruski czynownik czy pruski hakatysta. Nie miejsce tu na szczegóły dotyczące okradania chłopów na każdym kroku przez zmowy handlarzy i lichwiarzy, ich cynicznego uzależniania od kredytowanego alkoholu czy godną pióra Steinbecka historię stoczonej przez byłego wójta Tarnobrzega i jego chłopską spółdzielnię walki o złamanie żydowskiego monopolu w handlu plonami. Proszę mi nie wierzyć, tylko szukać i sprawdzać samemu.

FOT. MACIEJ MIERZ/WASYLUK/EAST NEWS

Roman Dmowski oskarżenie endecji o antysemityzm stanowczo odrzucał. Jednak nie dlatego bynajmniej, by się czuł nim znieważony, bo w czasach przed II wojną antysemityzm był postawą powszechnie akceptowaną, ale dlatego, że uważał go za postawę emocjonalną, bezsensowną. A stosunek polskich narodowców do Żydów, jak pisał, „jest tylko logiczną konsekwencją przyjętych założeń, te założenia zaś nie byłyby ani odrobinę inne, nawet gdyby Żydów w ogóle na świecie nie było". Z perspektywy czasu da się fundamentalne dla ruchu założenia sprowadzić do jednego zdania: Polskę może zbudować tylko polska klasa średnia. Nie było innej możliwości jej stworzenia niż przez masowy awans społeczny ani innej możliwości masowego awansu niż przez konflikt z Żydami, będącymi w dawnej Rzeczypospolitej swoistą tejże klasy protezą. Rozdęte przez czarną legendę ekscesy ONR, organizacji niemal wyłącznie studenckiej i uczniowskiej, czy żądania parytetu dla Polaków, który by ograniczał liczbę żydowskich studentów do ich odsetka w społeczeństwie (nazywam „numerus clausus" żargonem lewicy znowu w tym samym celu, dla pokazania jej obłudy), były skutkiem zderzenia rozbudzonych przez niepodległość aspiracji plebejskich dzieci z dominacją Żydów i Polaków pochodzenia żydowskiego w intratnych, inteligenckich zawodach.

W INTERESIE ŻYDÓW

Nie piszę o tych oczywistościach, by nienawiść usprawiedliwiać. Po prostu tak było. Dochodziły oczywiście inne czynniki: zalew wypychanych z Rosji „litwaków", a potem uciekinierów przed bolszewizmem, obcych, traktujących Polskę – inaczej niż Żydzi „przedrozbiorowi" – jako miejsce wymuszonego, czasowego pobytu, postrzeganie Żydów jako „czwartego zaborcy" (w pismach Dmowskiego, kto je zna, na czoło antyżydowskiego dyskursu wysuwa się przecież zarzut politycznego i ekonomicznego „obsługiwania" przez nich zabójczych dla Polski interesów niemieckich), w końcu poczesna rola żydowskich wychrztów w stalinowskim podboju i terrorze. Jednak można punkt po punkcie udowadniać, że wszystkie elementy antysemityzmu w Polsce były wtórne wobec zderzenia interesów Żydów z aspiracjami polskiego awansu społecznego.

Czemu ten fakt jest pomijany? Z dwóch przyczyn. Po drugie, dla wielu wpływowych środowisk żydowskich ważne jest dziś nadanie antysemityzmowi wymiaru zła metafizycznego, czystego – a wskazanie konkretnych, socjalnych przyczyn nienawiści do Żydów pozbawia ją niezwykłości i wyjątkowości, sprowadza do tego samego wymiaru co zbrodnie wszystkich rewolucji. Po pierwsze i ważniejsze zaś, rzeczowa analiza antysemityzmu w Polsce wiedzie do wniosku, że dziś nam on nie grozi. Okrzyk: „Bij Żyda!", inaczej niż przed wojną, nikomu nie obiecuje rozwiązania żadnego istotnego problemu ani żadnej godnej fatygi korzyści.

Dla kompradorskiej elity III RP to nie do przyjęcia: chłostanie Polaków oskarżeniem o antysemityzm, zawstydzanie i upokarzanie ich przed światem jest zbyt istotnym elementem jej tożsamości – w czym, mówiąc nawiasem, odżywa „pańska" pogarda zbratanego z Żydami dworku dla wrogich im „chamów". Kariera Grossa z jego kłamstwami o Jedwabnem wynikła z tego, że dał on salonowi fantastyczną okazję do bicia się w piersi cudze – w piersi pogardzanej, znienawidzonej polskiej „wiochy". A tymczasem ewentualne sprowadzenie polskiego antysemityzmu do wymiaru zgodnego z historyczną prawdą czyni oparte na nim roszczenia równie bezsensownymi jak gdyby od współczesnych rolników żądać, by kajali się za Jakuba Szelę.

Słowa Dmowskiego warto dziś przypomnieć także dlatego, że „sprawa żydowska" znowu bierze w świecie taki „obrót", który powinien samych Żydów skłonić do zastanowienia. Państwo Izrael niewielu ma sojuszników, a trwa praktycznie dzięki jednemu. Antyżydowska agresja w Europie Zachodniej narasta, a poza europejskim kręgiem kulturowym wręcz kwitnie, nie tylko w świecie arabskim, lecz także np. w Chinach. „Szeroka dyskusja" zamiast zamykania się w poczuciu własnej wyjątkowości, krzywdy i w odwzajemnianiu nienawiści doznawanej – we własnym przekonaniu – od wszystkich i od zawsze byłaby z punktu widzenia Żydów rozsądnym pomysłem. Jednak to już nie nasz problem, i tu możemy tylko doradzać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

Klątwa okładkowa?

Agnieszka Niewińska

Rzekome rozstanie celebryckiej pary – Beaty Tadli i Jarosława Kreta – przypomniało widzom o trochę zapomnianym już telewizyjnym show, w którym znani uczą się tańczyć. Czy to naprawdę koniec medialnego związku czy tylko ustawka dla poprawienia wyników oglądalności?

Beata Tadla, prezenterka programów informacyjnych, była wyraźnie zakłopotana, kiedy na ramówce Polsatu reporter „Faktu" przytoczył treść rozmowy z jej partnerem życiowym Jarosławem Kretem. Miał on powiedzieć, że nie obchodzi go, kto Tadlę bierze w obroty w tanecznym show „Taniec z gwiazdami", bo mają osobne życia. – No to ciekawe… To muszę z nim porozmawiać na ten temat – odpowiedziała Tadla. – W państwa związku wszystko jest OK? Może pani to potwierdzić? – dociekał dziennikarz. – Jakby to powiedzieć, posłużę się metaforą taneczną: do tanga trzeba dwojga – odpowiedziała prezenterka.

USTAWKA TO NORMALKA

Ta wymiana uwag za pośrednictwem mediów między Tadlą a Kretem lotem błyskawicy obiegła portale internetowe i niejednego zdziwiła, bo para jeszcze dwa tygodnie temu chwaliła się zdjęciami ze wspólnych wakacji na Wyspach Kanaryjskich i wystąpiła na okładce magazynu „Viva!" z okazji walentynek. „Miłosne manewry" – brzmiał tytuł okładkowego wywiadu, a „Viva!" tak zachęcała do lektury: „Beata Tadla i Jarosław Kret przekonują: »Mamy całe życie walentynki«, dlatego 14 lutego nie jest dla nich specjalnym dniem. Wystarczy popatrzeć na czułości, jakie okazywali sobie podczas sesji dla VIVY!". Kret nawet udostępnił okładkę na swoim Instagramie i dodał opis: „Mówi się, że jest klątwa okładkowa – która para trafi na okładkę, to zaraz się rozpadnie. My już drugi raz... trafiamy na okładkę, czyli klątwa przestała działać".

Wygląda jednak na to, że albo klątwa w końcu dopadła prezenterkę i pogodynka,

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

eprasa.pl fd2222a256

albo – jak spekulują internauci – nagłaśniane w mediach rozstanie to element ogólnopolskiej promocji „Tańca z gwiazdami", w którym udział biorą w tym sezonie i Tadla, i Kret. – Nie do końca wiadomo, jak to było z tym newsem, czy pan Kret powiedział za dużo dziennikarzowi, czy ten ostatni nie do końca go zrozumiał – mówi dr Karol Jachymek, kulturoznawca ze School of Ideas Uniwersytetu SWPS. – Nie zdziwiłoby mnie, gdyby był to zabieg promocyjny. W końcu już samo to, że do rywalizacji w tanecznym show zaproszono osoby będące w związku, nie było przypadkowe. Już nieraz na potrzeby promocji kreowano konflikty między gwiazdami. Tak przecież było w przypadku medialnego sporu Justyny Steczkowskiej z Edytą Górniak czy też Steczkowskiej z Dodą. Producenci programów rozrywkowych sięgają po tego rodzaju mechanizmy, by zwiększyć zainteresowanie wokół swojego show i nie jest to jakaś polska specyfika. Wystarczy przyjrzeć się mekce przemysłu rozrywkowego, czyli Hollywood. Stworzony tam „star system" opiera się na generowaniu skandali wokół gwiazd, wypuszczaniu plotek po to, by zwiększyć zainteresowanie nimi, a tym samym filmami, w których występują – tłumaczy kulturoznawca.

Maciej Durczak, specjalista w dziedzinie rozrywki i menedżer muzycznych gwiazd, potwierdza, że sytuacje, w których producent programu planuje razem z gwiazdą jakąś ustawkę w tabloidzie, wywołanie medialnego zamieszania w celu podgrzania atmosfery wokół programu, nie są rzadkością. – Powiedziałbym nawet, że dzieje się to w przypadku większości telewizyjnych formatów na naszym rynku – mówi.

O podobnych praktykach opowiadała zresztą w TVN dziennikarka zajmująca się rodzimym show-biznesem – Karolina Korwin-Piotrowska. Zdradziła, że kiedy podpisała pierwszy kontrakt na udział w programie „Top Model", zadzwonili do niej producenci, sugerując, że powinna wziąć udział w ustawce z tabloidem. Kiedy uznała, że nie ma tego w jej umowie, na reżyserowane zdjęcia zaczęła ją namawiać dziennikarka tabloidu. Prezenterka Agnieszka Szulim przyznała z kolei, że zgadza się na zawodowe ustawki. Kiedy kręci materiał promujący jej nowy program, daje znać tabloidom, kiedy i gdzie mogą się zjawić.

Czy kolejnej edycji tanecznego show potrzebna była dodatkowa promocja? Program, który najpierw pokazywał TVN (13 edycji), a od 2014 r. przejął go Polsat, ostatnio jakby zblakł. Z oceniania uczestników zrezygnowała lubiana przez widzów jurorska gwiazda Beata Tyszkiewicz, w ostatnich edycjach wystąpił raczej drugi garnitur celebrytów – wystarczy rzut oka na nazwiska triumfatorów ostatnich sezonów: Anna Karczmarczyk, Robert Wabich, Natalia Szroeder.

Rzekome rozstanie Tadli i Kreta sprawiło, że w mediach i na portalach internetowych materiały o celebryckiej parze zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu i wszędzie wspominano program „TzG". – W tej sytuacji jest jeszcze aura tajemniczości, bo para nie potwierdziła jasno swojego rozstania, nie wiadomo, czy słowa, które padły w wywiadach, były planowane, czy może była to intryga producentów programu. Te niewiadome to pożywka dla kolejnych artykułów, a dla takiego programu jak „TzG" liczą się każda publikacja, każde kliknięcie i każde udostępnienie. To być albo nie być każdego show – mówi dr Jachymek.

ROLNIK STRASZY WIDŁAMI

Paliwa do spekulacji w ostatnich dniach dostarczyła sama gwiazdorska para. Kret w rozlicznych oświadczeniach, które umieszczał na swoich społecznościowych profilach, a następnie z nich zdejmował, winą za zamieszanie obarczył PR programu. „Amatorka od PR-u przyprowadziła na »wywiad« amatora z tabloidu, ten zmanipulował moją wypowiedź (mówiłem, że – jako człowiek telewizji – wszystko w tym programie traktuję zawodowo, a nie emocjonalnie), wymyślono aferę w moim życiu prywatnym. Wszyscy się na mnie obrazili" – żalił się na Instagramie. W kolejnym wpisie zaznaczył: „Nie rozmawiam z tabloidami, więc nie mówię im o życiu prywatnym". Wcześniej jednak udzielił wypowiedzi „Super Expressowi": „Mam dość tego kraju i tych ludzi. Ja się wyprowadzę z tego kraju! Do Stanów! Zacznę uczyć na jakimś uniwersytecie i nikt mnie nie będzie hejtował. Co za kraj?!". Pogodynek rzeczywiście nie może liczyć na zbyt wiele wyrazów sympatii. W pierwszym odcinku „TzG" Kret okazał się jednym z najgorszych tancerzy. Plotki o rozstaniu raczej nie przysporzą mu głosów od widzów. W mediach pojawiły się też groźby pod jego adresem. „Chyba musimy pogadać, tak po męsku! U nas na wsi widły poszłyby w ruch..." – napisał w sieci Adam Kraśko znany z programu „Rolnik szuka żony".

Skarżenie się na plotkarskie media i ubolewanie nad hejtem w przypadku Tadli oraz Kreta nie ma jednak większego sensu, bo sami zaprosili media do swojego prywatnego życia. Odkąd na jaw wyszedł ich związek, udzielali wywiadów w kolorowych magazynach, opowiadali o wzajemnej fascynacji, poprzednich partnerach. Kret na łamach „Vivy!" oświadczył się Tadli, tłumacząc, że chce być z nią do końca życia. Po latach w kolejnym wspólnym wywiadzie wyjaśniał, dlaczego się jednak nie ożenił. W mediach społecznościowych dzielili się zdjęciami nie tylko z wakacji, lecz także z domowego zacisza. Można było zobaczyć prezenterkę w halce fotografującą omlet dla ukochanego i film o Krecie bohatersko ratującym szpaka, który wpadł do ich komina. Dla „Vivy!" sfotografowali się nawet w piżamach w sypialni.

RENESANS REALITY SHOW

Jednak zdaniem Macieja Durczaka casus Beaty Tadli i Jarosława Kreta to niezamierzone przez parę promocyjne działanie na rzecz „TzG". – Nie wydaje mi się, żeby obecne zamieszanie wokół nich było wyreżyserowane. Ta edycja programu dopiero wystartowała, więc na razie nie ma problemu spadającej oglądalności, którą trzeba by było ratować za pomocą tabloidowych plotek. Myślę raczej, że obrót spraw wszystkich zaskoczył, a programowi pomogło to przy okazji. Ta edycja „Tańca z Gwiazdami" kolejny raz okazała się atrakcyjna dla widzów – ocenia Maciej Durczak i zwraca uwagę, że ostatnio w telewizyjnej rozrywce przeważają programy z gwiazdami. – Tych programów jest tak dużo, że ich bohaterami stają się coraz mniej rozpoznawalne osoby. Nie ma wielu dobrych talent show pokazujących ludzi nieznanych i utalentowanych. Brakuje mi w telewizji najlepszego z nich – „Must be The Music" – który wylansował artystów, z sukcesami funkcjonujących na rynku muzycznym, takich jak Lemon czy Enej.

Doktor Karol Jachymek podkreśla jednak, że różnego rodzaju reality show z udziałem celebrytów to nie tylko nasza specjalność. – W zachodnich telewizjach jest ten sam trend. Reality show przeżywają zresztą swego rodzaju renesans. A że chętniej oglądamy w nich celebrytów? Niektórzy twierdzą, że świadczy to o upadku naszej kultury, ale w poprzednich stuleciach było podobnie, tylko celebryci byli inni: operowe diwy i primabaleriny – mówi kulturoznawca. I przypomina, że „żółta prasa", czyli protoplasta tabloidów, opisywała podobne historie, które dziś znajdujemy w brukowcach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

Joanna Lichocka

Niemieckie

Rodzina Szulców, z której wywodzi się Jarosław Marek Rymkiewicz, mieszkała we wsi Mały Dobrzec, włączonej w 1906 r. do Kalisza

Znane są imiona pradziadków i prapradziadków poety, choć gdyby poszukać w metrykach głębiej, to pewnie można by dojść do momentu, w którym Schultzowie, bo tak się nazywali, nim polskość wyparła z ich nazwiska poszczególne litery, dotarli do południowej Wielkopolski. Mogło to być w czasie zaboru pruskiego – od 1793 r. do Kalisza przybywali urzędnicy niemieccy wprowadzający pruską administrację. Jednym z jej zadań było sprowadzanie i osiedlanie na ziemi „Prus Południowych" niemieckich osadników, chłopów i rzemieślników. Schultzowie mogli też pojawić się kilka lat potem, w czasie Księstwa Warszawskiego, do którego tereny te zostały włączone w 1806 r. (a wtedy większość Prusaków wyjechała). Rząd Księstwa zachęcał do osadnictwa niemieckich rzemieślników – by przyjeżdżali ze swymi warsztatami i fachem. Tym razem nie chodziło o germanizację południowej Wielkopolski, lecz o rozwój gospodarczy. Ludzie zachęcani byli różnymi ulgami – zwolnieniami na sześć lat z płacenia podatków oraz zwolnieniem ich dzieci z obowiązku służby wojskowej. Przodkowie poety mogli też przyjechać z kolejną falą osadnictwa niemieckiego w początkowych latach Królestwa Polskiego. Kalisz notuje wtedy kolejny napływ osadników – tylko w 1816 r. przybyło 15 majstrów sukienniczych, z których kilku zapoczątkowało późniejsze duże fabryki istniejące w XIX-wiecznym Kaliszu. Ustawa „O urządzeniu rzemiosł, kunsztów i profesji", wydana w Królestwie Polskim w 1816 r., dawała obcokrajowcom zakładającym tu swe warsztaty rzemieślnicze liczne ulgi i zwolnienia. Kalisz, miasto graniczne, stał się ośrodkiem niemieckiej migracji rzemieślniczej. I etapem ekspansji dalej – na wschód, w głąb Królestwa i Rosji.

Dziadek poety, Adolf Brunon Schulz, był synem Karola Schultza i Emilii z Grunertów – ich ślub odbył się w 1876 r. Zarówno pradziadek, jak i prababka autora „Kinderszenen", co wynika z aktu ślubu zawartego w parafii ewangelickiej w Kaliszu, byli luteranami i oboje pochodzili z rodzin niemieckich osadników. Karol Schultz był urodzonym ok. 1836 r. synem Karola i Magdaleny z domu Kusche (to już prapradziadkowie poety). Emilia zaś była córką Augusta Grunerta i Julianny z domu Kussmann. Prapradziadek poety, ów August Grunert, był tkaczem z Małego Dobrzca.

Rau'owie Grunertowie także ktoś z Fettingów
Prababka Wilhelmina (chyba po liftingu)
I prapradziadek August drzemał tam w fotelu
Podniósł głowę – Kim jesteś, młody przyjacielu?
I wyciągnął z kieszonki genewski zegarek
Praprababka szepnęła – Das ist aber Jarek!
(fragment wiersza „Wiersz dla Ignacego Rymkiewicza na jego pierwsze urodziny")

Pradziadek Karol Schulz, w chwili ślubu z Emilią 40-letni wdowiec z sześciorgiem dzieci, był w Małym Dobrzcu wikliniarzem – wyrabiał koszyki. Zmarł w 1892 r., mając 56 lat. Adolf Brunon był jedynym dzieckiem tego małżeństwa – to wiemy z metryki zgonu Karola. Prababka Emilia przeżyła znacznie męża, zmarła w 1923 r., jej grób znajduje się na cmentarzu ewangelickim w Kaliszu.

eprasa.pl fd2222a256

Jarosław Marek Rymkiewicz przy grobie swojej prababki Emilii Schultz w Kaliszu FOT. LESZEK ZIABKA

literki Szulców

„Prababka Emilia pisała jeszcze swoje nazwisko przez S-C-H, a na końcu przez L-T-Z. Pojechaliśmy więc do Kalisza i poszliśmy na luterański cmentarz. Ewa z Joasią i jej kaliskimi przyjaciółmi chodziła po cmentarzu, szukając grobów innych Schultzów, a jest ich tam wielu, a ja trochę podróżą zmęczony usiadłem na krawędzi grobu prababki, bo nie było tam ławeczki, i zacząłem rozmyślać o dziejach rodu Schultzów, który zjawił się w Kaliszu nie wiadomo kiedy, ale na pewno bardzo dawno temu, i nawet nie wiadomo, skąd do Kalisza przybył, może z Saksonii, a może z Bawarii [...]" – mówił Jarosław Marek Rymkiewicz, gdy odbierał nagrodę tygodnika „Do Rzeczy" i opisywał naszą wspólną wyprawę do Kalisza jesienią 2017 r.

Nie tylko nie jest jasne, skąd się wywodzili Schultzowie – z Saksonii, z Bawarii, może ze Śląska. Nie bardzo wiadomo, skąd bezpośrednio trafili na przedmieścia Kalisza. Wiadomo tylko, że Karol był już pokoleniem urodzonym na polskiej ziemi: miejsce urodzenia zarówno w metryce ślubu, jak i jego zgonu jest określone jako „w Wasilkowie" lub „Wasylkowie". O jakie Wasilkowo lub Wasilków może chodzić – tego nie wiemy. Nie jest pewne, a właściwie jest rzeczą mocno wątpliwą, czy pradziad poety umiał pisać. Na metrykach ślubu ani urodzenia syna, gdzie powinien widnieć podpis, nie ma nic. Tymczasem ojciec Emilii, tkacz z Małego Dobrzca, owszem umiał – dość niezgrabny, z nazwiskiem pisanym małą literą podpis „August grunert" widnieje pod metryką zgonu jednego z jego dzieci.

W przypadku Grunertów wiemy nieco więcej, skąd przybyli – w akcie zgonu Augusta zapisano, że urodzony był w „Lissa w Prusach". Chodzi o Leszno. Istnieje też akt małżeństwa jego starszego brata Samuela, który żeniąc się w Warszawie

eprasa.pl fd2222a256

(jako zamieszkały przy ul. Inflanckiej tkacz), podał do metryki miejsce urodzenia – „Rydzynę w Księstwie Poznańskim". To tuż obok Leszna. Dowiadujemy się z tego dokumentu także, że rodzice Augusta i Samuela byli tkaczami – właśnie w Rydzynie. Skąd i kiedy przybyli jednak do Wielkopolski – nie wiemy.

MIŁOSNA TAJEMNICA PRABABKI

A co właściwie 29-letnia Emilia Grunert dojrzała w 40-letnim wdowcu wyplatającym koszyki? Czemu zdecydowała się wyjść za niego za mąż? I czemu wyszła za mąż tak późno jak na owe czasy – nieomal w staropanieństwie? Znów pomocne mogą być metryki parafii ewangelickiej w Kaliszu. Cofnijmy się o kilka lat.

W 1869 r. pod numerem 37 w kaliskich księgach parafii ewangelickiej znajdujemy akt zgonu Wandy Grunert, czteromiesięcznej córki… niezamężnej Emilii Grunert z Małego Dobrzca (22 lata) i nieznanego ojca. To bez większych wątpliwości dziecko naszej Emilii. Jeszcze trochę metryk wcześniej i jest akt urodzenia – z listopada 1868 r. Już wiemy – Emilia była „niezamężną służącą".

Ha, zatem nie była prababka poety starzejącą się brzydką panną, dzielącą czas między modlitwę i pracę w tkackim warsztacie ojca, która prawie do trzydziestki nie wyszła za mąż, bo nie miała wzięcia. Poeta, gdy odkryłam przed nim ten fakt, zakrzyknął z zachwytem: „Puściła się!".

Gdyby nie to, gdyby nie ten brzuch, który ktoś jej zrobił, kto przyznać się do tego nie chciał, a ona powiedzieć, kto on, nie mogła albo nie chciała, jakiś pan możny lub może żołnierz z kaliskiego garnizonu posłany na wojnę, lub ktokolwiek, kto wtedy, zimą 1868 r., uwiódł Emilię Grunertównę, gdyby zatem nie to, Jarosław Marek Rymkiewicz nie przyszedłby na świat. Bo gdyby ten ktoś – fabrykant w fabryce sukna? – nie uwiódł i dziecka nie zrobił, panna nie byłaby skompromitowana, nie wychodziłaby potem za mąż za 40-letniego wdowca z sześciorgiem dzieci. I nie byłoby Adolfa Brunona, dziadka poety, a co za tym idzie – i „Kinderszenen" by nie było, i „Zachodu słońca w Milanówku". Oto, jak wielkie pożytki płynąć mogą z miłosnego zawrotu głowy (i upadku) panny służącej, córki i wnuczki tkaczy.

Adolf Bruno Schultz urodził się rok po zamążpójściu Emilii, w 1877 r. Gdy miał 15 lat, zmarł jego ojciec. Podania rodzinne milczą, kto sprawił, że zaczął piąć się w górę. Czy była to właśnie Emilia?

Babcia i dziadek poety poznali się w cukierni w Kaliszu – być może w cukierni Wehrnera FOT. ARCHIWUM

Zapewne chodził do istniejącej w Kaliszu szkoły ewangelickiej i być może do mieszczącej się także w jej murach Szkoły Niedzielno-Handlowej. Nauka w niej trwała pięć lat, szkoła przeznaczona była głównie dla dzieci rzemieślników oraz kupców i cieszyła się dobrą opinią. Oprócz przedmiotów ogólnych i języka niemieckiego uczono buchalterii: rachunkowości, prawa wekslowego i geografii handlowej. Dziadek Bruno zapewne na niej nie zakończył edukacji. Piął się dalej. Szczeblował – tak się to określa w rodzinie.

Jakie jednak zdobył wykształcenie – podania rodzinne milczą. W metryce ślubu z Ireną Rymkiewicz w 1899 r. określony jest jako buchalter. W domu Rymkiewiczów wiadomo też, że był urzędnikiem celnym w Kaliszu, a Irenę poznał „w cukierni", gdzie pracowała.

SPOTKANIE W CUKIERNI

I tu kolejna zagadka. W jakiej cukierni? Pod koniec XIX w. w Kaliszu były co najmniej dwie–trzy cukiernie, gdzie mogli się poznać. Jedna w Rynku – cukiernia Gussmana, gdzie na kanapach prawnicy prowadzili długie dysputy, druga – przy ul. Warszawskiej, Fibigera, gdzie grano w bilard i dyskutowano o polityce, i trzecia – na obrzeżach parku, cukiernia Wehnera. Ponieważ nie mamy żadnych danych mówiących nam, gdzie pracowała Rymkiewiczówna i gdzie chadzał na kawę oraz ciastka młody Schultz, pozwólmy na dedukowanie z nieokreślonych, intuicyjnych i zupełnie nieracjonalnych przesłanek. Otóż najromantyczniej byłoby – a przecież to powinna być historia romantyczna, tej miłości sieroty, ubogiej szlachcianki i szczeblującego ambitnego syna niemieckich rzemieślników – że poznali się w cukierni Wehnera. Czemu? Z wielu względów. Pasjami przez lata grywano tam w szachy i z tego powodu przychodziło tam mnóstwo młodzieży. Były pyszne ciastka. Śliczne położenie i weranda. Na werandzie orkiestra żeńska. To ta cukiernia, którą opisała w „Nocach i dniach" Maria Dąbrowska: „Stoliki w cukierni Wehnera w parku były rozstawione między drzewami. Dla tych drzew i dla widoku na rzekę dążyli tu chętnie ludzie miejscowi, gdy przyjezdni ze wsi woleli cukiernie w śródmieściu".

Ojciec poety, Władysław, zaprzyjaźnił się w latach 30. z Marią Dąbrowską, razem odbyli podróż po Morzu Śródziemnym statkiem SS „Kościuszko", jest kilka ładnych zdjęć ich dwojga. Oboje związani z Kaliszem – tu Maria Dąbrowska dorastała i skończyła gimnazjum. – Najlepsze ciastka były u Wehnera w Kaliszu – mówi ona. – Moi rodzice się tam poznali – przytakuje on.

W budynku dawnej cukierni jest dziś restauracja. Tam – przypadkiem, nie domyślając się tej historii – poszliśmy na obiad z poetą i jego żoną, gdy przyjechali ze mną do Kalisza, by odnaleźć grób prababki Emilii. Siedzieliśmy w tej samej sali – tak chcą tego intuicja i wyobraźnia – gdzie przed wiekiem śliczna

eprasa.pl fd2222a256

Rymkiewiczówna przyniosła do stolika, przy którym siedział Bruno, kawę i jakieś pyszne ciastko z lodami. Najlepsze ciastko w Kaliszu.

A CO BYŁO DALEJ?

Po ślubie w 1899 r. młode małżeństwo wraz z małym synkiem Władysławem szybko Kalisz opuszcza. Przenosi się do Warszawy. Tam rodzi się kolejnych troje dzieci. Wszystkie – od Władysława do Alicji – są chrzczone w obrządku rzymskokatolickim. Pierwszym warszawskim adresem była najpewniej ul. Bednarska 8 (w 1904 r. rodzi się tam syn Feliks, podany adres w jego metryce urodzenia to ul. Bednarska 2685-6, a Adolf Brunon jest „księgowym korespondentem"). Dzięki pomocy Janusza Sujeckiego, varsavianisty, do którego zwróciłam się o podpowiedź, co to było za miejsce, wiem, że Bednarska 8 to kamienica Lutostańskich, wzniesiona w 1821 r. jako piętrowy budynek „pod dachówką". Miała 11-osiową fasadę i ryzalit pośrodku. Była zwieńczona attyką. Miała od wschodu murowaną oficynę i podwórze na tyłach zabudowane wokół drewnianymi budynkami gospodarczymi. Kamienica przetrwała wojnę, została spalona, ale nie została zrównana z ziemią – dziś jest nieco zmieniona, z nadbudowanym piętrem, ale stoi. Warto to odnotować – to jest bowiem ostatni przedwojenny warszawski adres rodziny poety, który nie został obrócony w perzynę.

W 1930 r. dziadka Brunona odnajdujemy w dużym mieszkaniu w kamienicy przy ul. Koszykowej 38. W książce adresowej widnieje wówczas jako „Schultz Adolf, przemysłowiec". Pod tym samym adresem występuje też w tym czasie, w tej samej książce, jego pierworodny syn, adwokat – Władysław Szulc.

Dziwna sprawa jest z formą tego nazwiska. Adolf Bruno Schultz z tego, jak się nazywa, czynił rzeczy zagadkowe. Niekonsekwentne. Jakby nie był zdecydowany, jak właściwie chce się nazywać. Nie przepadał chyba za imieniem Adolf i średnio lubił Brunona. Jako młody, 22-letni chłopak pod aktem ślubu w Kaliszu podpisuje się jako „Bronisław Szultz". W metryce urodzenia pierworodnego syna Władysława rok później widnieje w tekście dokumentu jako Adolf Bruno Szultz, ale odręcznie podpisuje się pod nim „Adolf Bronisław Szulc". Z zawijasem wyprowadzonym z „c". Nie ma „t" ani „z". W 1904 r. – gdy mieszka już w Warszawie – chrzci (w katedrze św. Jana) swego kolejnego syna, Feliksa. W tekście metryki zapisany jest jako Adolf Bruno Szulc. Sam podpisuje się jednak… Bronisław Szultz. „T" i „z" wróciły.

Jakby się cofnął! Przecież już pisał wcześniej to „c" zamiast niemieckiego „tz". Zacięta ta bitwa – formy polskiej z niemiecką. Trwa równolegle na dwóch płaszczyznach – formalna, urzędowa wersja obowiązuje swoją drogą i nieco się w kolejnych dokumentach zmienia, a zaciemnia jeszcze sprawę ingerencja języka rosyjskiego, w którym spisywane były po powstaniu styczniowym metryki. Rosyjskie „sz" nie odróżniało, czy dziadowie poety pisali się przez „sch" czy „sz" na początku nazwiska. Chociaż, nie da się wykluczyć, przyspieszało to rezygnację z „sch". Tutaj zatem bitwa toczy się o znikające i pojawiające się „t" i „z". Jeszcze ważniejsze jest to, co zmienia się w formie osobistej nazwiska, odręcznie kreślonych podpisów na przestrzeni lat. Czy ten powrót do niemieckiej formy, rezygnacja z „Bronisława" i z „c" na końcu dowodziły jakiegoś zawahania Adolfa Brunona Schultza, kim właściwie jest? Do jakiego stopnia określić się po polsku, a do jakiego pozostać wiernym przodkom z Małego Dobrzca? Z drugiej strony polskość ich była już chyba jasna. Matce, Emilii Schultz, na grobie na ewangelickim cmentarzu w Kaliszu wypisano – pewnie na zlecenie syna, bo kogóż innego? – fragment z Ewangelii św. Mateusza – po polsku.

Pójdźcie do mnie wszyscy
Którzyście spracowani i obciążeni
A ja wam sprawię odpocznienie.
Mat. XI 28

Ostatecznie droga do polskiej formy nazwiska okazała się prosta dopiero dla dzieci Brunona. Wszystkie, ojciec poety – Władysław, jego młodszy brat Feliks i dwie siostry Maria i Alicja, były Szulcami. Bez „sch" i bez „t", „z". Podobnie żona Brunona, Irena. Umiera w grudniu 1938 r. Jest pochowana na warszawskich Powązkach jako „z Rymkiewiczów Irena Szulcowa".

A Adolf Bruno/Bronisław Szultz/Szulc/Schultz?

Jarosław Marek Rymkiewicz mówi, że nigdy nie słyszał, by o dziadku mówiło się Bronisław. Zawsze był to dziadek Brunon. I że bardzo mało o nim wiadomo. Nigdy o nim nie opowiadał ojciec poety Władysław. Z opowieści mamy Jarosława Marka Rymkiewicza wyłaniał się obraz człowieka surowego, wymagającego, skrupulatnego. Był człowiekiem zamożnym, według rodzinnego podania prowadził w Warszawie przedstawicielstwo Diesla. Zbudował dom na Służewcu (nie zdążył go dokończyć, otynkować), który służył rodzinie za letnisko. Musiał mieć silną osobowość, skoro jego dzieci, już dorosłe i z własnymi rodzinami, stawiały się codziennie wieczorem w mieszkaniu przy ul. Koszykowej na wspólne czytanie Pisma Świętego. Jedno z najwcześniejszych wspomnień Jarosława Marka Rymkiewicza z dzieciństwa jest właśnie takie – przy stole siedzą dorośli, dziadek z wielką, grubą czarną księgą w ręku czyta. Nie wiadomo, wspomnienie nie jest jasne, czy czyta Pismo po polsku czy po niemiecku. Dzieciaki śmigają wokół stołu, pamięć nie podpowiada jednak, jak dziadek wygląda, czy jest wysoki czy niski, łysy czy siwy. Nic, żaden szczegół postury czy twarzy nie zachował się we wspomnieniu chłopca. Czarna, gruba księga w dłoniach. Dorośli rzędem przy stole. I bonżurka, w której dziadek Bruno zazwyczaj był ubrany w domu, zielonozłota, z wykładanym jedwabnym kołnierzem i z takimi samymi mankietami. Przewiązana plecionym, błyszczącym paskiem z materiału, który wyglądał, jakby był zrobiony z grubego drutu.

Dziadek Schultz umarł w 1940 r., został pochowany nie na katolickim Cmentarzu Powązkowskim, jak jego zmarła dwa lata wcześniej żona, ale na cmentarzu ewangelickim w Warszawie.

Szara planeta mózgu obraca się skrzypiąc
W czaszce pożaru w czaszce nieba
Pali się brama na Koszykowej 38
Ale już nie pamiętam numeru telefonu
Pali się popiół miasta Kości snów
W zwęglonych żebrach nieba bije moje serce
Spalony człowiek miasto podnosi się
z klęczek
Nie ma oczu ni ust
W splątanych bandażach
Idzie przez Europę grozi pięścią Bogu.
(fragment wiersza „Pali się miasto")

Ze „Spisu abonentów sieci telefonicznej m.st. Warszawy P.A.S.T i warszawskiej sieci okręg. P.P.T.T rok 1939/40" wiemy, że do Schultza Brunona – to ostatni, publiczny zapis jego nazwiska, nie ma Adolfa, są za to i „Sch", i „t" oraz „z" – zamieszkałego przy ul. Koszykowej 38 można było zadzwonić, wybierając numer 885 38.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem powstającej książki o Jarosławie Marku Rymkiewiczu.

eprasa.pl fd2222a256

Piknik przed

Piotr Gociek

„Anihilacja" Alexa Garlanda to jeden z najlepszych filmów science fiction ostatnich lat. Lepszy niż książka, na której został oparty

W przypadku pewnego rodzaju tajnych informacji nie ma znaczenia, co wiemy, a czego nie wiemy. Doświadczenie podpowiadało naszym zwierzchnikom, że wrócą jedynie nieliczne z nas – a może żadna" – opowiada narratorka powieści Jeffa VanderMeera „Unicestwienie". To na podstawie tej właśnie książki powstał najciekawszy jak dotąd film roku 2018 – „Anihilacja" w reżyserii Alexa Garlanda.

Miejsce, do którego wybiera się bohaterka, to Strefa X – tajemniczy obszar, wewnątrz którego dzieją się jeszcze bardziej tajemnicze rzeczy. Zaczęło się od upadku niewielkiego meteorytu, a może kapsuły z obcą formą życia – tego nie wiemy. W każdym razie wszystko wokół miejsca katastrofy (A może lądowania? Powtórzę – nie wiemy) zaczęło się zmieniać. Po drugiej stronie lśniącej kopuły rosną nieznane ludzkiej wiedzy rośliny, zwierzęta podlegają mutacji, a ludzie – cóż, ludzie, którzy wybrali się na spotkanie z fenomenem, z reguły nie wracają.

SPOTKANIE Z NIEZNANYM

Jednym z tych, którzy wrócili, okazuje się mąż głównej bohaterki (Kane – Oscar Isaac). Nie wiadomo jednak, jak znalazł się z powrotem w jej kuchni, nieznane są losy pozostałych członków jego ekspedycji, nie wiemy także, jaka śmiertelna choroba go toczy – widzimy jedynie niepokojące symptomy. Lena (w tej roli Natalie Portman) wkrótce zostaje ochotnikiem. Ma odpowiednie kwalifikacje: jest biologiem i ma siedmioletnie doświadczenie w armii, więc może zostać częścią pięcioosobowej wyprawy (same kobiety), dowodzonej przez dr Ventress (świetna Jennifer Jason Leigh).

Już pierwsze doświadczenie w Strefie X jest głęboko dezorientujące – bohaterki budzą się w namiotach pośrodku dziwnej głuszy, ale nie pamiętają, jak się tam znalazły ani jak rozbijały obozowisko. Szybka kontrola racji żywnościowych wykazuje, że zapas zmniejszył się tak, jakby były tu od kilku dni. Potem będzie już tylko dziwniej i straszniej, momentami z naciskiem na „straszniej", bo są w filmie Alexa Garlanda chwile naprawdę przerażające.

Przede wszystkim jest to jednak opowieść o spotkaniu z Nieznanym, opowieść w starym, zapomnianym dziś stylu, której bliżej do „Solaris" Lema czy „Stalkera" Andrieja Tarkowskiego według prozy braci Strugackich. Jedna i druga inspiracja jest tu obecna. W „Anihilacji", tak jak w „Solaris", to, co pozaziemskie i nieznane, próbuje imitować to, co ludzkie i ziemskie, zaś tak jak w „Stalkerze" (inspirowanym powieścią „Piknik na skraju drogi") wnętrze Strefy okaże się miejscem, w którym zawieszone są znane ludzkim naukowcom prawa natury.

Wielki temat fantastyki – kontakt z obcym – to prawdziwy ocean dzieł rozmaitej jakości, ale da się go zredukować do kilku podstawowych schematów. Przede wszystkim: albo my ich, albo oni nas. Na serio w budowę jakichś galaktycznych federacji i wymianę ambasadorów nie wierzy chyba nikt przy zdrowych zmysłach. Nie zawsze musi być to świadoma konfrontacja, przecież o przypadkowym zniszczeniu mrowiska przez przejeżdżający lasem buldożer nikt nie powie, że była to wojna światów. Różnica między stronami jest zbyt wielka. Albo jeszcze inaczej: Konrad Fiałkowski w opowiadaniu „Wróble galaktyki" nakazał jednemu z bohaterów tłumaczyć całkowitą obojętność obcych na podejmowane przez ludzi próby kontaktu tak: „Czy zatrzymałeś się kiedykolwiek, żeby popatrzeć na wróble? Na pewno nie. Jeśli je nawet czasem spostrzegłeś, to przypadkiem. Są zbyt pospolite, by zwrócić naszą uwagę... i może my właśnie jesteśmy takimi wróblami w naszej galaktyce".

★★★★★☆
REŻ. ALEX GARLAND
„ANIHILACJA" („ANNIHILATION")
USA 2018
NETFLIX

wyst. Natalie Portman, Jennifer Jason Leigh, Tessa Thompson

To i tak wersja optymistyczna. Bardziej trzeźwo (więc i najbardziej pesymistycznie) na sprawę patrzył Stanisław Lem w swojej gorzkiej powieści „Fiasko", podkreślając nie tylko niemożliwe do przekroczenia bariery między cywilizacjami rozumnymi, lecz także ukazując niszczące skutki prób nawiązania kontaktu za wszelką cenę. Z kolei w jednej z najciekawszych książek ostatnich dekad, jaką było „Ślepowidzenie" Petera Wattsa, kanadyjski pisarz mistrzowsko pokazuje, jak same różnice w postrzeganiu wszechświata

eprasa.pl fd2222a256

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

(jak najbardziej wytłumaczalne naukowo) sprawiają, że kontakt jest niemal niemożliwy.

ZBYT TRUDNY?

Trylogia Jeffa VanderMeera (bo po książce „Anihilacja" przyszły jeszcze „Ujarzmienie" i „Ukojenie") oraz film Alexa Garlanda sytuują się blisko tych poważnych (i w efekcie smutnych) rozważań, zatem dużo bliżej Lema niż radosnych opowiastek o międzygwiezdnym handlu i uniwersalnych translatorach, dzięki którym rozmaite rasy będą ze sobą plotkować przy okazji zakupów na galaktycznym bazarze. Najważniejsza jest jednak nie fizyka (tak jak u Lema czy Wattsa), lecz biologia – Ziemia de facto ulega infekcji, co – jak wiadomo – nie może skończyć się dobrze dla organizmu spotykającego się z zupełnie nowym rodzajem choroby. Tajemnicza Strefa X w odróżnieniu od kilku kosmicznych śmietnisk pozostawionych na Ziemi przez obcych w „Pikniku na skraju drogi" powiększa się, a anomalii nic nie jest w stanie powstrzymać.

Kręcąc „Anihilację", Alex Garland dokonał rzeczy niemal niemożliwej, bo proza VanderMeera wydawała się nieprzekładalna na ekran. To gęsta od psychologii (czasem wątpliwej jakości) elegia, w której ludzie są tylko symbolicznymi reprezentantami naszej cywilizacji w starciu z siłą, której nikt nie rozumie i niczego nie może jej przeciwstawić. Do tego akcji tyle, co kot napłakał. Bohaterki powieści „Unicestwienie" nie miały nawet własnych imion, czytelnik poznawał je jedynie poprzez pełnione funkcje i wyuczone specjalizacje: biolog, psycholog, antropolog. Całkiem jak w dawnej klasycznej literaturze SF, gdzie na pokładach statków kosmicznych mieliśmy jedynie Inżyniera, Lekarza, Nawigatora (koniecznie, jak pamiętam, pisanych wielką literą), bo ważne było nie to, jakim kto jest człowiekiem, lecz jaką zawodową rolę odgrywa w społeczeństwie przyszłości. W takich redukcjach, co zrozumiałe, specjalizowali się autorzy z obozu krajów komunistycznych.

Tymczasem „Anihilacja" to film intrygujący, w którym nie mamy kłopotu z odczytaniem motywacji postaci, zachwycający pejzażami wewnątrz Strefy X i dobrze opowiedziany. Moim zdaniem lepszy od książki, na podstawie której powstał, bo prozę VanderMeera uważam od lat za mocno przecenianą i mętną. Jednocześnie film Garlanda nie spełnia warunków wymaganych dziś od komercyjnego widowiska hollywoodzkiego. Pewnie z tego powodu studio Paramount nie wahało się, by prawa do dystrybucji w wielu częściach świata sprzedać od razu Netflixowi. Dlatego amerykańscy widzowie mogli obejrzeć „Anihilację" w kinach, a polscy ujrzeli jej debiut 12 marca we własnych telewizorach podpiętych do tego serwisu streamingowego.

Budzić to mogło jak najgorsze skojarzenia – przecież dopiero co to samo studio zrezygnowało całkowicie z dystrybucji innego tytułu (thriller SF „Paradoks Cloverfield") i także sprzedało film Netflixowi. Tam jednak mieliśmy do czynienia z filmem, który (jak przewidywano) miał polec w kinach, bo był po prostu kiepski. Z szerokiej dystrybucji „Anihilacji" zrezygnowano, bo była zbyt nietypowa, wymagająca… Zbyt mądra? Na pewno jest to ten rodzaj kina, który skupia się na stawianiu pytań, a nie suflowaniu prostych odpowiedzi. Inna sprawa, że pewne koncesje na rzecz widza musiały być poczynione, więc – paradoks – choć film jest za trudny albo za dziwny dla części miłośników rozrywki lekkiej, łatwej i przyjemnej, to jednak daleko mu do bezkompromisowości Andrieja Tarkowskiego.

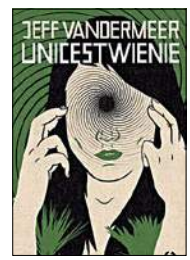

★★★☆☆☆
JEFF VANDERMEER „UNICESTWIENIE" WYDAWNICTWO OTWARTE 2014

OD PISARZA DO REŻYSERA

Jedno jest pewne – obserwujemy narodziny ciekawego, utalentowanego reżysera. Piętnaście lat temu o Alexie Garlandzie było głośno ze względu na jego książki (przede wszystkim międzynarodowy bestseller „Niebiańska plaża") i scenariusze („28 dni później", „W stronę słońca"). Później pisarz zamienił się w producenta filmowego („Nie opuszczaj mnie", „Dredd 3D"), aż wreszcie przeistoczył się w reżysera. Debiutował w tej roli dobrym thrillerem SF „Ex machina" (rok 2014, Oscar za efekty plus nominacja za scenariusz, który sam napisał).

Teraz pokazał, że radzi sobie jeszcze lepiej. „Anihilacja" to film zrobiony pewną ręką, w którym ciekawe kreacje stworzyli pierwszoligowi aktorzy (szczególnie wspomniane już Portman i Leigh). Podobno bliska jest realizacja „Halo" – kolejnego filmu SF, tym razem na podstawie popularnej gry. Sam reżyser nie ukrywa, że chciałby zrobić nową ekranizację swojej powieści „Niebiańska plaża", bo nie jest zadowolony z tej, którą nakręcił w roku 2000 jego przyjaciel Danny Boyle („The Beach" z Leonardem DiCaprio w roli głównej). Niezależnie od tego, jakiego wyboru Garland dokona, warto mu się bacznie przyglądać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

Nicowanie mitu

Takiego księdza Kaczkowskiego nie znaliśmy

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Andrzej Horubała

Owszem, z rozlicznych książek można było coś tam sobie odtworzyć, coś podejrzewać, domniemywać, ale dopiero biografia „Jan Kaczkowski. Życie pod prąd" autorstwa Przemysława Wilczyńskiego te rozsiane po różnych miejscach sygnały scala, konfrontuje ze świadkami, próbuje ułożyć z porozrzucanych kawałków puzzli jakiś jeden obraz. Ale przecież obraz to wysoce niejednoznaczny, a na pewno burzący mit księdza Jana Kaczkowskiego. Mit, który jest – jak pisze autor – „szkodliwy dla jego pamięci, bo zamienia go niepostrzeżenie w postać bez słabości i wad. Mit księdza, który »nikogo nigdy nie osądzał«. I który wiedział wszystko o śmierci, nie bał się jej…".

Nie jest owa biografia materiałem, którego można byłoby użyć w poczciwie rozumianym procesie beatyfikacyjnym, chyba że zakwalifikować go jako głos adwokata diabła, gdyż ujawnia bardzo wiele niemiłych cech naszego bohatera, a i – może z powodu niechęci autora do liryki czy patosu – nie wieńczy finałem, który składałby opowieść o księdzu onkocelebrycie w jakąś budującą historię.

Otwierające książkę drobiazgowe odtwarzanie rodzinnych korzeni księdza Jana Kaczkowskiego może początkowo drażnić jako nieuzasadniona jazda obowiązkowa, ale za chwilę, gdy przejdziemy do rozdziału o pobycie naszego bohatera w seminarium, okaże się w pełni sensowne. Wynoszenie się niepełnosprawnego kleryka ponad kandydatów ze zgrzebnym, najczęściej chłopskim, rodowodem, stworzona wraz z drugim inteligentem loża szyderców, późniejszy pogardliwy stosunek do lokalsów z Pucka – te wszystkie niemiłe cechy będą miały swe źródła w rzeczywiście nie najgorszych korzeniach Jana. Gdy dodamy do tego jeszcze postać ojca – inżyniera, działacza trójmiejskiej Solidarności, mocno zaangażowanego w konspirację i opór wobec władzy, po 1989 r. wiceprezydencie Sopotu, matkę – absolwentkę romanistyki UJ, wykładowczynię uniwersytecką zakochaną we Francji i jej kulturze, serwującą domownikom i gościom potrawy znad Sekwany, zobaczymy, z jakich przewag korzystał niepełnosprawny syn państwa Kaczkowskich.

Biografia pióra Wilczyńskiego przynosi obraz niespecjalnie sympatycznego młodzieńca: niedowidzący, dotknięty neurologicznymi niedowładami chłopak musiał walczyć o swoją pozycję, uaktywniając także złe cechy swojego charakteru. W szkole podstawowej owszem, wyrastał na znaczącą indywidualność, określony jako „zezowaty i pyskaty", w liceum zapamiętany już raczej „z cyniczno-złośliwo-jadowitego stosunku do ludzi", który – jak zaznacza jego przyjaciel z tamtych lat – wcale nie był „ciepłą ironią". Na podobne sygnały natrafimy w relacjach z seminarium, ale przecież także później, w czasie pracy w Pucku, młody ksiądz będzie z poczuciem wyższości, pyszałkowaty wchodził w konflikty z parafianami. Jak wtedy, gdy postanowi założyć w Pucku własną szkołę czy w wyborczą niedzielę z ambony będzie agitował za swym kandydatem na burmistrza. Rozpieszczany przez liberalne media, z koneksjami we władzach wojewódzkich, wykorzystywać będzie swoją pozycję do forsowania własnych projektów, bez oglądania się na innych.

Niezbyt miły obraz księdza Kaczkowskiego wyłania się więc z biografii pióra Przemysława Wilczyńskiego. I nie chodzi tylko o jego skłonność do „Gazety Wyborczej", z którą ostentacyjnie paraduje, nie o poparcie dla Jerzego Owsiaka (to akurat chyba nie przeszkadzałoby autorowi), czy niekonsekwentne pomieszanie elementów Kościoła tradycyjnego z tym progresywnym, lecz o niesympatyczne cechy charakteru związane ze strategią przetrwania przyjętą przez niepełnosprawnego Janka. Strategią na „złośliwego kalekę", będącą także oskarżeniem

eprasa.pl fd2222a256

nieczułego, a niejednokrotnie wręcz agresywnego wobec słabszych świata.

TOKSYNY

Wątek jego „synków" duchowych. Chłopaków zamieszanych często w światek przestępczy, pochodzących z rodzin patologicznych lub co najmniej dysfunkcyjnych i obsesyjna, natrętna przyjaźń oferowana 24/7 przez księdza, zapraszającego podopiecznych do McDonalda czy na piwo. I jeden szczególny przypadek, któremu przygląda się Wilczyński: graniczący z obsesją żal księdza do młodzieńca, gdy ten, dojrzały, próbuje uwolnić się spod jego wpływu. Zastępowanie jednej toksyny drugą. Zaborcza relacja i błędy, których broni autor biografii, podsumowując rozdział: „Nie popełniłby ich z pewnością katecheta przychodzący na lekcje, realizujący program, a potem oddalający się na plebanię. Uniknąłby ich »parafialny urzędnik«".

Przelatujemy z Wilczyńskim przez te pełne trujących oparów środowiska: widzimy pełną agresji szkołę, w której nauczyciele poniżają uczniów: wyzywają i dręczą; liceum, w którym Janek popisuje się alkoholizowaniem; seminarium, gdzie już Jan umiejętnie zdobywa dominującą pozycję i gnębi innych. Zajeżdżamy do Pucka, którego ludności lokalnej – Kaszubów – wikary Jan zdaje się zupełnie nie pojmować. Śledzimy wikłanie się w lokalną politykę i odpryski polityki wyższego szczebla, gdy Józef Kaczkowski jako wiceprezydent Sopotu, współpracownik Jacka Karnowskiego, oskarżanego o korupcję, sam zostaje napiętnowany za załatwienie rodzinie mieszkania w wyśmienitej lokalizacji przy Monciaku. Tęsknota księdza Jana za rodzinnym inteligenckim Trójmiastem, intensywna przyjaźń z księdzem Piotrem Szelągiem i późniejsze tegoż zrzucenie sutanny – to wszystko rejestrowane przez autora biografii, składane z wypowiedzi świadków, odczytywane z książek, wywiadów, rekonstruowane z programów telewizyjnych i Internetu.

Pełno świetnych, nierzadko dosadnych anegdot. Rzucający mięsem Kaczkowski, odgrażający się, że komuś jebnie, albo wyzywający innego od chujów, potrafiący na lekcji religii w liceum walnąć pięścią w stół i wrzasnąć: „Kurwa, posłuchajcie mnie!".

Zabawny opis puckiej rywalizacji dwóch księży z charyzmą – Kaczkowskiego i Piotra Mazura. Ten drugi z irytacją słuchał lirycznych „psychologicznych" kazań księdza Jana i po kolejnym, „w którym znów mówił o relacjach, przytulaniu, używając przy tym po wielokroć zbitki »intymnie i głęboko«", nie wytrzymał i podsumował go w zakrystii: „Janie, intymnie i głęboko to ty możesz pierdolić".

Konflikty z hierarchią, przede wszystkim z następcą arcybiskupa Gocłowskiego – Sławojem Leszkiem Głódziem, który – negatywnie przedstawiany przez autora biografii – chciał utemperować nieliczące się z prawem kanonicznym działania dynamicznego księdza.

I wreszcie okres ostatni – lata 2012–2016. Ironia losu, szyderstwo Boga, który tego założyciela hospicjum dotknie nieuleczalnym rakiem mózgu. Ktoś, kto pomagał umierającym, sam będzie umierał na oczach świata. I znów daleka od hagiografii opowieść. O załamaniach, o dwóch obliczach księdza: tym obliczonym na pokaz, celebryckim, i tym prywatnym, pełnym buntu i rozpaczliwych modlitw o cud. O odurzaniu się piwem, marihuaną oraz zaburzeniach umysłowych i emocjonalnych towarzyszących sterydowej i chemicznej terapii.

Bez znieczulenia i bez blokad przywoła Wilczyński krytyczne sądy na temat hiperaktywności księdza z glejakiem, także tej medialnej, zacytuje ludzi dostrzegających fałsz w jego recepcie dla terminalnie chorych, by rzucali się w wir zajęć, pokazujących, że błyszcząc przed kamerami, otagowany hasłami typu „Życie na pełnej petardzie", pomija prawdę o ludziach zmiażdżonych cierpieniem, wycofanych. Będzie rozmawiał autor z dziennikarzami promującymi wówczas Kaczkowskiego oraz jego współpracownikami, wydobędzie z nich oskarżenia o granie na siebie, brak wdzięczności dla współtwórców hospicjum czy wręcz pomijanie współautorstwa tekstów. Ale też pokaże, jak medialne projekty wiązane z księdzem Kaczkowskim ocierały się o pornografię śmierci.

Nie zawaha się przytoczyć krytycznej opinii Katarzyny Jabłońskiej, że ksiądz Jan „używał pewnych sformułowań jako wytrychów, retorycznych ozdobników, a potem stawał się ich zakładnikiem", czy głosu Bożeny Aksamit, tej, która odkryła Kaczkowskiego dla mediów, sceptycznej wobec zachwytów nad głębią nauczania kapłana.

Te wątpliwości nie zagłuszą wołania o księży towarzyszących ludzkim sprawom, bliskich ludzkich spraw.

Wzruszająco odtworzy Wilczyński relację umierającego kapłana z niewierzącym ojcem, który do końca pozostanie dla niego autorytetem. Pochyli się ze współczuciem nad boleściwą matką księdza.

BOHATER NIEJEDNOZNACZNY

Wykonał Wilczyński kawał dobrej roboty, przeprowadził mnóstwo rozmów, dotarł do świadków zdarzeń, odwiedził miejsca związane z aktywnością księdza Kaczkowskiego. Jego fani będą z wypiekami śledzić próby odnalezienia księdza Wacława, jezuity, który spowiadał na wpół pijanego, na wpół skacowanego licealistę, bawiącego na szkolnej wycieczce w Toruniu, i zagadnął go o to, czy nie wybrałby kapłaństwa. Z uśmiechem przeczytają, jak ojciec Janka, zdeklarowany ateista, prosił Macieja Płażyńskiego, wówczas wojewodę gdańskiego, o protekcję u arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego w sprawie przyjęcia niepełnosprawnego syna do seminarium. Zwolennicy literatury faktu będą podziwiali autora, że nie powstrzymuje się przed zadawaniem trudnych pytań – czy to konformistycznej dyrektorce szkoły, czy księdzu, który porzucił sutannę. Wdzięczni mu będą za jasne stawianie spraw, jeśli idzie o życie seksualne Kaczkowskiego przed seminarium. Miłośnicy kapłana podbiją wątki dotyczące zaangażowania księdza w rozpropagowanie ruchu hospicyjnego i prawdziwych rekolekcji o umieraniu. Docenią też dopełniającą książkę wkładkę z rozczulającymi nierzadko zdjęciami.

Opowieść o księdzu Janie stać się może – dzięki wrażliwości autora – ciekawym punktem wyjścia do rozważań na temat współczesnego Kościoła w Polsce i pożądanego modelu duszpasterstwa, zaś rozdziały poświęcone miejscu niepełnosprawnych w naszej wspólnocie poruszą nawet obojętnych na tę tematykę.

Zadając ostre pytania, podejmując niewygodne tropy, Wilczyński stworzył niezwykłe świadectwo – nie hagiografię, lecz portret człowieka powikłanego – ułomnego, walczącego o swoje miejsce, czasem dającego się oszołomić medialną popularnością, skoncentrowanego na sobie, kiedy indziej oddającego cały swój czas potrzebującym. Kapitalny materiał na film o niejednoznacznym bohaterze, film, w którym mogłaby przejrzeć się nasza współczesność.

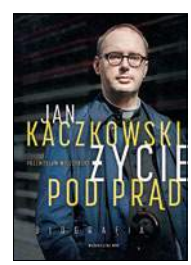

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI „JAN KACZKOWSKI. ŻYCIE POD PRĄD" WYDAWNICTWO WAM 2018

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

FOT. MATERIAŁY PROSOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Romans z istotą bezcielesną

Kocham go za piękną duszę – to fraza rodem z dawnej literatury. Wewnętrzne przymioty epuzera miały rekompensować kobiecie jego odstręczający wygląd, cuchnący oddech, dramatyczną różnicę wieku (ale już nie brak grubego portfela). Dzięki powieści Davida Levithana „Każdego dnia" wiktoriańskie skrzydlate słowa zyskały całkiem nowe znaczenie. 16-letnia Rhiannon ma problem, przy którym bledną dylematy poprzedniczek: wybranek jej serca codziennie budzi się w innym ciele.

Nakręcono już masę filmów o pannicach zabujanych (czasami z wzajemnością) w wampirach. Bohaterka makabrycznej komedii „Wiecznie żywy" prowadzała się z zombiakiem, nie bacząc, że skonsumował jej poprzedniego chłopaka. Romans z istotą bezcielesną to jednak zupełnie nowa jakość. Czy autora zainspirowała hinduska wiara w reinkarnację czy raczej „Dzień świstaka"? On sam chyba tego nie wie, ale temat wisi w powietrzu co najmniej od czasów Platona.

Starożytna koncepcja ciała jako naczynia dla duszy doczekała się rozwinięcia w futurystycznej powieści „Modyfikowany węgiel", przerobionej ostatnio na serial telewizyjny. Gdy zaczniemy przechowywać świadomość w postaci cyfrowej i umieszczać ją w wyhodowanych w laboratoriach pięknych oraz młodych powłokach, żadnej nastolatki nie będzie nękała myśl: „Zasługujesz na kogoś lepszego". Rhiannon leci na zabłąkanego ducha, bo tylko on ją rozumie i docenia. No cóż, trudno o lepszą szkołę empatii niż wieloletni pobyt w cudzej skórze. „A" grasuje na ograniczonym terytorium i wyłącznie wśród rówieśników. Razem z nimi dorasta. Film nawet nie podejmuje próby wyjaśnienia tego fenomenu, tak po prostu jest i kropka. Słuszna to strategia, bo na logicznym uzasadnianiu zjawisk paranormalnych wyłożyły się już legiony scenarzystów.

Na Levithana i jego adaptatorów czyhało inne niebezpieczeństwo. Im bardziej rozkwita licealny romans, tym trudniej uniknąć oskarżenia o propagowanie poliamorii i biseksualizmu. Fakty są nieubłagane: w dwa tygodnie Rhiannon spotyka 14 potencjalnych kochanków płci obojga. O tym, że jest to wciąż ta sama osoba, nikt oprócz niej przecież nie wie. Żeby życie miało smaczek, raz dziewczynka, raz chłopaczek? Zanim widzom przyjdą do głowy takie skojarzenia, trzeba koniecznie zwekslować fabułę na bezpieczniejsze tory.

W końcu to tylko bajka dla pokolenia, które zasypia ze smartfonem w garści, lecz o żadnej obyczajowej rewolucji nie marzy. Dlatego pointa jest konserwatywna. Może i fajnie byłoby każdego dnia być (z) kimś innym, lecz pamiętajcie, drogie dziatki: skonsolidowana rodzina i dobre stopnie w szkole to podstawa. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. MICHAEL SUCSY
„KAŻDEGO DNIA" („EVERY DAY")
USA 2018

wyst. Angourie Rice, Justice Smith, Owen Teague

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PITBULL. OSTATNI PIES"

Patryk Vega zajął się własnymi, nowymi projektami. Marka „Pitbull" została przy starym producencie i tak oto za nową odsłonę serii (podobno ostatnią kinową, w co nie chce mi się wierzyć) odpowiada Władysław Pasikowski. Twórca „Psów" napisał też scenariusz. Fanów cyklu najbardziej cieszy powrót Marcina Dorocińskiego, a najbardziej martwi zapewne fakt, że na ekranie pojawia się też Doda. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Pitbull. Ostatni pies", reż. Władysław Pasikowski, wyst. Marcin Dorociński, Krzysztof Stroiński, Dorota Rabczewska, Rafał Mohr, Polska 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Happy End", reż. Michael Haneke, Austria/Niemcy 2017***
- ***„Do zakochania jeden krok", reż. Richard Loncraine, Wielka Brytania 2017***
- ***„Święty niezłomny", reż. Pablo Moreno, Hiszpania 2016***

eprasa.pl fd2222a256

W to mi graj

Komedia o niedojrzałych 30-latkach. Trochę w typie „Przyjaciół", ale z uwzględnieniem przemian, jakie nastąpiły w Ameryce w XXI w. Wśród bohaterów tamtego serialu nie było (o zgrozo) ani jednego czarnoskórego. W „Wieczorze gier" jest dwoje, i to rozgarniętych. Cóż z tego, skoro kamera więcej uwagi poświęca niewydarzonym białasom?

Max i Annie są małżeństwem z krótkim stażem. Dobrali się jak w korcu maku: kochają testy, quizy i łamigłówki. Niestety, mają problem z prokreacją, bo Max jest wiecznie zestresowany z powodu brata. Brooks, przystojniejszy i lepiej sytuowany, ciągle wygrywa i nie przepuszcza okazji, by go ośmieszyć.

Gdy braciszek proponuje, by rywalizację przenieść na wyższy poziom, Max węszy podstęp. Ma rację, lecz zabawa, która zacznie się od porwania jednego z graczy, szybko wymknie się spod kontroli. Przez zamiłowanie bohaterów do słownej szermierki fabuła momentami gubi rytm, a wśród dowcipów trafiają się suchary.

Scenarzysta jest bez wątpienia maniakiem kina. Najwięcej ubawu będą mieli fani filmów Finchera i Tarantino, innym też polecam, ale ostrzegam: przed seansem pod żadnym pozorem nie oglądajcie zwiastuna „Wieczoru gier"! ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. JOHN FRANCIS DALEY, JONATHAN GOLDSTEIN
„WIECZÓR GIER"
USA 2018

wyst. Jason Bateman, Rachel McAdams, Kyle Chandler

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W CIENIU MAŁEGO CZŁOWIEKA

Grecki bogacz o szemranej przeszłości umiera we własnej rezydencji – ktoś podał mu truciznę zamiast insuliny. Zagadkę chcą rozwiązać policja, rodzina i detektyw wynajęty przez młodą pannę Sylwię Leonides. Ekranizacja jednej z ulubionych powieści Agathy Christie różni się w szczegółach od literackiego pierwowzoru, ale zachowuje to, co najważniejsze: galerię bohaterów żyjących w dziwnym, przesyconym przepychem domu. Każdy jest tu na swój sposób pokręcony i zepsuty, każdy miałby motyw, by dokonać morderstwa. Akcję przesunięto z roku 1947 do dekady lat 50. (w filmie Leonides sporządził testament w roku 1957), dzięki czemu to, co się dzieje poza rezydencją milionera, może nabrać klimatu znanego z „Absolute Beginners" Juliena Temple'a. W roli detektywa Max Irons (syn Jeremy'ego), ale w obsadzie najbardziej błyszczą weterani: Glenn Close i Terence Stamp oraz Gillian Anderson. Każda chwila, którą spędzają na ekranie, należy tylko do nich. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. GILLES PAQUET-BRENNER
„DOM ZBRODNI"
WIELKA BRYTANIA 2017, IMPERIAL

wyst. Stefanie Martini, Max Irons, Christina Hendricks, Gillian Anderson

DZIECI WE MGLE

Zaczyna się od dziwnego zabójstwa. Dlaczego ktoś miałby mordować sympatycznego chłopaka sprzedającego kawę w lokalnej knajpce? Policja mówi o porachunkach gangów, ale kumpel ofiary nie wierzy w takie wyjaśnienie i zaczyna własne dochodzenie. Szybko odkrywamy jednak, że kryminalny wątek, choć ważny, to pretekst do opowieści o uczuciach. Chmurny Addison zadurzony jest w swojej kumpelce Phoebe, ale żadne z nich nie jest gotowe, by przyznać, że to więcej niż przyjaźń. Jednocześnie równie ważne jak odkrycie prawdziwych motywów tajemniczego zabójcy staje się rozwiązanie innej tajemnicy: Dlaczego właściwie Addison tak uparł się na zabawę w śledztwo? Czyżby powodem były jego własne kłopoty z akceptacją prawdy (ale na inny temat)? Wyszedł z tego produkt dla młodzieży, ale dziwnie nieszczery i mało zajmujący. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★☆☆☆☆

REŻ. SACHA GERVASI
„JESIENNI ZABÓJCY"
USA 2017, IMPERIAL

wyst. Chloë Grace Moretz, Ansel Elgort, Catherine Keener

GRA TYGODNIA: „APOCALIPSIS: HARRY AT THE END OF THE WORLD"

★★★★☆☆

Wszechobecne poczucie niemocy, czarna śmierć i kościotrupy goniące za spłoszonymi biskupami oraz możnymi tego świata. Ktokolwiek widział ryciny Dürera albo Holbeina, wie, jak w średniowieczu wyobrażano sobie czasy spełniającej się apokalipsy. Za sprawą niezależnego warszawskiego studia deweloperskiego każdy może wkroczyć w ów mroczny klimat. „Apocalipsis" to intrygująca produkcja, stanowiąca sentymentalny powrót do zapomnianego podgatunku przygodówek w stylu „point-and-click". Ta gra nie wszystkim przypadnie do gustu, ale jeśli szukacie czegoś zupełnie innego od bezmyślnych strzelanek – to warto. ©℗

Marcin Makowski

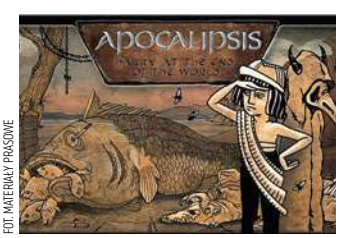

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Przygodowa*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Punch Punk Games/CDP*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *12+*

eprasa.pl fd2222a256

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Polski sen o Niemcach

Pamiętają, państwo? Pan Mareczek krzyczy przez sen, w którym Niemcy chcą go rozstrzelać. „Śpij – uspokaja go pani Mareczkowa. – I nie wrzeszcz, bo obudzisz dziecko. Każdemu śnią się Niemcy". Ten kapitalny dialog z „Rozmów polskich latem roku 1983" Jarosława Marka Rymkiewicza przypomniał mi się podczas lektury książki Ewy Polak-Pałkiewicz „Czego chcą od nas biedni Niemcy".

No właśnie, czego chcą od nas sąsiedzi z Zachodu: dostatni przecież, zamożni, szanowani? Ano tego tylko, byśmy zapomnieli o niemieckich zbrodniach, wykreślili z pamięci okupację hitlerowską, wzięli na siebie współwinę za Holokaust. I dali sobie wreszcie spokój z – drażniącym światłych obywateli Zachodu – katolicyzmem. Uściślijmy: katolicyzmem w jego wersji ludowej, z pielgrzymkami na Jasną Górę, z Piekarami, z Gietrzwałdem. Z Licheniem, z Toruniem. I powiedzmy wprost: w niemieckiej wizji świata nie ma miejsca dla krzyża. Niemcy, ten w średniowieczu kraj katedr i uniwersytetów, wręcz centrum europejskiego katolicyzmu, za sprawą Lutra całkowicie odmienił swoje oblicze. W efekcie nasze porozumienie z Niemcami na płaszczyźnie chrześcijaństwa jest już niemożliwe. Niemcy – jak kiedyś stwierdził Paweł Lisicki – „to kraj coraz bardziej pogański".

A skąd wzięły się zarzuty o antysemityzm Polaków, które zastąpiły wyświechtane przez dziesięciolecia slogany o polnische Wirtschaft? Te – zauważa Ewa Polak-Pałkiewicz – „zawsze pojawiają się w znaczących momentach historycznych. Gdy odparliśmy w 1920 roku bolszewików, gazety angielskie próbowały oskarżyć Polaków o antysemickie występki – dzieło »polskich katolików«. Swoje prywatne śledztwo przeprowadzili Gilbert K. Chesterton i Hilaire Belloc, udowadniając, że są to oszczerstwa. Zbrodnię katyńską także próbowano »przykryć« inspirowanym przez komunistów tak zwanym pogromem kieleckim".

FOT. ARCHIWUM EWY POLAK-PAŁKIEWICZ

Ratowanie Żydów przez Polaków kompletnie nie przystaje do przyjętego z góry obrazu świata, w którym Polakom – o czym Niemcy mogli naczytać się w swoich jeszcze XIX-wiecznych powieściach – jako tym, którzy wyssali antysemityzm z mlekiem matek, przypada rola zbrodniarzy, pomocników zbrodniarzy, szmalcowników. Nie mieści się w ich głowach (a i Żydzi mają problem ze zrozumieniem tego), że Polacy nie ratowali Żydów dlatego, iż ich szczególnie lubili czy też ze względu na wspólną historię, o której bezkonfliktowości opowiada się nam dzisiaj dyrdymały. Przeciwnie, Żydów wyjątkowo nie lubiliśmy, darzyliśmy ich niechęcią. Ratowano ich jednak – i nie było to wcale zjawisko wyjątkowe – z miłości do Boga. Bo to relacja wobec Boga – powiada autorka pracy „Czego chcą od nas biedni Niemcy" – decyduje o wszystkim. Tego samego Boga, który – zdaniem Karola Marksa – „nie istnieje, ponieważ nie powinien istnieć, inaczej bowiem człowiek jest od Niego zależny i nie może tworzyć świata na swój własny obraz i podobieństwo". Nie inaczej rozumował Adolf Hitler.

Nowa książka Ewy Polak-Pałkiewicz, nawiązująca do wcześniejszego „Powrotu pańskiej Polski", w dużej mierze bazuje na tekstach publikowanych wcześniej m.in. w „Arcanach", „Toposie", „Nowym Państwie" czy „Gazecie Polskiej". Niewyłącznie traktują o Niemcach. Także m.in. o ks. Jerzym Popiełuszce i rtm. Witoldzie Pileckim, o Piłsudskim i Mickiewiczu, o całej naszej historii, tej od Mieszka I i od Jana III Sobieskiego. O dziejach narodu, który uparcie powraca i do własnej przeszłości, i do tradycji chrześcijańskiej, na szczęście wciąż żywej. Do krzyża, w minionych latach, wcale nie tak odległych, uznawanego za nielegalny. Był takim w stanie wojennym, gdy układali go z kwiatów mieszkańcy stolicy, był takim na żwirowisku przy KL Auschwitz podczas gorszącego sporu o klasztor Karmelitanek, był takim przed Pałacem Namiestnikowskim, gdy modlono się za ofiary Smoleńska. Bo, niestety, w dzisiejszym świecie, w którym nielegalny staje się krzyż, legalna jest nienawiść. Choćby taka „jaką niesie antypolonizm. Taka, jaką chciano by nam przypisać, nazywając nas antysemitami".

Na koniec łyżeczka dziegciu. W swojej ciekawej i zachęcającej do dyskusji książce autorka przywołuje wypowiedź zasłyszaną w Klubie Ronina: „Szanowni Państwo, mieszkałam w Niemczech dwadzieścia lat. Możecie mi Państwo współczuć. Każdy, kto jest innego zdania niż zdanie narzucone w oficjalnym przekazie, jest tam banitą. Poza towarzystwem". To słowa Aleksandry Rybińskiej, nie Rybickiej. ©℗

★★★★☆

EWA POLAK-PAŁKIEWICZ „CZEGO CHCĄ OD NAS BIEDNI NIEMCY"
OFICYNA WYDAWNICZA VOLUMEN 2018

eprasa.pl fd2222a256

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Napisać Polskę

Pisał już o tej książce Krzysztof Masłoń kilka tygodni temu, ale koncentrując się na jednym szkicu – rozprawce Marka Kornata o Czesławie Miłoszu i jego obecności w życiu literackim oraz politycznym w III RP. Spróbuję dziś dopowiedzieć resztę historii, bo warto. Antologia „Literatura i polityka po 1989 roku" przynosi bowiem próbę ujrzenia w historycznym (Już? Ale zleciało…) kontekście dorobku także innych twórców.

Niektóre teksty odgrywają rolę bardziej porządkującą, przypominającą, jak choćby ten Mirosława Szumiły o Zbigniewie Herbercie i jego zmaganiach z michnikowszczyzną. Rafał Łatka przywraca pamięć o ostrej ocenie rzeczywistości pookrągłostołowej dokonywanej konsekwentnie przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, pisarza zadziwiająco szybko zapomnianego i pomijanego po śmierci także przez prawe skrzydło publiczności, zredukowanego do roli świadka GUŁagu w szkolnej lekturze, jaką stał się „Inny świat".

Inne zdają mi się zdecydowanie świeże – bardzo ciekawe jest porównanie krytyki PRL oraz krytyki III RP dokonywanej w literaturze przez Marka Nowakowskiego (tą analizą zajął się Dariusz Nowacki). Surowy to szkic, ale sprawiedliwy, w którym oprócz przypomnienia bezsprzecznych atutów warszawskiego pisarza i głębokiego zrozumienia dla jego twórczej metody pojawia się też nuta krytyczna – faktycznie, w opowiadaniach i powieściach Nowakowskiego z początku lat 90. dużo było trafnych obserwacji obyczajowych, ale efekt artystyczny okazywał się czasem mizerny. Wielki niedosyt pozostał mi po lekturze zamykającego tom tekstu Doroty Heck o książkach Rafała A. Ziemkiewicza – dużo w nim o polityce, ale bardzo mało o literaturze Rafała. Świetne są za to obydwa teksty o Jarosławie Marku Rymkiewiczu – jeden autorstwa prof. Andrzeja Nowaka, drugi Marzeny Woźniak-Łabieniec.

Są dwa szkice o literaturze Bronisława Wildsteina i gdy podsumujemy zawartość, widać, że pomijając Miłosza, prym wiedzie antysalon. Trochę szkoda – poczytałbym także o polityczności książek sławionych przez „Wyborczą" i „Politykę" (od Redlińskiego do Bator), poobserwował zderzenie tych sprzecznych narracji widziane oczami wytrawnych krytyków. Traktuję więc tę antologię jako uzupełnienie dotychczasowego krytycznego dyskursu z jednej strony, a dopiero zapowiedź następnego – z drugiej strony. Tak czy inaczej, czasu spędzonego na lekturze nie żałuję. ©℗

★★★★☆☆
AUTORZY RÓŻNI „LITERATURA I POLITYKA PO 1989 ROKU" OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wśród poradników dietetycznych książka włoskiego gerontologa wyróżnia się tym, że jest przeznaczona dla osób starszych. Idzie też pod prąd obiegowym twierdzeniom – podważając m.in. teorię „sześciu małych posiłków dziennie".

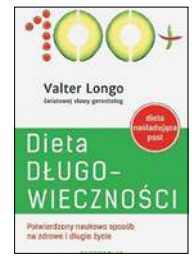

VALTER LONGO „DIETA DŁUGOWIECZNOŚCI" BUKOWY LAS

Krótka powieść jednego z najlepszych żyjących brytyjskich fantastów, autora „Dworca Perdido" i „Ambasadorii". Niezwykła fantazja wywiedziona z dzieł i manifestów surrealistów, łącząca historię alternatywną z teoriami spiskowymi.

CHINA MIEVILLE „OSTATNIE DNI NOWEGO PARYŻA" ZYSK I S-KA

Doktryna, technika, operacje militarne. Aby opowiedzieć o przyszłych wojnach, autor (pułkownik, wykładowca Akademii Sztuki Wojennej) najpierw objaśnia, na czym polegają obecne zmiany w tym zakresie. A są istotniejsze, niż się wydaje.

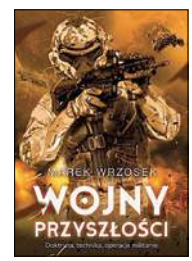

MAREK WRZOSEK „WOJNY PRZYSZŁOŚCI" FRONDA

„Nie chciałem pisać powieści. Chodziło mi po prostu o przekazanie, jak i co robiłem w obozach Dachau, Mathausen i Gusen, aby przeżyć" – wznowienie słynnej książki barda Czerniakowa. Plus garść recenzji z prasy PRL. ©℗

poleca Piotr Gociek

STANISŁAW GRZESIUK „PIĘĆ LAT KACETU" PRÓSZYŃSKI I S-KA

PRZECINEK I KROPKA – NAJLEPSZE KSIĄŻKI DZIECIĘCE 2017 R. *(nominacje)*
KSIĄŻKI DLA DZIECI DO 5 LAT: ***1. Roksana Jędrzejewska, ilustr. Jona Jung „Florka. Zapiski ryjówki" (Bajka) 2. Maria Dek (tekst i ilustr.) „Kiedy będę duża/Kiedy będę duży" (Wytwórnia) 3. Ewa Kozyra-Pawlak (tekst i ilustr.) „Mały atlas ptaków Ewy i Pawła Pawlaków" (Nasza Księgarnia) 4. Dorota Gellner, ilustr. Jona Jung „Pisklak" (Bajka) 5. Wojciech Widłak, ilustr. Agnieszka Żelewska „Wesoły Ryjek i lato" (Media Rodzina)***
KSIĄŻKI DLA DZIECI W WIEKU 6–9 LAT: ***1. Michał Leśniewski, ilustr. Maciej Szymanowicz „Ale auta! Odjazdowe historie samochodowe" (Egmont Art) 2. Martin Widmark, ilustr. Emilia Dziubak „Dom, który się przebudził" (Mamania) 3. Małgorzata Strękowska-Zaremba, ilustr. Daniel de Latour „Dom nie z tej ziemi" (Nasza Księgarnia) 4. Susie Morgenstern, ilustr. Serge Bloch „Różowa walizka" (Adamada) 5. Autorzy różni, ilustr. Paweł Pawlak „Sylaboratorium" (Egmont Art)***

(Zwycięzców w każdej kategorii poznamy na Targach Książki Dziecięcej w dniach 17–18 marca 2018 r., Arkady Kubickiego, Warszawa).

eprasa.pl fd2222a256

JAN POSPIESZALSKI

Urbanator ciągle młody

Michał Urbaniak potwierdza, że ma dobrą rękę do młodych FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

Po 10-letniej przerwie pojawił się nowy album firmowany przez Michała Urbaniaka „Urbanator Days – Beats & Pieces". Tytuł i zawartość płyty to efekt organizowanej w Łodzi muzycznej inicjatywy. „Urbanator Days" jest czymś w rodzaju monograficznego festiwalu jazzmana i jego muzykowania z młodymi ludźmi w formie workshopu.

Mimo upływu lat niespożyta energia i kreatywność Michała ciągle zaskakuje. Jego nagrania z młodymi to przykład kooperacji w pełnym tego słowa znaczeniu. Dojrzały artysta z 50-letnim dorobkiem spotyka się z muzykami, którzy stawiają często pierwsze kroki na profesjonalnej scenie, i następuje swoista wymiana dóbr. Michał przekazuje wiedzę i ogromne doświadczenie (również z amerykańskiego rynku), a młodzi dają mu potężną porcję witalności i zuchwałości, która pokonuje wszelkie bariery. Być może z jednej strony jest tu tajemnica szybkiego rozwoju talentu Patrycji Zarychty czy Marka Pędziwiatra, a z drugiej wiem, co sprawia, że Michał tak skutecznie pokonuje fizyczne ograniczenia, których niestety z wiekiem zdrowie mu nie oszczędza.

Urbaniak potwierdza, że ma dobrą rękę do młodych. To on przed laty w Stanach odkrył genialnego nastoletniego basistę, Marcusa Millera, który potem był podporą zespołu Milesa Daviesa. To, co Michał najczęściej przekazuje młodym w trakcie wspólnych sesji, to prawda o tym, jak wielką rolę w muzyce mają rytm, puls, groove. Gdy oni już to łapią, a rytmiczna maszyna rozkręca się i pędzi do przodu, Michał bierze skrzypce i nagle zaczyna wprowadzać nieco spokojniejszą, dłuższą nutę, tworząc przestrzeń na piękną melodię, na oddech, na dawkę liryki. Ta cudowna melodyjność Michałowych solówek urzekała nas w utworach „Atmy", a teraz, wpisana w hiphopowy puls, zachwyca z tą samą mocą.

Wydanie płyty zbiega się z 75. urodzinami artysty. To dobra okazja, by jubilatowi gratulować pięknego wieku, imponujących osiągnięć, życzyć kolejnych wspaniałych pomysłów i jeszcze długich lat zdrowia. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Alternatywa to nie wszystko

Ta autorka funkcjonuje na scenie alternatywnej od ponad dekady. Śpiewa w cenionych Pustkach i współtworzy z siostrą Ballady i Romanse. Duet zyskał uwagę dzięki piosenkom wykorzystanym w filmie „Córki dancingu".

Teraz 34-letnia artystka debiutuje jako solistka i to albumem, który dotarł na listę najlepiej sprzedawanych płyt. Wskoczył „tylko" na 35. miejsce, ale jest to pierwszy komercyjny sukces Wrońskiej. Barbara jest zbyt dojrzała muzycznie i życiowo, by kolejne dziesięciolecie kisić się w niszy. Nosowska, Dąbrowska czy Kulka udowodniły, że na naszym rynku jest zapotrzebowanie na dojrzały żeński pop.

Album rozpoczynają słowa: „Nasza rozmowa jedzie prosto/ Nagle wpada w poślizg i dachuje ostro". Tak, „Dom z ognia" przynosi 10 piosenek o zmaganiu się z życiem. Wojna płci, przyjaźń, wiara w przyszłość to tematy stare jak świat, ale Wrońska umie nastrój tekstów podkreślić niebanalną muzyką. Rozkochana w alternatywnym popie z wyczuciem miesza wpadający w ucho bigbit z nowoczesną elektroniką i nieoczywistymi aranżacjami. W tej podróży płynnie przechodzimy od zwątpienia do euforii. Napotykamy zakręconą muzycznie „Abstrakcję" czy ambitną piosenkę tytułową, po których trafiamy na „Prostą drogę" i ruszamy do tańca.

„Czy mam prawo jeszcze spotkać cię?/ Odnajdź mnie, odnajdź mnie". Zapewniam, że warto dać jej szansę. ©℗

★★★★★☆

BARBARA WROŃSKA „DOM Z OGNIA" KAYAX

★★★★★☆

JAZZ Q PRAHA „POZOROVATELNA" GAD

Polski wydawca przypomina jeden z najlepszych czechosłowackich albumów jazzowych. Wydany w 1973 r. wciąż zachwyca brzmieniową inwencją na granicy jazz-rocka i awangardy. Na drugim CD w większości niepublikowane nagrania z lat 1971–1973. ©℗

★★★★☆☆

MOBY „EVERYTHING WAS BEAUTIFUL AND NOTHING HURT" LITTLE IDIOT

Po wściekłych punkowych płytach Moby powrócił do uduchowionych pejzaży dźwiękowych. Ta triphopowa melancholia przywołuje klimat bestsellerowego albumu „Play", który ukazał się już prawie 20 lat temu. Takiego go kochamy. ©℗

eprasa.pl fd2222a256

ZDROJOWA HOTELS®

Wakacje przez cały Marzec do 20% taniej

FIRST MINUTE 2018

by ZDROJOWA

KOŁOBRZEG • ŚWINOUJŚCIE • USTRONIE MORSKIE • SZKLARSKA PORĘBA

HOTELE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH™

wyprasa.pl 1d2222a256

Stefan Sękowski

Prawie 30 lat po upadku komunizmu czas zacząć traktować legendy Solidarności jak normalnych uczestników życia publicznego i pozbawić je nimbu nieomylności

Czas wyleczyć weteranozę

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Opozycja totalna przez chwilę miała nowego-starego bohatera walki z neoautorytarnym reżimem – Władysława Frasyniuka. Politycy, publicyści i działacze prześcigali się w porównaniach PiS do PZPR, a policji do milicji. Sytuacja była atrakcyjna – w końcu na prokuraturę doprowadzony został działacz Solidarności, w czasach PRL więziony za działalność wywrotową. Gdy ogląda się te obrazki, skojarzenia nasuwają się same i na usta ciśnie się hasło: „Frasyniuk, Frasyniuk" – tak jak Tomaszowi Lisowi, któremu od razu przypomniało się, jak to 35 lat temu po mszy św. odprawionej przez Jana Pawła II we Wrocławiu skandował nazwisko „Władka". Jednak bank rozbił ks. Krzysztof Mądel SJ, który na Twitterze napisał: „I żeby było jasne: nie ma równości w sytuacji, gdy na ulicy protestuje człowiek torturowany kiedyś przez reżym – prokurator powinien grzecznie zapytać tego człowieka o sprawę, a nie nasyłać policję, bo gdyby nie ten człowiek, nie byłoby ani prokuratora, ani władzy, ani policji".

Ksiądz Mądel mija się z faktami – prokurator grzecznie zapytał człowieka o sprawę, problem w tym, że człowiek nie chciał odpowiedzieć. I dlatego został doprowadzony przez policję przed oblicze prokuratora. Jednak nawet gdyby było inaczej, to i tak mamy problem, bowiem kapłan stwierdził – ni mniej, ni więcej – że „nie ma równości w sytuacji, gdy na ulicy protestuje człowiek torturowany kiedyś przez reżym".

LEGENDA? I CO Z TEGO?

A co mnie to obchodzi? – napiszę ku zgorszeniu tych wszystkich, którzy kiedyś rozrzucali ulotki: „Uwolnić Frasyniuka!". Mówcie, że jestem (ponad 30-letni) smarkacz, ale i tak nic a nic nie interesuje mnie, co pamiętacie, a czego ja nie pamiętam, i co robiliście, kiedy ja bawiłem się w piaskownicy. Wasze strajki studenckie i pracownicze, nasłuchiwania Radia Solidarność czy Wolnej Europy, antykomunistyczne napisy na murach, ba, nawet 48 godzin spędzonych na „dołku", wasze ówczesne nadzieje, walka i radość ze zwycięstwa mają się nijak do tej sytuacji, podobnie jak ówczesne bohaterstwo późniejszego polityka. W 2018 r. nie jest ważne, czy Frasyniuk ponad 30 lat temu siedział w więzieniu, tylko to, czy w 2017 r. powinien się stawić w prokuraturze. Jeśli prokurator miał prawo skorzystać z pomocy policji, to było ono takie samo bez względu na to, czy zatrzymany nazywa się Frasyniuk, Kowalski czy

eprasa.pl fd2222a256

Nowak, i odwrotnie, ewentualne nadużycie jest równie skandaliczne bez względu na to, czy mamy do czynienia z jedną z wielu „legend Solidarności", czy z osiedlowym pijaczkiem. Tak samo ewentualne nieposłuszeństwo obywatelskie z jego strony podczas blokady miesięcznicy smoleńskiej nie staje się bardziej ani mniej uprawnione ze względu na to, czy mówimy o weteranie walk o demokrację, czy o świeżym narybku Obywateli RP.

Niestety, obawiam się, że i to wielu nie przekona. W naszym kraju szaleje bowiem specyficzna choroba – „weteranoza" – która obdarza dożywotnim immunitetem, a także wszelkimi możliwymi cnotami, tych, którzy dawno temu, zanim „skończył się w Polsce komunizm", z tym komunizmem walczyli. Często owa „weteranoza" połączona jest z jednostronną ślepotą, podkreślającą zasługi „naszych" i ignorującą zasługi „tamtych". I dotyczy nie tylko Frasyniuka. Często są to przykłady skrajne.

Spójrzmy na Stefana Niesiołowskiego – człowieka niewątpliwie wielkiej odwagi, który walczył o niepodległość Polski jeszcze w czasach, gdy późniejsze tuzy opozycji demokratycznej pisały „Listy do Partii" w imię socjalizmu z ludzką twarzą, za który zresztą także trafiły za kratki. W czasach, których na Zachodzie polską opozycją mało kto się interesował i nie było aktu końcowego KBWE, na który można byłoby się powołać. To wszystko prawda, tyle że Niesiołowski jest już dłużej aktywnym politykiem w III RP (w 1989 r. został posłem I kadencji), niż walczył z komuną. A przecież należy do prawdziwych rekordzistów, bowiem Ruch współzakładał w 1964 r. Tymczasem wciąż na nowo musimy słuchać o jego bohaterstwie, choć w ostatnich 29 latach nie zrobił politycznie nic sensownego, za to zaczął psuć polską debatę publiczną już w latach 90. (tyle że wówczas „pornogrubasy" były po tej niewłaściwej stronie barykady, więc uchodziło mu to na sucho), a dziś wiele wskazuje na to, że politycznie napędza go głównie niechęć do Jarosława Kaczyńskiego za to, że ten w 2001 r. nie wpuścił go na listy wyborcze PiS.

Po drugiej stronie też nie jest lepiej – opozycyjna legenda wciąż opromienia Antoniego Macierewicza, choć nie pomogło mu to do tej pory udowodnić „zamachu" smoleńskiego czy zreformować wojska, za to rozbił kilka prawicowych ugrupowań.

Reguł gry przestrzegają zresztą obie strony naszej wojenki – np. portal TVN24 pisał o Jacku Czaputowiczu, że „o takich jak on zwykło się mówić, że ma w życiorysie piękną opozycyjną kartę z czasów komunizmu", co jest oczywiście prawdą. Jednak trudno się zgodzić z tym, że „wykorzystał doświadczenie z tamtych czasów w pracy na rzecz wolnej Polski", ponieważ działalność w Wolności i Pokoju ma się tyle do znajomości arkanów dyplomacji co jazda na rowerze. Działa to także w drugą stronę: na niekorzyść Jarosława Kaczyńskiego ma rzekomo przemawiać to, że nie został internowany w stanie wojennym.

POLSKA ICH MOŻLIWOŚCI

Na początku lat 90. XX w. wejście ludzi z „konspiry" do polityki i przejęcie przez nich jej steru było czymś naturalnym i całkowicie zrozumiałym. To oni w powszechnym odczuciu pokonali komunę. Paradoks polegał na tym, że uniwersytetem solidarnościowców były więzienie lub redakcja drugoobiegowego pisma. Byli rewolucjonistami przenoszącymi zasady działalności w konspiracji na realia demokratyczne. Część z nich się w nich odnalazła, a część nie. Historia zresztą pokazała, że w praktyce nie zachodziła przepastna różnica między rządami, dajmy na to, działacza podziemnej Solidarności Jerzego Buzka a członka Biura Politycznego PZPR Leszka Millera czy też prezydentury uczestnika Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela Bronisława Komorowskiego oraz PRL-owskiego ministra Aleksandra Kwaśniewskiego, to samo tyczy się prezydentury i „premiery" braci Kaczyńskich. Można chwalić bądź ganić poszczególne posunięcia, lepiej oceniać jedne rządy, inne gorzej, ale nie da się powiedzieć, że rządy SLD były totalną katastrofą, po której nagle następował postsolidarnościowy raj. W 2005 r. nastąpiło wreszcie to, o czym od 1989 r. marzyli ludzie Solidarności: polska polityka bez postkomunistów (Sojusz Lewicy Demokratycznej co prawda jeszcze był w parlamencie, ale na razie bezpowrotnie utracił wpływ na bieg ogólnopolskiej polityki). Na placu boju zostały głównie dwa postsolidarnościowe ugrupowania – PiS i PO. I co? Wtrąciły nas w walkę plemienną o temperaturze niespotykanej nawet w latach 90. Ich rządy różnią się w licznych szczegółach – PO prowadziła dojutrkową i nadmiernie uległą wobec sąsiadów politykę, PiS nieodpowiedzialnie rewolucyjną i otwierającą dziesiątki frontów walk. Łączy je jednak to, że szerokim łukiem omijają roztropność i dalekowzroczność.

Polska, jaką mamy, jest dziełem weteranów walk o niepodległość oraz demokrację i jeśli nie jest to Polska ich marzeń, to na pewno Polska ich możliwości. Także możliwości Władysława Frasyniuka, który był przez 10 lat posłem, w tym czasie wspierając niejeden postsolidarnościowy rząd.

Politycy, którzy odgrywają główne role, są w większości co najmniej w okresie później dorosłości. Żyjemy w kraju, w którym 50-letni Mateusz Morawiecki uchodzi za polityka „młodego". Wśród sześciu wiceprezesów rządzącej partii jedynym, który ma mniej niż 50 lat, jest 49-letni Mariusz Błaszczak. Jeśli do pierwszego szeregu dopuszczani są 30-latkowie, to ci, których od politycznej maleńkości uczono naśladownictwa swoich starszych pryncypałów. Lata mijają, a polska debata publiczna wciąż tkwi w starym rozumieniu podziałów na demokrację i dyktaturę, socjalizm i kapitalizm, niepodległość i zależność, choć sprawy w dobie globalizacji oraz nowoczesnych technologii znacznie się pokomplikowały.

Pisanie o tym, jakie powinno być podejście do dokonań i obecności we współczesnej polityce weteranów walki z komuną, jest dość trudne, bowiem wielu z nich – Frasyniukowi, Macierewiczowi, Niesiołowskiemu itd. – należy się autentyczny szacunek za to, co wówczas robili. Tylko że „weteranoza" nie polega na tym, iż się ich fetuje w czasie rocznic i podziwia za walkę z reżimem, lecz na tym, że istnieje odgórnie założony imperatyw patrzenia na świat ich oczami. Od pokolenia zaangażowanego w opozycję w czasach PRL można się wiele dowiedzieć, ale też wielu z nich mentalnie nie nawiązuje już kontaktu ze współczesnością. Tych należałoby odesłać na cokoły. Są oczywiście także tacy, którzy potrafią wzbogacać politykę czy debatę publiczną. Jednak gdy biorą w niej udział, należy ich traktować tak samo jak innych uczestników życia publicznego.

Tego dokonać może pokolenie, które w PRL nie żyło lub co najwyżej było wtedy w przedszkolu „karane przez nomenklaturową kadrę" niczym minister przedszkolnictwa grany niegdyś przez Wojciecha Manna. Kwestionując postsolidarnościowe autorytety, niechby za cenę oskarżeń o bezczelność, brak szacunku dla starszych czy ignorancję ze względu na późne urodzenie. Inaczej nie wyrwie się polityki z rąk pokolenia żyjącego mentalnie w XX w. na rzecz rozsądnego miksu pokoleniowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u Nowa Konfederacja.

eprasa.pl fd2222a256

Tomasz Teluk

Jerozolima –

W obecnej sytuacji politycznej, zwłaszcza w aspekcie roszczeń Izraela wobec Polski i sporu o nowelizację ustawy o IPN, nasz kraj nie powinien uznawać Jerozolimy za stolicę tylko jednego państwa

Zeszłoroczna decyzja prezydenta USA Donalda Trumpa o przeniesieniu ambasady Stanów Zjednoczonych do Jerozolimy spowodowała kolejny wzrost napięcia na Bliskim Wschodzie. Nowe fale demonstracji, dziesiątki zabitych wśród Palestyńczyków, pierwsze od 30 lat zestrzelenie izraelskiego samolotu przez wroga. Izrael stanął na krawędzi wojny z Libanem, a ściślej – z bojówkarzami Hezbollahu wspieranymi przez Iran.

TRUMP – SOJUSZNIK NETANJAHU

Premier Beniamin Netanjahu realizuje politykę budowy Wielkiego Izraela. Od kilku lat domaga się przynajmniej milczącej zgody Waszyngtonu na prewencyjne bombardowanie instalacji jądrowych w Iranie, takie jak wcześniej w krajach ościennych. To, co było niemożliwe za poprzedniej administracji Białego Domu, staje się łatwiejsze za prezydentury Donalda Trumpa.

Tel Awiw prowadzi od lat cichą wojnę z Teheranem. Irańczycy nie tylko dofinansowują Hezbollah, lecz także próbują inwestować w Syrii w fabryki broni, które mogłyby dostarczać bojownikom amunicji zagrażającej Izraelczykom. Dodatkowo sytuację komplikuje wspieranie przez Moskwę syryjskiego prezydenta Baszara al-Asada. Rozmieszczenie w Syrii rosyjskich baterii przeciwlotniczych S-400 praktycznie zakończyło dominację Izraela w powietrzu, zdając wszelkie operacje na łaskę i niełaskę Władimira Putina.

Netanjahu nie tylko nie obawia się otwartej konfrontacji z Teheranem, lecz także prowadzi ekspansywną politykę wobec Palestyńczyków. Jego rząd wspiera osadnictwo na ziemiach okupowanych, finansuje ochronę oraz inwestycje na ziemiach zajmowanych przez osadników. Dąży nie tyle do przejęcia Zachodniego Brzegu Jordanu, ile przede wszystkim całej Jerozolimy. Uznanie Świętego Miasta trzech religii za stolicę Izraela zmierza do zwiększenia kontroli nad starym miastem i wschodnią częścią należącą tradycyjnie do Palestyńczyków.

W odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych kraje Unii Europejskiej nie uznają Jerozolimy za stolicę tylko jednego państwa. Główną siedzibę swojego państwa we wschodniej Jerozolimie chcą mieć przecież Palestyńczycy. UE opowiada się za rozwiązaniem dwupaństwowym – utworzeniem odrębnego państwa arabskiego, co pośrednio zostało wyrażone w uchwale Parlamentu Europejskiego z grudnia 2014 r. W podobnym tonie wypowiada się Watykan, który od czerwca 2015 r. ma podpisaną z tym oficjalnie nieistniejącym państwem umowę o funkcjonowaniu Kościoła katolickiego w Ziemi Świętej. Odnośnie do Jerozolimy Stolica Apostolska opowiada się za rozwiązaniem, które podkreślałoby wyjątkowy i uniwersalny charakter Świętego Miasta.

Wydaje się, że jest to obecnie stanowisko bliskie Polsce. Warszawa nie powinna wychodzić przed szereg. Zwłaszcza gdy organizacje żydowskie wychodzą z roszczeniami majątkowymi wobec naszego kraju. Dialog poważnie osłabiła także krytyka nowelizacji ustawy o IPN. Bardzo dobrze, że wystąpił ten spór. Jeśli to prawda, że żydowskie dzieci uczy się o tym, iż Polacy byli gospodarzami obozów zagłady i współsprawcami Shoah, to obie strony powinny raz na zawsze wyjaśnić wszelkie historyczne zaszłości.

KAŻDY CHCE STOLICĘ

Ktoś powiedział, że Jerozolima to panna na wydaniu, której na wyłączność domagają się trzej konkurujący kawalerowie. Sporna stolica Izraela to święte miasto trzech religii monoteistycznych – judaizmu, islamu i chrześcijaństwa. Każdy chciałby mieć ten kawałek ziemi na własność, każdy wie, że jest to niemożliwe.

Jedno jest pewne: w ciągu ponad 3 tys. lat historii, tysiącletniego panowania Judejczyków, 400 lat chrześcijaństwa i kilkuset islamu żadnej z religii nie udało się zdobyć dominacji bez miecza. Jerozolima to nie tylko miasto budowane na mieście. To także gigantyczny cmentarz, morze krwi ofiar jego mieszkańców, bez litości wyrzynanych przez kolejnych agresorów.

Miasto Dawida, Salomona i królów judzkich było niewielkie i raczej prowincjonalne. Na znaczeniu zaczęło zyskiwać dopiero

eprasa.pl fd2222a256

stolica świata

FOT. FOTOLIA

za czasów Nehemiasza, aby stać się łupem kolejnych najeźdźców – Macedończyków, Machabeuszy i Rzymian. Ci ostatni w 70 r. naszej ery doprowadzili do pierwszej rzezi – wojsko Tytusa zmasakrowało większość z ponad pół miliona mieszkańców.

Później nie było lepiej. Gdy narodził się islam, w Świętym Mieście nie mogli się czuć bezpiecznie ani Żydzi, ani chrześcijanie. Jerozolima przechodziła z rąk do rąk i dopiero wyprawy krzyżowe zadbały o bezpieczeństwo miejsc świętych dla pielgrzymów, oczywiście kosztem ówczesnych mieszkańców, z którymi postąpiono bez litości. Przez kolejne wieki stolicę świata odbijali sobie Arabowie, Turcy, a na końcu – ludy Europy.

Niebywałe zgorszenie muszą wywoływać także podziały i krwawe porachunki wewnątrz trzech religii wyznawców jednego Boga. Niejednokrotnie morderstw dokonywali nawzajem przedstawiciele różnych denominacji chrześcijańskich. W 1846 r., gdy świętowanie Wielkanocy katolików i prawosławnych wypadło tego samego dnia, o pierwszeństwo odprawiania Eucharystii starli się duchowni obu wyznań. W bazylice Grobu Pańskiego zginęło 40 osób. W 1893 r. rosyjski pielgrzym w tym samym miejscu zastrzelił czterech ludzi, w tym katolickiego zakrystiana, gdy nie ustąpiono mu miejsca. Podzieleni na szyitów i sunnitów islamiści do dziś chętnie sięgają po terror oraz wojnę wobec współbraci. Podobnie jak radykałowie syjonistyczni bezlitośnie likwidowali przeciwników państwa Izrael, a radykałowie religijni – przeciwników ortodoksyjnego judaizmu.

Nie ma więc żadnych podstaw, aby jakikolwiek naród miał miasto na wyłączność. Jeśli nawet za pomocą siły militarnej i potęgi pieniądza Izraelczycy zdominują Jerozolimę, uznając ją za swą stolicę i przemocą czy podstępem wypędzając palestyńskich konkurentów, to zapewne za kilka kolejnych lat czy dziesięcioleci rozjuszeni Arabowie będą starali się tam powrócić. Za wszelką cenę i wszelkimi środkami.

JEROZOLIMSKA UTOPIA

Mimo tragicznej historii Jerozolimy niesieni falą zwycięstw Izraelczycy przekonują, że teraz może być inaczej. W niedawnym artykule opublikowanym na łamach „Jerusalem Post" David M. Weinberg z Instytutu Studiów Strategicznych w Jerozolimie twierdzi, że Izrael musi zarządzać całą stolicą dla dobra wszystkich jej mieszkańców. Argumentuje, że corocznie o izraelskie obywatelstwo aplikuje 1 tys. Arabów, na studia dostaje się kilka tysięcy studentów, a rząd otwiera dla ich dzieci nowe szkoły, inwestując miliony szekli rocznie w nowe drogi i opiekę zdrowotną.

Nowe przyczółki, coraz bardziej na wschód, buduje też izraelska armia. Siły Obronne Izraela tłumaczą, że tylko w ten sposób mogą brać na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo swoich obywateli.

Jest bezdyskusyjne, że Święte Miasto, a na pewno jego najstarsza część, wymaga specjalnego statusu międzynarodowego. Umożliwiałoby to oddawanie się praktykom religijnym przez wszystkie strony i zapewniałoby płynny ruch pielgrzymkowy, zapewniając korzyści mieszkańcom starówki.

Sprawdzonym rozwiązaniem okazuje się ubezpieczanie siebie nawzajem. Od czasów Saladyna klucznikami bazyliki Grobu Pańskiego są muzułmańskie rodziny al-Nusajbe i Dżude, będące jednocześnie dobrymi rozjemcami chrześcijan. Natomiast Wzgórza Świątynnego z Kopułą na Skale pilnują izraelscy żołnierze, którzy uniemożliwiają terrorystom wysadzenie meczetu, co mogłoby wywołać konflikt na niewyobrażalną skalę (jak planował to niedoszły zamachowiec Jehuda Ecjon, aresztowany w 1983 r. z dziesiątkami kilogramów materiałów wybuchowych). Także modlitwy pod Ścianą Płaczu od zawsze wymagały uzgodnień między Żydami a muzułmanami. Dopiero dziś Żydzi mogą swobodnie zbliżać się do muru byłej Świątyni Salomona czy budować synagogę w jej podziemiach.

Najgorszym z rozwiązań jest gwarantowanie sobie dominacji na kanwie bieżącej sytuacji politycznej. Oczywiście najprostszy do wykonania w Jerozolimie byłby podział na dzielnicę wschodnią i zachodnią. Wymagałoby to jednak ustępstw w Tel Awiwie – np. opuszczenia nielegalnych osiedli, co wyborcy mogliby uznać za słabość. Podobnie po drugiej stronie – przywódcom Palestyny ustępstw nie wybaczyliby ci mieszkańcy terytoriów autonomicznych, którzy nigdy nie uznali istnienia państwa Izrael.

Niewykluczone, że w kolejnej fazie wojny w Syrii Izrael będzie odgrywał ważną rolę. Jego strategicznym celem jest ekspansja. Dopóki się to nie zmieni, dopóty pokojowe współistnienie w Ziemi Świętej będzie okresowe. Trwały pokój może zostać zbudowany tylko na szerokim konsensusie międzyreligijnym i międzynarodowym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Bolesny serial

Netflix nie popisał się, jeśli chodzi o uczczenie 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości

Polskojęzyczny serial Netflixa – to brzmi dumnie. A że Niemcy dostarczyli świetne „Dark", więc tym bardziej wypada dać jakąś adekwatną odpowiedź. Niestety, raczej nie będzie nią produkcja w reżyserii Agnieszki Holland, do której zdjęcia ruszyły kilka tygodni temu.

Sama tematyka, jeśli odjąć od niej polityczno-narodowe kontrowersje, jest wtórna i stanowi próbę odpowiedzi na hit Amazona pt. „Człowiek z Wysokiego Zamku". Próbę karkołomną, bo „Człowiek…" ma genialną podstawę w postaci powieści Philipa K. Dicka pod tym samym tytułem i został świetnie zrealizowany na razie jako dwusezonowy serial. Geniusz pomysłu pisarza polega na tym, że to historia prawdziwie alternatywna i przedstawia okupację USA, co jest szokującym punktem wyjścia.

W przypadku „polskiej" produkcji wykazano się nietaktem, niejako jeszcze raz wpychając kraj wciąż odczuwający skutki komunizmu w jego objęcia. Reżyserię zaś powierzono osobie, której opinie na temat Polski i Polaków są co najmniej dyskusyjne. No i ta szalenie kontrowersyjna rzecz powstaje w tym wyjątkowym roku – w setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości ponownie robi się z nas kolonię sowiecką!

Nawet trzymając się zużytej już idei historii alternatywnej, dałoby się to rozegrać w sposób okazujący szacunek Polakom, np. wyrywamy się spod wpływu komunizmu już w, powiedzmy, latach 60. Ileż możliwości fabularnych by to dało! Byłoby budujące, a wroga wciąż stanowiłby ZSRS, skoro autorom na tym zależy. Albo można by uczynić punktem wyjścia największy zryw w dziejach ludzkości. Powstanie warszawskie to temat tak piękny, że aż słów brakuje, by wyrazić tęsknotę za dziełami, które oddałyby mu należyty hołd. Świetne „Miasto 44" jedynie zaostrzyło apetyt.

Słysząc hasło „polskojęzyczny serial Netflixa", miałem przed oczyma różnorakie pomysły, które już dawno powinny były zostać zrealizowane. „Wiedźmina" Sapkowskiego tworzy „centrala", co zrozumiałe, bo tutaj ogromne znaczenie może mieć anglojęzyczna obsada znana przeciętnemu Smithowi. Jednakże mamy nawet jeszcze lepszych Lema i Zajdla. Dlaczego nie skorzystać z ich cudownego dorobku, zamiast tworzyć osobliwe fantazje godzące w dobre imię Polski? Pomysł Netflixa to nic w porównaniu z jakąkolwiek powieścią Lema albo niesamowitym „Limes Inferior" Janusza A. Zajdla, które zawierało idee dalece wyprzedzające powieści na Zachodzie. Przy czym „Limes Inferior" to nadal piękny temat na serial – skoro ma być komunizm, można by zaadaptować jego wersję w wydaniu naszego geniusza. Ponadto Netflix mógł po prostu wykoncypować jakiekolwiek inne polskie SF nieporuszające tematów mimo wszystko politycznych i do tego bolesnych.

Nie skreślam zawczasu tego serialu, nawet pomimo faktu, że jego wtórność jest ewidentna. Może ten twór będzie niesamowicie propolski? Może technicznie czy pisarsko okaże się powyżej przeciętnej? Jednak, Netflixie, nawet jeśli nieintencjonalnie robisz, w tę jakże ważną dla nas rocznicę, sowieckiego satelitę z naszego kraju, to w najlepszym przypadku pokazujesz jedynie ignorancję i totalną nieznajomość naszej historii, bo można tu było wybrać inny punkt na mapie czasu.

Ktoś zapyta przewrotnie: Czy Dick był zdrajcą, bo przedstawił Amerykę jako kondominium niemiecko-japońskie? Różnica jest taka, że USA nigdy nie były okupowane i to, co w ich przypadku jest fikcją, w naszym zmienia się w narzędzie sprawiające ból i rozgrzebujące rany, niezależnie od intencji autorów. I choćby przypadkiem mogące służyć wrogiej propagandzie, bo wojna informacyjno-wizerunkowa dopiero się rozkręca i należy mieć świadomość, że jednym z frontów będzie także sztuka. I chyba oczywiste, że ładowanie do głów ludzi na Zachodzie wizerunku Polski jako wasala to ostatnie, czego nam trzeba. Pozostaje kwestia, czy wizja Polaków pod sowieckim (a tak naprawdę jakimkolwiek) butem to egzemplifikacja podświadomych pragnień Zachodu, czy po prostu będące efektem ignorancji wyobrażenie o nas lub też element wiadomej układanki. Każda z tych opcji godzi w polską rację stanu. ©℗

Kamil Trzeciakiewicz

Autor jest recenzentem internetowym, freelancerem.

Pierwszy polski serial Netflixa zatytułowany będzie „1983". Wyreżyserują go Agnieszka Holland, Kasia Adamik, Olga Chajdas i Agnieszka Smoczyńska.
Zdjęcia do serii już ruszyły. W produkcji zagrać mają m.in. Robert Więckiewicz, Maciej Musiał, Andrzej Chyra, Ewa Błaszczyk i Edyta Olszówka.
Zapowiedziano, że światowa premiera w serwisie Netflix ma się odbyć w tym roku.

eprasa.pl fd2222a256

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Drobne cwaniaczki

Taka historia. W jednej z warszawskich szkół podstawowych po kilku latach zmieniła się rada rodziców. Czyli – jeśli ktoś nie jest obeznany z edukacyjnymi realiami – reprezentacja rodziców, która wspiera szkołę we wszelkich działaniach. Z grubsza rady rodziców dzielą się na dwie grupy: te, które nic nie robią (dyrektorzy szkół takie uwielbiają), oraz te, które mają mnóstwo pomysłów (dyrektorzy szkół takich nie znoszą).

Jak można się domyślić, nowa rada rodziców jest przedstawicielem tej drugiej kategorii, a jej poprzedniczka – pierwszej. Kierownictwo szkoły kwaśno przyjęło zmianę i stara się ignorować wszelkie inicjatywy mające rozruszać dość nieruchawą placówkę oświatową. Jednak nie o to chodzi w tej historyjce.

Chodzi o pieniądze. Nowa rada rodziców dość skrupulatnie wgryzła się w rachunki poprzedniczki. I co się okazało? Poprzednia rada wydała np. 300 zł na kolację w hotelu Westin.

Trzysta złotych to niewiele, choć pewnie znajdą się tacy, którzy się żachną: „Jak to niewiele? Dla mnie to spora kasa". No właśnie. Rada rodziców dysponuje pieniędzmi ze składek. Płacą je także ludzie naprawdę kiepsko sytuowani (szkoła jest publiczna, nie prywatna). Tacy, którzy np. nie wysyłają swoich dzieciaków na urodziny innych dzieciaków, bo nie stać ich na symboliczny nawet prezent. Albo rezygnują z wycieczek, gdyż są zbyt drogie. Jednak składki na radę rodziców płacą bez sarkania, wierząc, że ich pieniądze zostaną sensownie wydane na sprzęt szkolny lub właśnie dofinansowanie rozmaitych atrakcji, na które nie wszystkich stać. Chyba raczej się nie spodziewają, że ich pieniądze zostaną przejedzone na kolacji w luksusowym hotelu. Jakoś niespecjalnie ma to związek ze szkołą. Chyba.

Piszę o tej drobnej sprawie dlatego, że niestety jest symptomatyczna. Często narzekamy na róże machlojki ze strony polityków (to ulubiony chłopiec do bicia), ale zapominamy o tym, że politycy są stwarzani na nasz obraz i podobieństwo. Że wcale nie są od nas gorsi, tylko inna jest skala machlojek, w których biorą udział, i inne są okazje, które wykorzystują.

Ci ludzie z dawnej rady rodziców to najzwyczajniejsi obywatele. Porządni, szanowani, dobrze sytuowani. A jednak, skoro pojawiła się pokusa dogodzenia sobie w restauracji za nie swoje pieniądze, to bez większego obciachu jej ulegli. Moim zdaniem trzeba nie mieć wstydu, żeby wydawać czyjeś szkolne składki w knajpie, ale… Ale przecież ja nie byłem w ich sytuacji. Może też uznałbym, że skoro działałam dla dobra wspólnego i robię to za friko, to coś mi się od życia należy. Może i we mnie tkwi mentalność drobnego cwaniaczka. Bo żeby się połaszczyć na te 300 zł ze składek, trzeba być bardzo drobnym geszefciarzem. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Prymusik

Nie podjąłbym się obrony Jaruzelskiego przed Trybunałem Historii. Różni byli w naszej historii przywódcy, kompletni durnie, tacy jak Michał Korybut Wiśniowiecki, który wprawdzie władał pięcioma językami, ale w żadnym nie miał nic do powiedzenia; ludzie, którzy mniemając, że czynią dobrze, szkodzili okrutnie Polsce, tacy jak Ksawery Branicki, lub ci, których doktryna polityczna po prostu przegrała, tacy jak margrabia Wielopolski.

Mógł przecież zrezygnować, a tymczasem każda nowa polska tragedia stanowiła schodek w jego karierze

Jaruzelski nie miał żadnej doktryny poza wiernością Moskwie, której zasłużył się lepiej niż inny jej mianowaniec Stanisław August Poniatowski. Po tamtym zostały jednak Łazienki, Konstytucja 3 maja… Z jego poprzedników Gomułka, twardogłowy komunista, był jednak na swój sposób polskim patriotą i w najtrudniejszych nawet sytuacjach zachowywał odwagę oraz godność. Edward Gierek chciał być kochany, dać ludziom kiełbasę w socjalistycznej skórce... A czego chciał Jaruzel?

Wydaje się, że od chwili gdy w Sowietach przetrącono mu kręgosłup (w to, że podmieniono go na „matrioszkę", raczej nie wierzę), zdawał się myśleć wyłącznie o karierze. Wyrzekł się własnej klasy, przyjaciół, Boga. Wstąpić do partii, czemu nie? Współpracować z Informacją Wojskową – ku chwale ojczyzny? Denuncjować kolegów? Zwalczać żołnierzy wyklętych? Prowadzić antysemickie czystki? Najeżdżać Czechosłowację? Strzelać do robotników? Internować tysiące rodaków? Zero wątpliwości. Nie wymagam, żeby się sprzeciwił, ale przecież na każdym etapie mógł zrezygnować, a tymczasem każda nowa polska tragedia stanowiła schodek w jego karierze.

Nie próbował się targować ze swymi mocodawcami – wprowadzając stan wojenny, mógł pod jego parasolem spróbować jakichś reform. Wolał mleć partyjny bełkot, a przecież był inteligentny, inteligentniejszy niż wszyscy przywódcy PZPR przed nim. Podejrzewam, że nawet Okrągły Stół zrobił za sowieckim przyzwoleniem. Dowodem na konformizm totalny była próba pogodzenia się z Bogiem. To chyba jednak zbyt mało na stopień generała. ©℗

eprasa.pl fd2222a256

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Realiści z NSZ

Piotr Zychowicz

Dzięki porozumieniu zawartemu z Niemcami dowództwu Brygady Świętokrzyskiej udało się uratować swoich żołnierzy przed zemstą bolszewików

Wydawałoby się niewinny gest premiera Mateusza Morawieckiego – czyli złożenie kwiatów na grobach polskich weteranów II wojny światowej – wywołał burzę. Problem bowiem w tym, że szef polskiego rządu uhonorował niewłaściwych weteranów. Zamiast złożyć wieniec „demokratom" z AK, złożył go „faszystom" z Brygady Świętokrzyskiej NSZ.

Szefa rządu ostro skrytykowały lewicowe media – na czele z „Gazetą Wyborczą" – i część polityków opozycji. Co wywołało takie oburzenie? To, że premier uhonorował formację, która pod koniec wojny podjęła współpracę z Niemcami.

Czy Brygada rzeczywiście współpracowała z okupantem? Tak. Upieranie się, że było inaczej, to zaklinanie rzeczywistości. Pytanie tylko: Czy współpraca ta przyniosła sprawie polskiej szkody? Czy spowodowała cierpienia niewinnych ludzi? Czy żołnierze NSZ u boku SS dopuścili się jakichś masowych zbrodni na cywilnej ludności?

Otóż nie. Było dokładnie odwrotnie. Porozumienie, jakie dowództwo Brygady zawarło z Niemcami, przyniosło sprawie polskiej korzyści. A co najważniejsze – ocaliło wielu Polaków przed śmiercią. Oczywiście decyzje polityczne można oceniać przez pryzmat kryteriów politycznej poprawności. Ja jednak wolę je oceniać przez pryzmat skuteczności.

UCIECZKA Z MATNI

Brygada Świętokrzyska została utworzona latem 1944 r. na Kielecczyźnie. Od samego początku kierownictwo tej formacji było nastawione sceptycznie wobec linii politycznej przyjętej przez AK. Dowództwo AK uznało bowiem Sowietów za „sojusznika naszych sojuszników" i nakazało swoim oddziałom wspierać wkraczającą do Polski Armię Czerwoną.

eprasa.pl fd2222a256

Dla dowództwa NSZ akcja „Burza" – bo o niej mowa – była samobójstwem. Oficerowie Brygady Świętokrzyskiej nie wierzyli w możliwość zawarcia kompromisu ze Stalinem, a wkroczenie Armii Czerwonej uważali za początek nowej okupacji. Jak wiadomo, historia przyznała im rację. Akcja „Burza" zakończyła się fiaskiem.

Antybolszewicki kierunek, jaki przyjęły Narodowe Siły Zbrojne, sprawił, że żołnierze Brygady w styczniu 1945 r. znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. W tym miesiącu ruszyła bowiem wielka sowiecka ofensywa i kwestią dni stało się opanowanie przez bolszewików Kielecczyzny. Los tysiąca żołnierzy Brygady zawisł na włosku.

Oficerowie NSZ postanowili zrobić wszystko, by uratować swoich ludzi. Szczególnie że wydane przez Naczelnego Wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego instrukcje nakazywały, aby żołnierzy najbardziej zagrożonych aresztowaniem ewakuować na Zachód.

Należało ich ocalić za wszelką cenę. Nawet za cenę taktycznego porozumienia z Niemcami. Zawarcie tego ostatniego nie było trudne, bo wśród Niemców znajdowali się przeciwnicy ostrej antypolskiej polityki okupacyjnej. Jednym z nich był Paul Fuchs, oficer gestapo z Radomia, który od 1941 r. próbował doprowadzić do ugody z antykomunistyczną częścią polskiego podziemia. W 1945 r. porozumienie takie zawarła Brygada Świętokrzyska.

Oficerowie NSZ postanowili zrobić wszystko, by uratować swoich ludzi. Należało ich ocalić nawet za cenę porozumienia z Niemcami

„Dla ratowania Brygady – napisał 19 stycznia w rozkazie do żołnierzy dowódca Brygady Antoni Szacki „Bohun" – porozumiałem się z dowódcą fortyfikacji niemieckich, aby przejść przez ich linie na zachód. Tym samym weszliśmy w stan niewojowania z Niemcami na czas nieokreślony. Mam nadzieję, że szybko toczące się wypadki wojenne pozwolą nam w niedalekiej przyszłości zameldować się u Naczelnego Wodza i prawowitego rządu polskiego i według jego rozkazu zwrócić nasz oręż przeciwko wrogowi, którego każe nam zwalczać".

Od tej pory Brygada Świętokrzyska wycofywała się u boku oddziałów Wehrmachtu. Towarzyszyli jej niemieccy oficerowie łącznikowi. Załatwiali oni formalności z kolejnymi mijanymi posterunkami, organizowali dla polskiej jednostki prowiant (żołnierze NSZ dostawali racje żywnościowe Wehrmachtu), furaż oraz uzupełnienia w umundurowaniu i obuwiu. Ranni Polacy trafiali do niemieckich lazaretów.

8 lutego w pobliżu Kottwitz Brygada NSZ napotkała na drodze kolumnę 120 polskich jeńców ewakuowanych na Zachód ze Stalagu numer 344 w Lamsdorf na Śląsku. Byli to żołnierze wzięci do niewoli po kapitulacji powstania warszawskiego. Zostali oni uwolnieni z rąk eskortujących ich esesmanów i wcieleni w szeregi Brygady.

Polska jednostka dotarła do Protektoratu Czech i Moraw. Tam rozpoczęły się intensywne szkolenia. Niemcy domagali się, żeby Brygada wyruszyła na front i podjęła u ich boku walkę z bolszewikami. Natrafiali

REKLAMA

KLINIKA UZDROWIskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 11.03 - 29.03.2018 r. oraz 03.04 - 06.05.2018 r.
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
25 zabiegów na 7 dni pobytu
- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl fd2222a256

jednak na zdecydowany opór ze strony polskich oficerów. „Niech panowie sobie nie wyobrażają, że Brygada będzie księciem Józefem Poniatowskim dla Trzeciej Rzeszy" – powiedział Niemcom Leonard Zub-Zdanowicz „Ząb".

Jedyne ustępstwo, na jakie poszli Polacy, polegało na zrzuceniu przez Niemców na tyły bolszewickie kilku grup wywiadowczych złożonych z żołnierzy NSZ. Po znalezieniu się na terenie okupowanej przez bolszewików Polski zrzutkowie nie podjęli jednak współpracy z Niemcami.

Gra na czas podjęta przed dowództwo Brygady przyniosła znakomity skutek. Udało się bowiem dotrwać do załamania III Rzeszy. W obliczu klęski Niemiec jednostka zrobiła to, co należało – czyli dokonała kolejnego odwrócenia sojuszy.

13 kwietnia 1945 r. Brygada Świętokrzyska została przez swoich oficerów postawiona w stan gotowości i rzucona w dalszy marsz na zachód, w stronę nadciągającej amerykańskiej armii gen. Pattona. A 5 maja Brygada uderzyła na Niemców pod Holiszowem.

Znajdował się tam obóz koncentracyjny dla kobiet, który oddział NSZ wyzwolił. Wzięto do niewoli pilnujących go esesmanów i uwolniono 1 tys. więźniarek, m.in. 167 Polek i blisko 300 Żydówek. Te ostatnie znajdowały się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Esesmani zamknęli je bowiem w osobnych barakach, które zamierzali oblać benzyną i podpalić.

„Uwolnione kobiety więźniarki wybiegły z baraków na dziedziniec, aby nas przywitać – wspominał „Bohun". – Ich radość z odzyskanej wolności była tak wielka, że trudno mi opisać wrażenia, jakie wtedy przeżyłem, patrząc na wynędzniałe w pasiakach postacie, rozpromienione szczęściem. Zapanował niesamowity hałas, powstały z mieszaniny radosnego śmiechu, głośnego płaczu, krzyków i bieganiny".

Wkrótce wojna dobiegła końca. A żołnierze NSZ – mimo nacisków bolszewików – nie zostali wydani w ręce komunistów. Amerykanie utworzyli z nich jednostki wartownicze, które stacjonowały na terenie Niemiec. Epopeja Brygady Świętokrzyskiej dobiegła końca.

Spróbujmy teraz sporządzić jej krótkie podsumowanie. W wyniku porozumienia zawartego w styczniu 1945 r. przez dowództwo Brygady Świętokrzyskiej z Niemcami udało się osiągnąć, co następuje: 1 tys. żołnierzy NSZ uratowało się przed śmiercią w kazamatach NKWD, 300 Żydówek z obozu w Holiszowie zostało ocalonych przed spaleniem żywcem, 120 jeńców z powstania warszawskiego zostało odbitych z rąk SS.

Proszę wybaczyć, ale nie uważam, żeby to był powód do wstydu. Gdyby nie decyzja dowództwa NSZ – większość tych ludzi by zginęła. Współczesnym krytykom decyzji dowództwa Brygady Świętokrzyskiej warto więc zadać pytanie: Cóż by Polsce dała ich śmierć? Co byśmy na tym zyskali?

Obawiam się, że nic. Podczas II wojny światowej przelana została wystarczająca ilość polskiej i żydowskiej krwi. Dzięki pragmatycznej decyzji swoich oficerów młodzi żołnierze NSZ znaleźli się na Zachodzie. Mogli się uczyć, założyć rodziny, pracować, żyć. To samo dotyczyło Żydówek uratowanych w Holiszowie.

AK KONTRA NSZ

W toczącej się obecnie debacie o Brygadzie Świętokrzyskiej często przeciwstawia się „dobre" AK „złemu" NSZ. Stanowisko takie, w świetle faktów historycznych, wydaje się jednak trudne do obrony.

Zacznijmy od tego, że kilka oddziałów AK również zawarło z Niemcami lokalne, taktyczne porozumienia o zawieszeniu broni. Doszło do tego głównie na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie. A więc na terenach, na których Polacy i Niemcy mieli wspólnego wroga – sowiecką partyzantkę.

Najgłośniejszy taki przypadek to oczywiście oddział legendarnego cichociemnego Adolfa Pilcha „Góry", „Doliny". Działający na terenie Puszczy Nalibockiej dzielny partyzant w grudniu 1943 r. zawarł pakt z lokalnym niemieckim dowódcą. Niemcy dostarczyli Polakom broń – m.in. granatniki i ciężkie karabiny maszynowe – a ci przy jej użyciu skutecznie tępili bolszewików i chronili polską ludność cywilną.

Latem 1944 r., aby nie dostać się w łapska nadchodzącej Armii Czerwonej, Adolf Pilch ewakuował swój oddział aż pod Warszawę. A więc zrobił dokładnie to samo, co kilka miesięcy później zrobiło dowództwo Brygady Świętokrzyskiej. I dziwnym trafem jakoś nikt mu tego obecnie nie wypomina. Wprost przeciwnie, niedawno jednej ze stołecznych ulic nadano imię Adolfa Pilcha.

W całej dyskusji na temat Brygady Świętokrzyskiej uderza jednak co innego. Chodzi oczywiście o nierówne traktowanie współdziałania z Niemcami i Sowietami. O ile współpraca z Niemcami podjęta pod koniec wojny przez NSZ jest uznawana za haniebną, o tyle współpraca z bolszewikami podjęta przez AK uznawana jest za szczyt patriotyzmu.

„Czytałem przed kilku laty, bodaj w »Kulturze« paryskiej – pisał Józef Mackiewicz – zarzuty ze strony AK pod adresem NSZ, ujęte w slogan: »Gdy cała Polska walczyła z Niemcami, wyście jedni z nimi współpracowali!«. Na to ze strony NSZ, zamiast odpowiedzieć kontrsloganem: »Gdy cała Polska współpracowała z bolszewikami, myśmy jedni z nimi walczyli!...« odpowiadają gęstym tłumaczeniem, gdzie i kiedy zabili jakiegoś Niemca".

Do tej słusznej myśli dodajmy jeszcze jedną kluczową różnicę. O ile współpraca podjęta przez NSZ z Niemcami uratowała polskich żołnierzy, o tyle współpraca podjęta przez AK z Sowietami przyniosła polskim żołnierzom zgubę. Bolszewicy zniszczyli bowiem oddziały Armii Krajowej ujawnione przed nimi w trakcie akcji „Burza". Ich żołnierze zostali zamordowani, powędrowali za druty albo wcielono ich do armii Berlinga. Kto miał więc rację – AK czy NSZ?

Myślę, że każdy czytelnik ma w tej sprawie swoje ugruntowane zdanie. Ja osobiście nie podzielam entuzjazmu części moich rodaków do „pięknych samobójstw". Znacznie bardziej cenię stąpających twardo po ziemi realistów. Takimi realistami byli właśnie dowódcy Brygady Świętokrzyskiej NSZ.

O ile współpraca podjęta przez NSZ z Niemcami uratowała polskich żołnierzy, o tyle współpraca podjęta przez AK z Sowietami przyniosła polskim żołnierzom zgubę. Bolszewicy zniszczyli oddziały AK ujawnione przed nimi w trakcie akcji „Burza"

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

SENSACYJNY WYWIAD Z ŻOŁNIERZEM WYKLĘTYM!

Piotr Zychowicz – **Wyklęci, historia prawdziwa**
Leszek Żebrowski **kontra** Oleg Łatyszonek – **Spór o niezłomnych**
Sławomir Cenckiewicz – **Mazowiecki wierny Jaruzelskiemu**
Antony Polonsky – **Polska była rajem dla Żydów**
Patryk Pleskot – **Jak pijany milicjant zamordował dziecko**
Sławomir Koper – **Najpiękniejsze nogi II RP**
Mikołaj Iwanow – **Nowy trop w sprawie Katynia**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl fd2222a256

Jacek Komuda

Gabinet osobliwej grozy

Zanim powstały muzea, ich funkcję pełniły gabinety osobliwości. Przechowywano w nich eksponaty, którymi zadziwiano, a czasem nawet straszono gości

Francis Bacon, filozof angielski, uważał, że każdy wykształcony człowiek powinien posiadać w domu: bibliotekę, ogród oraz „gabinet, w którym znajdą się rzeczy rzadkie wykonane przez człowieka w tworzywie; każdą rzecz osobliwą stworzoną przez przypadek, […] wszystko też, co natura stworzyła, co chce przetrwać i może być przechowywane; to wszystko winno być sklasyfikowane i włączone do zbioru". Gabinety te pojawiły się w XV w. we Włoszech i określane były nazwą „studiolo". Przechowywano tam zarówno obrazy, egzotyczne dzieła sztuki, kamienie, skamienieliny, wypchane zwierzęta, unikalną broń, jak i wszelakie dziwolągi – zwierzęta o dwóch głowach, nieznane ryby, a nawet zakonserwowane w alkoholu zdeformowane płody. W XVI w. rozrosły się one w całe kolekcje, zajmujące wiele pokojów. Zaczęto też nazywać je „gabinetami cudów", czyli w zależności od regionu Europy „cabinets of curiosites", „closet of rarities" czy „Wunderkammer" lub częściej: „Kunstkammerami". Najsławniejsze z nich były: wiedeńska kunstkamera cesarza Ferdynanda I założona w 1553 r., elektora Augusta w Dreźnie, księcia Albrechta V w Monachium czy też jedna z najsławniejszych – arcyksięcia Ferdynanda II na zamku w Ambras w Innsbrucku. W tej ostatniej znajdowały się osobliwości, które i dziś wywołują niepokój – np. portret zdeformowanego, kalekiego mężczyzny. A także kilka obrazów dziwacznych ludzi – w tym najciekawszy – wizerunek Petrusa Gonzaleza, urodzonego w 1537 r., uważanego za człowieka wilkołaka, chorującego na hipertrichozę powodującą owłosienie, w jego przypadku całej twarzy. Innym ciekawym eksponatem był niezwykły portret węgierskiego szlachcica Gregora Baci lub Baksy. W starciu z Turkami lub na turnieju odniósł on niewiarygodną ranę – kopia wbiła mu się w prawy oczodół i wyszła z tyłu głowy, przez kark, poniżej mózgu. Ponoć Baci żył jeszcze przez rok z czaszką przebitą na wylot kawałkiem kopii, gdyż leczenie polegało po prostu na odpiłowaniu jej przy głowie. Ciekawe, że opowieść tę potwierdzają lekarze, którzy badali obraz i sporządzili podobny model głowy. W tym przypadku pomimo rozległych obrażeń wewnętrznych ołowiana farba, którą pomalowana była kopia, mogła działać antyseptycznie i przeciwdziałać zakażeniu.

Kunstkamera w Ambras zawiera ponadto ogromny zbiór rzeźb, chińskich malowideł, zbroję samuraja, która w dawnych czasach musiała budzić zdumienie. A także portret znanego wszystkim Vlada Tepesa, władcy Wołoszczyzny, który w XVI w. dzięki saskim drukom ulotnym znany był jako okrutnik wbijający ludzi na pale, choć jeszcze nie awansował do godności księcia wampirów.

POKOJE GROZY PIOTRA I

Jedną z najsławniejszych kunstkamer jest do dziś gabinet i całe muzeum

eprasa.pl fd2222a256

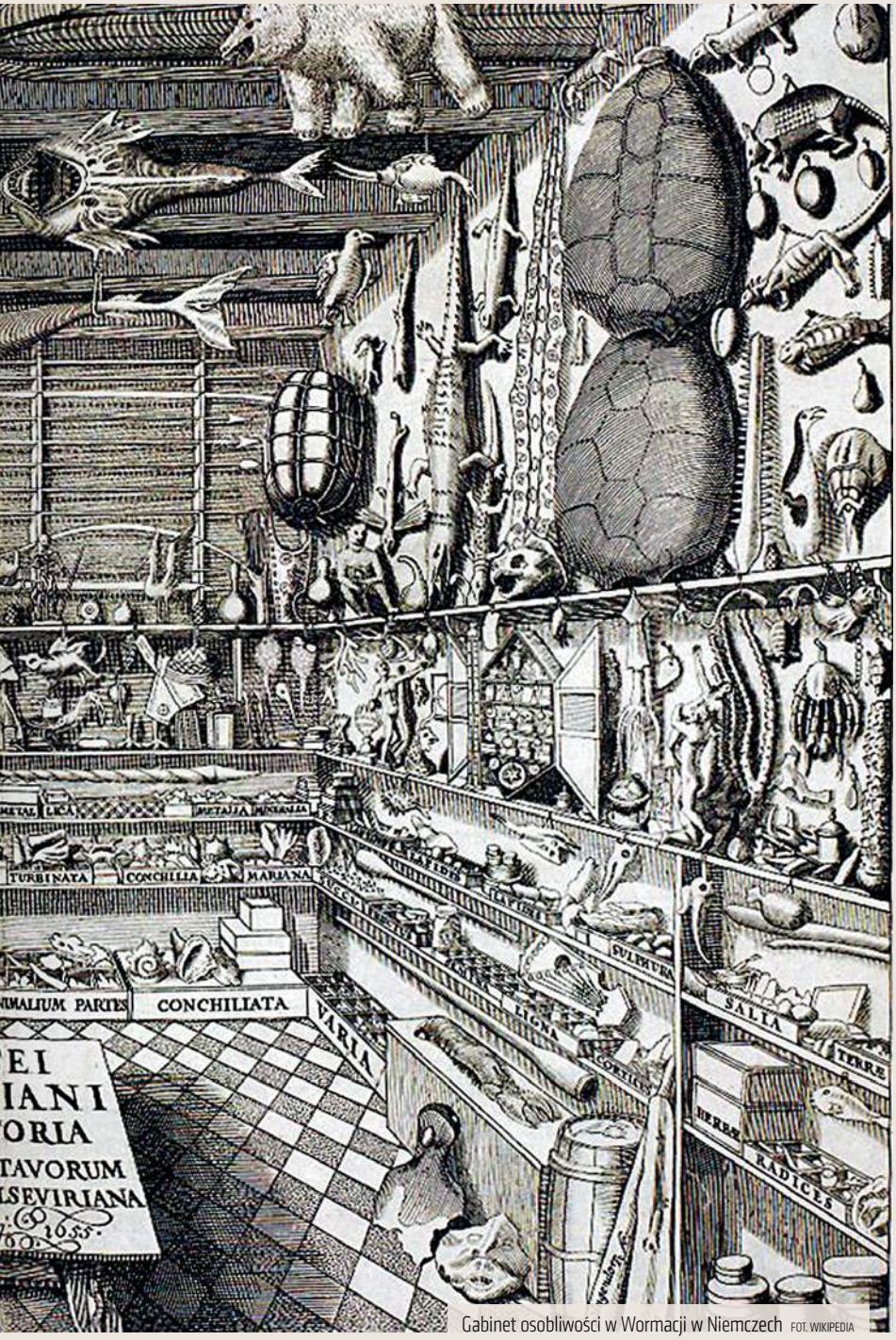

Gabinet osobliwości w Wormacji w Niemczech FOT. WIKIPEDIA

założone w 1714 r. przez cara Rosji Piotra I w Petersburgu. Car wpadł na taki pomysł, kiedy w czasie pobytu w Holandii poznał lekarza i chirurga Fryderyka Ruyscha i jego ogromną kolekcję osobliwości medycznych. W 1717 r. za 30 tys. guldenów zakupił 800 preparatów, wśród których znalazły się części ciała ludzkiego, a także zdeformowane płody i zwierzęta – nazywane cyklopami, syrenami, z anomaliami, a także kilka dziecięcych głów – w tym jedna z uśmiechem na twarzy. Być może należała do ciała, którego sekcję oglądał car w pracowni Ruyscha, i widząc, że towarzyszący mu Rosjanie spoglądają na to z obrzydzeniem, ucałował je w usta, a towarzyszom kazał rozrywać i przegryzać własnymi zębami mięśnie trupów. Jak widać, nawet pod koniec XVII w. Rosja stanowiła pewien stan umysłu. Zresztą władca uwielbiał sekcje zwłok i w podróży miał ze sobą skrzynkę z kompletem narzędzi, za pomocą których przeprowadzał autopsje zmarłych dworzan i sług. W 1715 r. kroił nawet własną zmarłą synową. Jak podaje Władysław A. Serczyk, do dziś w zbiorach Muzeum Antropologicznego w Petersburgu znajdują się kolekcja zębów wyrwanych członkom dworu i dokładny spis nieszczęśników.

Po założeniu kunstkamery Piotr I wydał „ukaz o monstrach, czyli poczwarach", w którym pisał: „Ponieważ wiadomo, że zarówno wśród ludzi, jak i zwierząt czy ptaków rodzą się monstra, czyli potwory, które we wszystkich państwach kolekcjonuje się jako osobliwości […], zarządzamy, aby takowe przynoszono i obiecujemy za nie stosowną zapłatę". Ustanowiono taksę: za ludzkiego potwora – 10 rubli, za zwierzęcego i bydlęcego – po pięć, za ptasiego – trzy ruble. Nagrody za żywe okazy były o wiele większe – sięgały 100 rubli za zdeformowanego człowieka, 15 – za bydlęcego, a tylko 7 – ptasiego. W obawie, aby chłopi nie ukrywali odmieńców, obiecywano dyskrecję: „Jeśli urodzi się taki właśnie i nie będą go chcieli przynieść, gdyż wstyd im będzie, to stwierdzamy, że nie wymaga się, by mówiono, kto przyniósł, a komendanci nie powinni nikogo pytać, czyje jest to stworzenie". Co więcej – jeśli ktoś został przyłapany, że monstrum takowe utrzymywał w domu, ale go nie dostarczył, płacił grzywnę 10 razy większą od nagrody.

Car z upodobaniem „kolekcjonował" także żywe osobliwości – zarówno karłów, jak i olbrzymów. Jego ulubionym służką był Jermołaj Miszukow, na którego pogrzeb w 1714 r. władca ściągnął 30 innych karzełków. Z kolei przybocznym hajdukiem został niejaki Burgeois, którego Piotr spotkał i zaciągnął do służby w czasie podróży do Francji w 1717 r. Jego szkielet do dzisiaj prezentowany jest w kunstkamerze, gdyż mierzył on 227 cm wzrostu i – co ciekawe – nie był o wiele wyższy od samego cara.

W 1719 r. muzeum osobliwości zostało otwarte dla publiczności, aby – jak podaje Andrzej Serczyk w biografii Piotra I – „służyć powszechnej edukacji". Car sam podarował mu 400 rubli rocznie, aby każdy nie tylko mógł wejść bezpłatnie, lecz także by ugoszczono go kawą, kieliszkiem wina lub wódki i zakąską.

OSOBLIWOŚCI SARMATÓW

Polskie i litewskie kunstkamery powstały w tym samym czasie co niemieckie. Zapewne swoją miał Zygmunt III, a z XVII w. zachowały się inwentarze takich zbiorów. Jedną z pierwszych był

eprasa.pl fd2222a256

gabinet osobliwości Radziwiłłów na zamku w Lubczu. Inwentarz, który się zachował, pochodzi z 1641 r. Co ciekawe, kunstkamera nie zawierała zdeformowanych płodów ludzkich i zwierzęcych, ale same zbiory sztuki, broni i pamiątek, tak że w zasadzie można uznać ją za jedno z pierwszych polskich muzeów. W inwentarzu spisano 563 pozycje, przy czym większość z nich składała się z kilku przedmiotów. Jednym z najważniejszych działów były trofea – broń, zbroje i pamiątki związane z ważnymi postaciami oraz władcami epoki. Na przykład szyszak złocisty cesarza Karola V, „oszczep z kością na końcu cara Wasyla Iwanowicza, tyrana". Grot żelazny rohatynki króla Zygmunta Augusta czy… kosa żelazna, tatarska spod Ochmatowa. Były też chorągwie – np. krzyżacka z krzyżem i napisem „INRI", warcabnica i szkatuła królowej Barbary, kieliszek z puzdrem Władysława IV. Niektóre obiekty budzą zdziwienie i dziś, bo wyglądają, jakby pochodziły z pierwszych na świecie wykopalisk, np. „rzeczy od pana Góreckiego w Mogile wykopane". W dziale naukowym znajdowały się rozmaite kamienie i minerały, w botanicznym zaś najróżniejsze cuda, takie jak „żyto stare, co w Strasburgu z nieba spadło", dynia turecka i kwiaty morskie. W faunie były wymienione „krokodyl morski" i „szczur morski". Nie mogło oczywiście zabraknąć także jednorożców, takich jak „jednorożec siewierski w papier zawiniony", ząb i szczotka jednorożca. Były tam jeszcze bogate zbiory ozdób i broni chińskiej, wachlarzy, puginałów oraz ksiąg, a także duży dział antyczny zawierający m.in. portrety rzymskich cesarzy. Z tego samego okresu, z 1626 r., mamy zachowany obraz Étienne'a de la Hire'a „Kunstkamera Władysława Wazy", przedstawiający gabinet osobliwości przyszłego władcy Rzeczypospolitej, o którym niestety niewiele wiadomo.

Doskonale opisanym i wręcz promieniującym sarmackim humorem jest inwentarz gabinetu osobliwości znajdującego się w Białej Podlaskiej. Należał on do księcia Hieronima Floriana Radziwiłła, który sam nadawał się na eksponat w niejednej kunstkamerze. Był to oryginał i okrutnik – opłacał własne wojsko i staczał wyimaginowane bitwy we własnych włościach, wydawał srogie wyroki na służących oraz żołnierzy, a więźniów trzymanych w lochach zamku zwał swymi „najlepszymi śpiewakami". Jednocześnie utrzymywał w Białej i Słucku teatr dworski, orkiestrę, operę i balet. Był też autorem licznych pism, z których wyróżniają się: „Rzeczy, którymi najgodniejszego zabawić mogę gościa, będącego w domu mym, do jakiego zaś czasu, pomiarkuje czytając łaskawy czytelnik" – czyli kipiący sarmackim humorem inwentarz osobliwości, które książę Hieronim trzymał w zamku.

Czegóż tam nie było? Chyba tylko szczebla z drabiny, która śniła się św. Jakubowi. „Mumia egipska całkowita w swej trumnie i ubiorze". „Mandragorowy korzeń mający figurę świętego Onufrego", którego od wyglądu przypominającego zwisający… zwano „pokusą umarłą". Bazyliszek prawdziwy w „spiritus vini, tak cały, że i po śmierci prawie wzrokiem by zabijał, gdyby oczy onego wypadłe przez moc spirytusu nie były. Róg „rynocerosa samca", czyli nosorożca, „górna kalwaria smoka", ale nade wszystko: „instrumentów miłości wielorybów samców dwa, z których jeden całkowity ma długości łokci trzy wiedeńskich…", jak zauważa książę wesoło: „z zazdrością wielu w tym porządku niebędących". Są – a jakże! – dwa rogi jednorożca, a także cztery zęby słoniowe, „lecz z nich jeden jest długości cali 93, prawie niewidzialny tej wielkości". Dwa wypchane renifery sprowadzone przez Gdańsk ze Szwecji. „Krokodyl całkowicie zasuszony, z kośćmi, mięsem i skórą, wielkości łokci polskich trzech z górą". Najciekawsza jest jednak… „Biblia chińska we dwunastu częściach z kamienia tamecznego szpekstejnu w różnych kolorach wyrabianych. Ta lubo jest ciekawa, żonatym jednak tylko ludziom pokazywana być może i powinna". Historycy długo zastanawiali się, co kryje się pod tą nazwą i dlaczego można ją pokazywać tylko żonatym. Wyjaśnienie przychodzi na myśl tylko jedno – była to po prostu Kamasutra albo jakaś księga erotyczna, zapewne ciężka dostojna – dlatego sarmacka poczciwość odmieniła ją w rodzaj „chińskiej biblii". Z innych eksponatów jest oczywiście zbroja prawdziwa Aleksandra Wielkiego, „z której choć nabijanej złotem poznać, że magnus sed non corpore erat" (wielki był, lecz ciałem niepotężny), żebro wielkoluda oraz – uwaga! – „członek ostatni małego u ręki palca, na końcu którego pazur był tychże olbrzymów". Miał też książę Hieronim szablę indyjską, którą „książę asyryjski, będąc u mnie w Białej konfirmował, że jedna z tych pięciu, co dla Mahometa były stawione".

Najbardziej niesamowitą częścią kolekcji była hodowla monstrów. Były tam baranek z nogami na grzbiecie, koniowielbłąd, kurokaczory i inne dziwolągi

HODOWLA MONSTRÓW RADZIWIŁŁA

W 1746 r. Hieronim Radziwiłł wydał wzorem cara Piotra I w swoich dobrach „edykt o monstrach", nakazując poddanym przywozić wszelakie potwory do Białej. Jak zapisał w diariuszu (cytuję za Katarzyną Brzeziną: „Gabinet osobliwości Hieronima Floriana…") z 4 marca 1747 r.: „Przywieziono mi dziś monstrum z Siebieża po wydanym mym w roku przeszłym na to edykcie, mające jedne wielkie oko i łeb, ogon wielki psi, skąd i kopyta świnie, z której spłodzone. Krzyk – słyszę – dziecka miało, godzin tylko cztery żyło. Wraz tamże w spirytus wsadzone, tu przywiezione". Jednym z oddziałów gabinetu osobliwości było monstrarium, w którym znajdowało się m.in. „dziecię dwugłowe, czteroręczne i tyloż nożne, mające przy tym membrum virile cum debitis atinencus pod jedną z pach". Radziwiłł miał również konia hermafrodytę, cielę dwugłowe, „lisie wyporki" czy choćby „jajo z czubkiem". Jednak najbardziej niesamowitą częścią kolekcji była hodowla monstrów, to znaczy zwierzyniec, w którym przetrzymywano żywe okazy odmienionych zwierząt. Był tam baranek z nogami na grzbiecie, koniowielbłąd, kurokaczory i inne dziwolągi. Nie należy jednak osądzać Hieronima zbyt surowo, gdyż posiadał także ogromną kolekcję urządzeń technicznych. Na przykład „instrument do elektryzacji", „instrument do matematyki szklany w dole, w górze o trzech rurkach okrągły". Obok nich także różne zegary i inne, trudno rozpoznawalne dziś mechanizmy.

Najciekawszy jednak z nich znajdował się na rzece – zapewne na Krznie. Była to machina hydrauliczna dostarczająca wodę do zamku, a może i do całego miasta, napędzana kołem młyńskim, a w przypadku zbyt niskiej wody – końmi lub też wołami. Pokazuje ona, że wbrew obiegowej opinii w czasie osłabienia Rzeczypospolitej magnateria interesowała się nie tylko pijaństwem, rozpustą i zrywaniem sejmów, lecz także nauką i techniką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Generałowie na Wyspie Węży

Książkę otwiera niezwykle przewrotny cytat zaczerpnięty z wypowiedzi gen. Władysława Sikorskiego. „Proszę panów, byśmy zapomnieli o tym, co nas dzieliło, a zwrócili się ku temu, co nas łączy, a przynajmniej łączyć powinno. Nie będziemy tu robić żadnej polityki. Zasadą moją będzie kult kompetencji, a wierzę, że się spotkamy pod hasłem »Honor i Ojczyzna«".

Tyle teoria. A praktyka – jak to często bywa – była zupełnie odmienna. Generał Sikorski, kiedy został premierem i Naczelnym Wodzem, w sposób małostkowy mścił się na piłsudczykach. Przybyli do Wielkiej Brytanii oficerowie „sanatorzy" nie dostali przydziałów. Zamiast do jednostek wojskowych zostali zesłani do obozu odosobnienia na wietrzną, szkocką wyspę Bute.

Była to dla tych ludzi prawdziwa życiowa katastrofa. Zamiast walczyć o wolność Polski, gnili na zapomnianej przez Boga i ludzi ponurej wysepce. Sikorski nie potrafił im jednak wybaczyć własnych upokorzeń z czasu II RP, kiedy – jako rywal i nieprzyjaciel Józefa Piłsudskiego – został odsunięty na boczny tor.

Obóz na Wyspie Węży nie należy do szczytnych kart polskiej historii. Być może właśnie dlatego historycy nie bardzo kwapili się, aby o nim pisać. Całe szczęście wyręczyła ich Małgorzata Szejnert. Jej książka to nie tylko znakomity reportaż historyczny, lecz także tragiczna historia rodzinna. Wśród osadzonych na Bute znajdował się jej wuj Ignacy Raczkowski. Tam też – w roku 1943 – zmarł.

Małgorzata Szejnert opisuje zarówno losy swojego krewnego, jak i innych osadzonych na Bute oficerów. Ciekawe są również jej osobiste spostrzeżenia z Wyspy Węży, którą odwiedziła, pracując nad książką. Na wyspie nadal można znaleźć polskie ślady. Przede wszystkim mogiły.

„Wyspa generałów – pisze autorka. – Podobno skierowano ich tutaj dwudziestu. Ale może było ich siedemnastu, w tym trzech generałów dywizji, i pilnował ich osiemnasty, w randze generała brygady. Niewygodnie, gdy niższy stopniem pilnuje wyższych rangą. A jeszcze ma pełne ręce roboty, musi mieć na oku pułkowników, podpułkowników, majorów, kapitanów, poruczników i podporuczników. Ich stan był zmienny – od trzystu do sześciuset".

Aż trudno uwierzyć, że tylu polskich oficerów marnowało się na tej wyspie! Niezwykle smutna książka. ©℗

★★★★★★

MAŁGORZATA SZEJNERT „WYSPA WĘŻY" ZNAK

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Trójmiejski tygiel

W połowie lat 50. jednym z najbardziej interesujących miejsc na mapie kulturalnej kraju stało się Trójmiasto. Pojawiła się tam grupa utalentowanych artystów, których nazwiska niebawem miały się stać znane w całym kraju. W teatrze Wybrzeże ulubieńcem publiczności był Edmund Fetting, grali tam też młodzi absolwenci krakowskiej PWST: Kalina Jędrusik, Zbigniew Cybulski i Bogumił Kobiela. Kierownictwo literackie sprawował Leszek Herdegen, wkrótce zadebiutował Henryk Bista. Stanisław Dygat prowadził kronikę kulturalną „Głosu Wybrzeża", a publikowali tam Maciej Słomczyński, Mieczysław Jastrun i Arkady Fiedler. W zespole redakcyjnym gazety zwracała uwagę młoda stażystka z Warszawy, Agnieszka Osiecka.

W trójmiejskim SPATiF należało bywać. Jego stałymi bywalcami byli też członkowie legendarnego kabaretu Bim-Bom

Prężnie działali plastycy skupieni wokół miejscowej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Środowiska artystyczne Trójmiasta wzajemnie się przenikały, a głównym miejscem spotkań był klub SPATiF przy ul. Monte Cassino w Sopocie.

„[Mieliśmy] rozmawiać o sztuce – wspominał późniejszy rektor PWSSP, prof. Władysław Jackiewicz – ale zawsze towarzyszyły temu nadmierne ilości alkoholu, więc po pewnym czasie wszystko zamieniało się we wzajemne wymówki typu: »A wiesz, gdzie ja mam twoje malarstwo?«".

W trójmiejskim SPATiF należało bywać, tam bowiem koncentrowało się życie towarzyskie Wybrzeża, działy się najważniejsze wydarzenia. Po każdej premierze teatralnej czy wernisażu klub był szczelnie wypełniony artystyczną bracią, na co dzień zresztą także nie brakowało w nim klienteli. Jego stałymi bywalcami byli też członkowie legendarnego kabaretu Bim-Bom: Cybulski, Kobiela, Wowo Bielicki, Jerzy Afanasjew, Jacek Fedorowicz, przez pewien czas towarzyszył im także Sławomir Mrożek.

„Żarliśmy się czasami nieprzytomnie – relacjonował Fedorowicz. – Teatr był dla nas sprawą najważniejszą, stąd emocje. Dyskusje o programie przeradzały się w awantury, w czasie których Wowo wymyślał Afanasjewowi od postrzelonych poetów, Zbyszek Wowowi od inteligentów, ja Zbyszkowi od dyktatorów, Wojtych Kobieli od bezbarwnych mydłków. […] I tylko Mrożek nikomu nie wymyślał – wychodził".

Dziwnym trafem drugi najsłynniejszy program kabaretu Bim-Bom – „Radość poważna", miał premierę 16 marca 1956 r., w dniu pogrzebu Bolesława Bieruta.

Przypadek? ©℗

eprasa.pl fd2222a256

FOT. PAP

Bejt Almin, czyli dom wieczności

Piotr Semka

Najstarszy w Warszawie cmentarz żydowski znajduje się na Bródnie. Od niedawna jest to nowy adres na muzealnej mapie stolicy Polski

Gdy w 1983 r. Zygmunt Nissenbaum przybył do Warszawy na obchody 40. rocznicy powstania w getcie warszawskim, władze PRL dbały, by przyjezdni ze świata odnieśli wrażenie, że Polska Ludowa dba o spuściznę żydowską. Gości zaproszono na otwarcie świeżo wyremontowanej synagogi Nożyków i umożliwiono im zwiedzanie żydowskiego cmentarza przy ul. Okopowej. Nissenbaum uparcie pytał jednak o żydowski cmentarz bródnowski na Pradze. Tam pochowana była jego rodzina, tam w czasie wojny spędzał całe dnie, wymykając się z getta, i tam pewnego dnia był ukrytym świadkiem niemieckiej egzekucji na grupie rabinów. „Żydowski cmentarz na Bródnie?" – przydzieleni urzędnicy wyrażali zdziwienie, mówiąc, że takiego cmentarza już nie ma. W końcu Nissenbaum wziął taksówkę i odnalazł dawne miejsce pochówku. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim. Cmentarz był zapuszczonym lasem pełnym śmieci. Tysiące macew wyrwano ze swoich miejsc i zgromadzono na samym końcu lasu. Nissenbaum zaproponował władzom stworzenie fundacji, która odbuduje cmentarz. Tak postała fundacja Nissenbaumów, która od 1985 r. ratuje ten zabytek.

W ciągu kolejnych 30 lat odbudowano ogrodzenie, wysprzątano śmieci i zbudowano coś na kształt lapidarium macew. W 2012 r. cmentarz przejęła warszawska Gmina Wyznaniowa Żydowska.

Jednak dopiero teraz zbudowano pawilon muzealny. Wystawa stała „Bejt Almin, czyli dom wieczności" poświęcona jest dziejom bródnowskiego miejsca pochówku i mało znanej w Polsce kulturze funeralnej Żydów. Najnowsze muzeum Warszawy zostało otwarte 6 lutego przez Annę Chipczyńską, przewodniczącą Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie, Gideona Nissenbauma, syna Zygmunta, i rabina Michaela Schudricha.

BIEDNIEJSZY, ALE NAJSTARSZY

Cmentarz bródnowski jest najstarszym cmentarzem warszawskich Żydów.

Jak przypominają autorzy wystawy, ufundował go w 1780 r. Szmul Jakubowicz Zbytkower, nadworny bankier króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Ten zamożny finansista posiadał na prawym brzegu Wisły rozległe tereny, o czym przypomina do dziś nazwa części Pragi – Szmulowizna.

Na budowę żydowskiego miejsca pochówku musieli wyrazić zgodę król i biskup płocki, notabene krewny króla – bp Michał Jerzy Poniatowski. Swoją zgodę obwarowali przyrzeczeniem cichego przemarszu żydowskich konduktów pogrzebowych oraz coroczną daniną ok. 100 kg łoju dla kościoła parafialnego w Skaryszewie.

Fundator i jego żona spoczęli na cmentarzu. Swoje groby mieli tu członkowie znanych rodzin żydowskich: Nissenbaumów, Sonnenbergów czy Bergsonów. Spoczęli tu również żołnierze Pułku Lekkokonnego Starozakonnych dowodzonego przez Berka Joselewicza, którzy polegli w obronie Pragi w czasie powstania kościuszkowskiego, czy pochowany w 1842 r. Abraham Stern, twórca pierwszego na świecie arytmometru wykonującego pięć podstawowych działań i pierwszy żydowski członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

eprasa.pl fd2222a256

Jednak przez cały XIX w., aż do 1940 r., Bródno było miejscem pochówku raczej mało zamożnych Żydów. Druga nekropolia warszawskiego judaizmu, na lewym brzegu Wisły, przy ul. Okopowej, która powstała w 1806 r., była bardziej prestiżowym adresem, co wiązało się z o wiele wyższymi opłatami pogrzebowymi.

Jak opisuje wystawa – na Bródnie dominowały groby skromne, co odpowiadało proletariackiej pozycji praskich Żydów. Ubóstwo Pragi jako „gorszej" części miasta powodowało też bolączkę w postaci polskich chuliganów, których bawiło obrzucanie konduktów pogrzebowych kamieniami lub zaczepianie Żydów odwiedzających cmentarz.

ZAPOMNIANE MIEJSCE

Wojna przyniosła kres egzystencji społeczności praskich Żydów. Niemcy wycięli cały cenny drzewostan cmentarza, a na jego terenie dokonywali egzekucji. Ostatni pochówek odbył się tu 8 grudnia 1947r., gdy złożono tu szczątki pomordowanych żydowskich ofiar odnalezione w różnych punktach Warszawy.

Jeszcze w 1948 r. – jak wskazują zachowane zdjęcia Leonarda Sempolińskiego – cmentarz mimo licznych dewastacji zachował się w przedwojennym kształcie. Katastrofa przyszła na początku lat 50. Stalinowskie władze Warszawy podjęły decyzję o likwidacji cmentarza i budowie na jego miejscu parku wypoczynku. Protesty społeczności żydowskiej i Żydowskiego Instytutu Historycznego nie odniosły skutku. Z użyciem m.in. niemieckich jeńców usunięto ze swoich miejsc ok. 14 tys. macew, które ułożono w nieładzie w tylnej części cmentarza. Na wystawie zaprezentowany jest list z 1951 r. Pawła Hoffmana, kierownika wydziału KC PZPR, do sekretarza KC Edwarda Ochaba w sprawie losów terenów po likwidacji żydowskiej nekropolii. Hoffman pisze: „Wydział Kultury uważa za absolutnie niecelowe wzniesienie jakiegokolwiek mauzoleum czy pomnika w parku, który ma powstać na tym terenie. […] uważa również za niecelowe wzniesienie »skromniejszego mauzoleum«, którą to ewentualność KW (komitet wojewódzki PZPR) gotów byłby wziąć pod uwagę".

Hoffman wykazał się absolutną obojętnością wobec losu macew i samej nekropolii, choć sam miał żydowskie korzenie. W 1960 r. cmentarz oficjalnie zlikwidowano, ale park w końcu nie powstał. Przez kolejne lata stał się zaśmieconym lasem, w którym walały się kości, a niestrzeżone zwały macew niszczały. Aż do wizyty Zygmunta Nissenbauma w 1983 r.

MIĘDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIĄ

Wystawa oprócz historii praskiej nekropolii opowiada też o stosunku judaizmu do pochówków. Plastycznym motywem ekspozycji są stojące na środku głównej sali szklane macewy – tablice ekspozycyjne. Autorzy pokazują miejsce, jakie zajmuje w religii żydowskiej obrzędowość funeralna, hen, od początku dziejów tej wspólnoty. Cmentarz w tradycji żydowskiej nazywany jest m.in. „bejt olam" (dom wieczności), „bejt chaim" (dom życia), a niekiedy „bejt kwarot" (dom grobów). Z wystawy dowiedzieć się można, że wbrew popularnemu poglądowi nazwa „kirkut" nie była nigdy używana przez polskich Żydów i nie pochodzi z języka jidysz. Jest to historyczne polskie określenie gwarowe rodem z Galicji, pochodzące od austriackiego, urzędniczego określenia „Kirchut" – przeznaczenia ziemi na cele wyznaniowe.

Obowiązek pochówku to nakaz religijny – Met Micwa. Każde zwłoki żydowskie powinny być pochowane przed zachodem słońca. Położenie kamienia na odwiedzanym grobie jest symbolicznym wzięciem udziału w wypełnianiu tego przykazania. Stąd najbardziej czczone groby cadyków czy świątobliwych rabinów pełne są małych kamyków. Tradycyjny judaizm odrzuca za to składanie kwiatów na grobach, choć w okresie międzywojnia rosnąca laicyzacja wielu Żydów powodowała przyjmowanie także tego zwyczaju.

Frapująca jest opowieść o roli w życiu gmin żydowskich stowarzyszeń pogrzebowych, które nosiły nazwę „Chewra Kadisza". Nazwa ta potem przeszła do potocznego języka Żydów jako synonim „kliki" czy „sitwy", ale przede wszystkim oznaczała i oznacza grupę zazwyczaj znamienitych członków gminy, którzy zajmowali się pochówkiem. Także w przypadku, gdy nie było żadnego krewnego zmarłego. „Chewra Kadisza" miała obowiązek wspierać również najbliższych zmarłego w okresie sziwy – trwającej tydzień żałoby, w trakcie której żałobnicy winni wyrzec się jakiejkolwiek aktywności. Stąd bractwa zobowiązane były zapewnić rodzinie zmarłego posiłki.

Wysoki status członków „Chewra Kadisza" wynikał z założenia, że opieka nad zmarłymi to „prawdziwie dobry uczynek". Zmarły nie może już podziękować ani odwdzięczyć się za ostatnią posługę, więc uznaje się, że jest to czyn wyjątkowo bezinteresowny i miły Bogu.

Autorzy wystawy zadali sobie trud, aby z przedwojennych gazet żydowskich wydobyć wiele notatek pokazujących rozmaite spory i konflikty związane z istnieniem cmentarza. Od skarg na gminnego dyrektora cmentarza na obojętność wobec obowiązku pochówku ubogich, do incydentów napadania przez polskich chuliganów z Pragi na kondukty pogrzebowe czy przewóz zwłok.

Gazeta „Unzer Ekspres" z 24 maja 1936 r. donosiła: „Intendent praskiego cmentarza żydowskiego, p. Mosze Posner, zwrócił się do 14 komisariatu policji w sprawie tego, że kilkakrotnie w ciągu ostatniego tygodnia wóz z żydowskimi nieboszczykami […] został napadnięty przez chuliganów". Jak wyjaśnia tekst – zdarzające się już wcześniej napady odbywały się w tym samym miejscu, przy ul. 11 Listopada. „W czwartek [wskutek napadu – przyp. aut.] furman Mordechaj Boćkowski zalał się krwią, chuliganie chcieli jeszcze zbezcześcić znajdujące się w karawanie zwłoki, lecz przeszkodziły im osoby postronne, chrześcijanie, którzy do tego nie dopuścili, Intendent domagał się więc wzmocnienia w tym rejonie patroli policji".

Niezwykle ciekawym rozdziałem żydowskiej tradycji funeralnej są niekiedy bardzo rozbudowane inskrypcje na macewach. W XIX w. pod wpływem romantyzmu niektóre z nich miały bardzo literacką treść. Na zakończenie zacytujmy napis z macewy „pani Rajcy, córki pana Mordechaja Hempla, żony Pana Szaula Kahane Spiry". Poetycka inskrypcja ułożona przez dzieci zmarłej głosi: „Młodaś jeszcze, Matko, gdy nie rozkwitły pąk dni twych ścięto, Matko nasza, a prawość Twa, czystość i dobroduszność na wieczność ukryte zostały. Na plecach twych, matko, śmierć położyła dłoń, przerwana twa szlachetna droga, ledwie rozpoczęta. Opierać się nie będziemy wyniesieniu twej duszy, która wesprze tron Boski w niebiosach!".

Ile jeszcze równie wzniosłych sentencji odkryć będzie można wśród tysięcy macew zwalonych na stos w najdalszym zakątku bródnowskiego cmentarza?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę można zwiedzać w pawilonie przy wejściu na cmentarz żydowski przy ul. św. Wincentego 15 od niedzieli do czwartku w godz. 10–16 oraz w piątki w godz. 10–14. W soboty z racji szabatu cmentarz jest nieczynny.

eprasa.pl fd2222a256

Zmęczony niedźwiedź

FOT. POOL/AP/EAST NEWS

Maciej Pieczyński

Gdyby gospodarka była dla Putina priorytetem, zapewne nie prowadziłby tak agresywnej polityki zagranicznej. Finansowo Rosja na podbojach traci

Władimir Putin zapewne w niedzielę po raz kolejny wygra wybory prezydenckie w Rosji. Z orędzia, które 1 marca wygłosił na forum Zgromadzenia Federalnego (połączonych izb parlamentu), najgłośniej do światowej opinii publicznej przebiły się międzykontynentalne rakiety o napędzie jądrowym. Prezentacja nowej broni została odczytana jako groźba pod adresem Zachodu. Wiele wskazuje jednak na to, że jest to groźba bez pokrycia. Chociaż Putinowi bardziej zależy na zyskach ideologicznych niż finansowych, to najprawdopodobniej zwyczajnie nie stać go na dalszą eskalację konfliktu w Europie.

W tym samym orędziu, w którym prezentował osiągnięcia rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego, Putin próbował pochwalić się również sukcesami gospodarczymi i społecznymi. Wielkiego wrażenia nie zrobił. Przypomniał, że za czasów jego rządów od 2000 r. inflacja spadła z 20,2 proc. do 2,5 proc, liczba ubogich zmniejszyła się z 40 mln do 20 mln, a średnia oczekiwana długość życia wydłużyła się o siedem lat. Jednak – jak zauważają analitycy Ośrodka Studiów Wschodnich – celowo pominął wskaźniki demonstrujące spadek lub stagnację w trakcie swojej trzeciej kadencji, w latach 2012–2017.

Putin zapowiedział, że tempo wzrostu gospodarczego osiągnie poziom powyżej średniej, a to za sprawą inwestycji w nowoczesne technologie. Większość analityków prognozuje jednak, że rosyjską gospodarkę w najbliższych latach czeka raczej stagnacja, ewentualnie niewielki wzrost. Prezydent obiecał, że w ciągu sześciu lat jego kolejnej kadencji liczba ubogich spadnie o połowę. Wydatki na pomoc dla rodzin mają wzrosnąć o 40 proc. Rosjanie mają też więcej zarabiać. Tymczasem w styczniu 2014 r. płace realne przestały rosnąć, a od listopada tego samego roku notowany jest ich spadek. To uderza w najbiedniejszych, ale również w klasę średnią, korzystającą z dóbr zagranicznych. Jak czytamy w raporcie OSW, w latach 2013–2015 w przeliczeniu na dolary płace Rosjan spadły aż o 40 proc. „Społeczeństwo wobec kryzysu przyjmuje postawę pasywnej adaptacji, koncentrując się na indywidualnych strategiach przetrwania. Dominującą strategią wszystkich klas społecznych jest poszukiwanie oszczędności poprzez ograniczenie wydatków i zmianę modelu konsumpcji" – pisze Jan Strzelecki w opracowaniu „Bolesna adaptacja. Społeczne skutki kryzysu w Rosji". Agresja na Ukrainie nie tylko nie rozwiązała problemów gospodarczych, lecz także je pogłębiła.

Anna Maria Dyner, kierownik programu „Europa Wschodnia" Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, nie ma wątpliwości: z gospodarczego punktu widzenia aneksja Krymu nie była opłacalna. – Kreml musi sporo zainwestować nie tylko w świadczenia socjalne dla mieszkańców, lecz także w infrastrukturę – mówi ekspertka PISM. Wobec blokady półwyspu przez Ukrainę Rosjanie muszą dostarczać na półwysep wodę i energię elektryczną. – Rozwiązaniem problemu ma być most przez Cieśninę Kerczeńską, którego budowa pochłania jednak spore środki.

eprasa.pl fd2222a256

W oficjalnych statystykach tego tak bardzo nie widać, ale Rosja mocno dotuje Krym – zaznacza Anna Maria Dyner. Dodaje jednak: – Niezależnie od kosztów, korzyści militarne z aneksji są bezcenne. Krym to dla Rosji niezatapialny lotniskowiec na Morzu Czarnym.

KRYM I DONBAS

Krym był turystyczną perłą Ukrainy. Od czasu aneksji wypoczynek na półwyspie jest utrudniony. – Infrastruktura turystyczna była na niskim poziomie jeszcze przed aneksją. Teraz do tego dochodzi kwestia bezpieczeństwa. Prywatni inwestorzy mogliby stworzyć turystyczną potęgę, ale w momencie, kiedy na Krym po aneksji właściwie przestali przyjeżdżać wczasowicze z Zachodu, to się po prostu nie opłaca – mówi Anna Maria Dyner.

– Po tym, jak jesienią 2015 r. jeden rosyjski samolot pasażerski rozbił się nad Synajem w wyniku zamachu terrorystycznego, a drugi wojskowy został zestrzelony przez Turków nad Syrią, Rosjanie byli zmuszeni zrezygnować ze swoich tradycyjnych miejsc wypoczynku w Turcji i Egipcie. Przerzucili się na Krym. Okazało się jednak, że ceny są wysokie, a standard niski, więc gdy tylko sytuacja międzynarodowa się unormowała, zaczęli wracać do dawnych kierunków. Krym na razie nie jest w stanie wykorzystać swojego potencjału turystycznego – komentuje Iwona Wiśniewska z Ośrodka Studiów Wschodnich.

– Jeśli chodzi o Donbas, to najkorzystniejsze zarówno dla Moskwy, jak i dla Kijowa jest utrzymanie status quo. Ani Rosji, ani Ukrainy nie stać na rewitalizację zniszczonego wojną regionu – mówi Anna Maria Dyner z PISM.

– Rosja nie jest zainteresowana inwestycjami w zrujnowany przemysł Donbasu, szczególnie że wiele zakładów tego regionu było konkurencją dla rosyjskich zakładów – komentuje Iwona Wiśniewska z Ośrodka Studiów Wschodnich. O ile Krym jest dla Rosji ważny ze wspomnianych względów militarnych i społecznych, jego przyłączenie entuzjastycznie zostało przyjęte przez Rosjan, a Kreml gotów jest zaakceptować związane z tym straty gospodarcze, o tyle Donbas to w zasadzie jeden wielki problem ekonomiczny, choć trudno oszacować rosyjskie wydatki na ten cel. Na razie Rosja dzieli się wydatkami socjalnymi z Ukrainą, która wciąż wypłaca emerytury i renty mieszkańcom okupowanych terenów.

Na rysunku rosyjskiego karykaturzysty Putin krzyczy przez megafon: „Ej, wy tam na zachodzie! Znieście te bardzo korzystne dla nas sankcje!". Zdaniem Anny Marii Dyner ten obrazek najtrafniej opisuje stosunek Kremla do podjętych przez państwa zachodnie działań. – Propaganda głosi, że Rosja świetnie sobie radzi, że uruchomiła własną produkcję mięsa, mleka itd. Częściowo to prawda. Faktem jednak jest, że brak inwestycji rosyjskich firm na Krymie wynika również z obaw przed sankcjami unijnymi – przyznaje Dyner. – Rosjanie jednak próbują obejść zachodnie sankcje. Poświęcili jeden z banków – Promsvyazbank – który będzie obsługiwać przemysł zbrojeniowy i tym samym ma skupić na sobie większość zachodnich restrykcji, odciążając pozostałe banki. Natomiast za kilka czy kilkanaście lat, zwłaszcza w sektorze wydobywczym, rezultaty sankcji związanych ze sprzedażą technologii podwójnego zastosowania będą mocno odczuwalne.

Zdaniem Iwony Wiśniewskiej z OSW sankcje nie tyle mocno zaszkodziły Rosji, ile były skutecznym sygnałem ostrzegawczych. – Putin był wyraźnie zaskoczony, że Europa mówiła jednym głosem w tej sprawie. Liczył raczej na rozgrywanie podziałów wewnątrz Unii – mówi ekspertka OSW. Pamiętamy, że Putin zapowiadał początkowo powstanie Noworosji od Odessy do Charkowa, czyli de facto podbój całej południowo-wschodniej Ukrainy. Zaskoczony reakcją Zachodu zatrzymał się tylko na Krymie i Donbasie. Skoro uznał, że dalszy podbój Ukrainy mógłby być kosztowny, to wątpliwe, by zdecydował się na geopolityczne samobójstwo, jakim byłaby otwarta agresja na któreś z państw UE czy NATO. – Pod względem gospodarczym sankcje nie byłyby tak dotkliwe, gdyby nie to, że zbiegły się w czasie ze spadkiem cen ropy naftowej – mówi Iwona Wiśniewska. Komentatorzy są zgodni: kondycja Rosji w największym stopniu zależy właśnie od światowych cen surowców.

JAKIE SZEŚĆ LAT?

Jak zatem będzie wyglądać kolejne sześć lat rządów Putina pod względem gospodarczym? – Kryzysu nie będzie. Zapewne niewielki wzrost gospodarczy. Ze względu na brak dostępu do zachodnich technologii Rosja będzie pogłębiała swój dystans względem gospodarczych potęg. Nie ma pomysłu, jak budować alternatywne wobec surowców czynniki wzrostu – ocenia Iwona Wiśniewska. – Jednak mimo swoich ograniczeń gospodarczych Rosja dysponować będzie wystarczającymi środkami, aby utrzymywać swoją armię w gotowości bojowej i próbować destabilizować Europę, zapewne głównie jednak za pomocą narzędzi wojny hybrydowej – dodaje.

Inne cele i inne środki przyświecają Rosji w konflikcie syryjskim. – Zaangażowanie w Syrii jest ważnym czynnikiem rosyjskiej rozgrywki o swoją pozycję na arenie międzynarodowej. Ponadto destabilizacja Bliskiego Wschodu oznaczała wzrost cen ropy, czyli zyski dla Rosji – ocenia ekspertka OSW.

Wiele zależy też od planowanych sankcji ze strony USA. Jeśli dotkną one przemysł zbrojeniowy i eksport, będzie to poważny cios dla rosyjskiej gospodarki. Putinowi mogą też zaszkodzić sankcje dla oligarchów, z których wsparciem od początków swoich rządów musiał się liczyć.

Rosyjskie koncerny naftowe i gazowe liczyły na kooperację z międzynarodowymi firmami przy eksploatacji szelfu arktycznego, który ma się stać źródłem surowców. Jeśli sankcje będą utrzymane, to może być realny problem dla rosyjskiej gospodarki, uzależnionej przecież od wydobycia. – Najważniejszą konsekwencją sankcji jest odcięcie Federacji Rosyjskiej od kapitału zagranicznego. Wewnętrzne źródła wzrostu właściwie się wyczerpały. Gdyby sankcji nie było, w sytuacji spadku cen ropy można byłoby ratować sytuację poprzez pożyczki w zachodnich bankach – mówi dr Ernest Wyciszkiewicz, dyrektor Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia.

Komplikuje się też sytuacja Rosji na arenie międzynarodowej. Szantaż gazowy nie zawsze jest skuteczny. Ze wspólnego z państwową spółką Rosnieft przedsięwzięcia w przededniu wyborów prezydenckich wycofał się amerykański koncern ExxonMobil. Budowa Nord Stream 2 nie jest jeszcze przesądzona. W tej sprawie trwa spór między Komisją Europejską a Parlamentem Europejskim. Gazprom z kolei przegrał z ukraińskim Naftohazem sprawę przed Trybunałem Arbitrażowym w Sztokholmie. Rosja najpierw zgodziła się na arbitraż, teraz podważa jego niekorzystny dla siebie wynik. – To strzał w stopę – komentuje dr Wyciszkiewicz. – Rosja traci w ten sposób powagę. Niezależnie od sankcji, które wiele firm próbuje obejść, coraz więcej inwestorów będzie po prostu traktować Rosję jako niepoważnego partnera – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

Francuska republika

Masoni mają w dalszym ciągu ogromny wpływ na prawo tworzone we Francji. Nic dziwnego, skoro z masonerią powiązani są najważniejsi politycy, a i prezydent Francji zdaje się mieć do wolnomularstwa wielkie upodobanie

Olivier Bault

Macron i wolnomularze" – takim tytułem redakcja prawicowego tygodnika „Valeurs Actuelles" opatrzyła wydanie z początku lipca ub.r. Podtytuł: „Jego siatki kontaktów. Ich wpływ. Czego od niego oczekują". Zdjęcie na okładce przedstawiało nowego francuskiego prezydenta w trakcie uroczystości zorganizowanej zaraz po jego zwycięstwie wyborczym – na tle piramidy w paryskim Luwrze. W artykule przewodnim opiniotwórczy tygodnik zachęcał czytelników obietnicą, że dowiedzą się na jego łamach o tym, jak masoneria francuska odegrała kluczową rolę w zwycięstwie Macrona i jak zamierza korzystać z jego prezydentury, aby utrzymywać własne wpływy w społeczeństwie francuskim.

Prawdopodobnie Emmanuel Macron nie jest wtajemniczony w sztukę masońską, choć co innego twierdzi włoski Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Włoch Gioele Magaldi. Francuski prezydent ma jednak najwyraźniej duże upodobanie do symboliki masońskiej. Piramida w Luwrze do tej symboliki należy, podobnie jak jego uroczyste przejście z ciemności do światła, skąd przemówił do swoich zwolenników. Pierwszy wywiad telewizyjny z prezydentem Macronem nadawany z prezydenckiego biura w październiku ub.r. odbywał się na tle Marianny namalowanej przez Amerykanina Sheparda Faireya po zamachach w Paryżu z listopada 2015 r. Pod wizerunkiem Marianny będącej symbolem Republiki Francuskiej, otoczonym hasłem „Wolność – Równość – Braterstwo", na niebiesko-biało-czerwonym tle, widnieje charakterystyczny masoński pentagram. Przykłady można by mnożyć. Nawet oficjalny portret nowego prezydenta nie jest wolny od masońskiej symboliki.

W ŚWIĄTYNI MASONÓW

To, że prezydent Francji cieszy się poparciem lóż masońskich, nie jest tajemnicą: przed drugą turą wyborów prezydenckich większość francuskich obediencji masońskich oficjalnie nawoływała do głosowania na Macrona przeciwko Marine Le Pen. Nic dziwnego, były bankier Rothschildów i były uczestnik spotkań Grupy Bilderberg podziela większość poglądów masonerii. Lewicowo-liberalny Macron, jeszcze jako socjalistyczny minister gospodarki, przemysłu i cyfryzacji, w czerwcu 2016 r. w paryskiej świątyni Groussier Wielkiego Wschodu Francji (GODF) referował temat: „Czy globalizacja może być synonimem postępu?". Przed wyborami prezydenckimi z 2012 r. kandydat François Hollande także odwiedził braci z Wielkiego Wschodu, więc pojawienie się kandydata

masońska

na prezydenta w 2016 r. przed członkami największej obediencji francuskiej (ponad 52 tys. członków) nie było nowością. Wizyta ministra w świątyni masońskiej nie jest także we Francji czymś wyjątkowym.

W listopadzie ub.r. obecny minister edukacji Jean-Michel Blanquer był gościem Wielkiej Loży Francji (GLDF), liczącej ok. 35 tys. braci. Pani sekretarz stanu ds. równości kobiet i mężczyzn oraz wojująca feministka Marlène Schiappa otrzymała pod koniec listopada nagrodę laickości GODF. Jak we wspomnianym powyżej lipcowym numerze wykazał tygodnik „Valeurs Actuelle", sama pani minister jest „wtajemniczona". Wydała ją inna siostra masońska, upominając ją na Twitterze masońskim językiem po tym, jak Schiappa napisała, że należy dostosować politykę równości do specyfiki każdego obszaru Francji. Panią minister kultury Françoise Nyssen wydał także inny mason należący do GODF: skrajny lewicowiec Jean-Luc Mélenchon namaszczony przez francuskie media mainstreamowe na głównego opozycjonistę Macrona. Nie każdy wysoko postawiony wolnomularz się ukrywa. Nie jest tajemnicą, że obecny minister spraw zagranicznych Jean-Yves Le Drian należy do Wielkiego Wschodu Francji (GODF). Minister spraw wewnętrznych i mer Lyonu Gérard Collomb już dawno ujawnił się sam: należy do tej samej masońskiej obediencji co Le Drian. We francuskim MSW czuje się jak ryba w wodzie, gdyż to w tym ministerstwie braci masońskich jest najwięcej. Duży odsetek masonów jest również we francuskiej policji. Według danych przytoczonych w książce „Le vrai pouvoir des Francs-Maçons" („Rzeczywista władza wolnomularzy") przez dziennikarza tygodnika „L'Express" specjalizującego się w tej tematyce, François Kocha, ok. 20 proc. oficerów policji należy do lóż masońskich.

Obecność masonów w rządzie nie jest we Francji niczym nadzwyczajnym. Poprzedni socjalistyczny premier Manuel Valls sam był masonem. Mason Jean-Jacques Urvoas, który był ministrem sprawiedliwości w rządzie Vallsa, ma dziś kłopoty, ponieważ ujawniono, że poinformował innego masona będącego wtedy jednym z liderów centroprawicowej opozycji, Thierry'ego Solère, o prowadzonym przeciwko niemu śledztwie. Po wyborach Solère przeszedł na stronę Macrona, podobnie jak dwóch innych czołowych liderów centroprawicy: Xavier Bertrand i Christian Estrosi. Ci dwaj mają cechę wspólną: wygrali wybory regionalne w 2015 r. przeciwko Frontowi Narodowemu z poparciem socjalistów i są również masonami. Estrosi sam się ujawnił, a Xavier Bertrand został do tego przymuszony, gdy François Koch napisał, że jest w posiadaniu jego karty wolnomularza. Było to w 2008 r., kiedy

Piramida w Luwrze, na tle której Emmanuel Macron przemawiał do swoich zwolenników, należy do masońskiej symboliki

FOT. PATRICK AVENTURIER/GETTY IMAGES

Bertrand był ministrem pracy za prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego.

SIATKA WPŁYWU

Jak widać, masońska solidarność międzypartyjna funkcjonuje w kręgach władzy nad Sekwaną. Nad Rodanem również. Obecny minister spraw wewnętrznych wie coś na ten temat. Jako socjalistyczny mer Lyonu i mason zatrudniający wielu masonów na najwyższych szczeblach administracji miejskiej został w 2001 r. wybrany na przewodniczącego aglomeracji skupiającej Lyon i sąsiednie miejscowości, mimo że to prawica miała większość w radzie aglomeracji. Było to możliwe dzięki skutecznemu lobbowaniu u braci masońskich. Podobnie w 2008 r. obecny przewodniczący senatu Gérard Larcher wygrał prawybory centroprawicy na to stanowisko przeciwko murowanemu faworytowi – byłemu premierowi Jeanowi-Pierre'owi Raffarinowi. Larcher raczej nie jest wolnomularzem, ale od dawna dba o dobre relacje z lożami i zadbał także o to, aby w jego gabinecie politycznym znaleźli się masoni najwyższego szczebla. Ponieważ centroprawica posiada większość we francuskim senacie, wygrana senackich prawyborów była gwarancją, że Larcher dostanie stanowisko przewodniczącego, które zajmuje do dziś. We francuskim senacie liczącym 348 członków zasiada prawdopodobnie ok. 80 masonów.

To, że wolnomularstwo potrafi działać jak siatka wpływu, wynika m.in. z istnienia bractw skupiających członków różnych lóż i obediencji pracujących np. w danej branży. Masońskie bractwo w sektorze budownictwa było źródłem wielu afer związanych z ustawionymi przetargami i bywało krytykowane przez samych wielkich mistrzów masońskich jako niezgodne z duchem masonerii. W parlamencie francuskim tzw. bractwo parlamentarne (fr. fraternelle parlementaire) liczy między 300 a 400 członków, w tym – choć szacunki są różne – ok. 100 czynnych parlamentarzystów w obu izbach. Dla porównania Zgromadzenie Narodowe liczy 577 posłów, a senat 348 senatorów. Obecny przewodniczący bractwa parlamentarnego to Christophe-André Frassa z centroprawicowej partii LR (Republikanie). Jego poprzednik, Christophe Bataille, należał do Partii Socjalistycznej.

„Zaletą" takiego bractwa jest to, że pozwala bardzo skutecznie lobbować jednocześnie wewnątrz wszystkich grup parlamentarnych i przeforsowywać ustawy, które były wcześniej omawiane w tajemnicy w lożach masońskich. Jak niedawno chwaliła się Wielka Loża Francji (GLDF), ustawa legalizująca pigułki antykoncepcyjne we Francji była dziełem masonerii, a w szczególności wielkiego mistrza tej właśnie obediencji Pierre'a Simona, zmarłego w 2008 r. Podobnie było z ustawą aborcyjną z 1975 r. Ustawy te nie były wyłącznym dziełem masonów, ale ich projekty były omawiane w tajemnicy w lożach masońskich, zanim trafiły do francuskiego parlamentu. Podobnie było z ustawą o „homomałżeństwach" przeforsowaną przez prezydenta François Hollande'a w czasie, gdy rząd francuski liczył szczególnie wielu masonów. Sama pani minister sprawiedliwości Christiane Taubira, która jest autorem francuskiej ustawy o „homomałżeństwach" z 2013 r., wywodzi się z Wielkiej Loży Żeńskiej Francji (GLFF).

Aby wiedzieć, w którym kierunku podąży dalej Francja, warto zatem interesować się masońskimi ideałami i celami, a nie badaniami opinii publicznej. Były wolnomularz nawrócony na katolicyzm Serge Abad-Gallardo, który spędził 24 lata w obediencji Prawo Ludzkie (DH) i osiągnął tam 18. stopień wtajemniczenia, wyjaśniał w skrócie na chrześcijańskim portalu Aleteia: „Ustawy legalizujące aborcję, eutanazję lub homomałżeństwa są zgodne z masońskimi ideałami emancypacji indywidualnego człowieka, który jest dla siebie jedynym punktem odniesienia i sam sobie ustanawia granicę moralną". Tłumaczy dalej: „Życie jest tylko materiałem, człowiek musi sam siebie budować; wszystko, co jest możliwe dla człowieka, powinno być dozwolone. Moralność wynika z umowy społecznej, a nie z naturalnego prawa, które otrzymaliśmy od Boga". W dokumencie nakręconym przez francuski portal Réinformation TV Serge Abad-Gallardo idzie jeszcze dalej: ujawnia kody, symbole i rytuały masońskie natury wprost satanistycznej, choć większość wolnomularzy może nie być tego świadoma.

Nowe bractwo pod nazwą Cercle Camille Desmoulins skupia „masońskich przyjaciół Emmanuela Macrona, prezydenta Republiki Francuskiej". Wśród setek członków tego braterstwa wielu należy do jego partii LREM (Republika w Drodze). Będą mogli wykazać się swoją skutecznością przy rewizji ustaw bioetycznych zaplanowanej na bieżący rok, gdyż program francuskiej masonerii przewiduje jako kolejne kroki ku budowaniu lepszego świata: in vitro dla lesbijek, matki zastępcze dla gejów i eutanazję. W liście otwartym, opublikowanym pod koniec lutego, już 156 posłów – należących przeważnie do proprezydenckiej większości parlamentarnej – domagało się pełnej legalizacji eutanazji.

WPŁYW SŁABNIE?

Sami masoni uspokajają, że pomimo stale rosnącej liczby braci masonów we Francji (obecnie jest ich ok. 150–200 tys.) ich wpływy są dużo mniejsze niż za czasów III Republiki, zwłaszcza w latach 1870–1910, kiedy to masoneria była źródłem najważniejszych ustaw. Przykładem oddziaływania wolnomularstwa są ustawy, na mocy których „demokratyczna" Francja zamknęła przymusowo w pierwszych latach XX w. wszystkie szkoły katolickie i wszystkie zakony na terytorium kraju. Ustawa z 1905 r., na mocy której francuska Rada Stanu, czyli francuski najwyższy sąd administracyjny (nomen omen będący pod bezpośrednią kontrolą rządu), nakazała kilka miesięcy temu usunąć krzyż z pomnika Jana Pawła II w Ploërmel, jest także dziełem masonerii.

W tamtym czasie nikt nie miał wątpliwości, że to masońskie bractwo parlamentarne kształtuje prawo. Dzisiaj sytuacja pod tym względem jest we Francji na pewno lepsza. Jednak czy aby na pewno wszystko działa zgodnie z zasadami demokracji i rządów prawa, o których mowa w art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej? Co pan o tym sądzi, panie Timmermans?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Tajemnica wolnomularska powinna być surowo przestrzegana przez wszystkich braci. Komunikacja z prasą świecką [nie masońską – przyp. red.] dot. wolnomularskiej rzeczywistości powinna być zakazana, a braci z branży dziennikarskiej prosi się o to, aby kierowali się przede wszystkim interesami zakonu i wstrzymywali się od publikowania czegokolwiek na temat tego, co się robi lub mówi w loży, oraz od komentowania czynów czy słów wolnomularzy w ramach ich działalności wolnomularskiej".

(Fragment art. II Konstytucji Wielkiego Wschodu Francji)

eprasa.pl fd2222a256

FOT. EMMANUEL DUNAND/AFP/EAST NEWS

PIERWSZY MANDAT ZA SEKSIZM

W Brukseli po raz pierwszy ukarano człowieka za seksizm w miejscu publicznym. Pozwala na to prawo wprowadzone w 2014 r. Grzywnę 3 tys. euro ma zapłacić kierowca, którego w 2016 r. zatrzymał patrol policji. Obraził funkcjonariuszkę, odnosząc się do tego, że jest kobietą. – Zwykle ludzie aresztowani obrażają policjantów i im grożą, ale obciążanie personalne funkcjonariuszki z powodu jej płci było sprawą wyjątkową – powiedział prokurator cytowany przez „The Guardian". No cóż, w Belgii można obrażać policjantów, tylko nie wolno wspominać o płci.

SPOKOJNIE, JESTEŚMY LEKARZAMI

Chyba nie ma takiego kraju, w którym dobrze jest być pacjentem. Są za to na pewno kraje, w których pacjentem lepiej nie być. Przykład można znaleźć na Czarnym Lądzie. Jak poinformowało BBC, w kenijskim szpitalu w Nairobi lekarze dopiero po kilku godzinach zabiegu zorientowali się, że przed nimi na stole z otwartą czaszką leży nie ten pacjent. Okazało się, że zaglądali do głowy pacjenta, który trafił do szpitala z powodu obrzęku i nie wymagał interwencji chirurgicznej. Po tym incydencie zawieszono neurochirurga, anestezjologa i dwie pielęgniarki – tymczasem oni wskazywali, że do pomyłki doszło przez zbyt małą liczbę pracowników i sal.

CHIŃSKI PROBLEM ZIMBABWE

Minister zdrowia Zimbabwe ujawnił nieznany problem, który nie pomaga temu krajowi zmagać się z zarażeniami wirusem HIV. W swoim przemówieniu w stolicy kraju zaapelował do lokalnych firm, by zajęły się produkcją prezerwatyw. David Parirenyatwa zauważył bowiem, że dziś ten produkt trafia do kraju głównie z Chin i niektórzy mężczyźni narzekają, iż te prezerwatywy są za małe.

ZA GŁOŚNE KOŚCIOŁY

W Rwandzie zamknięto blisko 700 kościołów (i jeden meczet). Zdaniem władz tego kraju świątynie – z których większość to obiekty ruchu zielonoświątkowego – nie spełniały standardów budowlanych oraz emitowały nadmierny hałas. Kaznodzieje używają bowiem systemów nagłaśniających, by przyciągać wiernych.

ROSJA Z WŁASNYM INTERNETEM

Doradca prezydenta Rosji ds. Internetu poinformował, że kraj jest już technicznie gotowy, by odłączyć się od światowej sieci i korzystać tylko z własnej. Nie wiadomo za to, czy są na to już gotowi rosyjscy internauci. Prezydencki urzędnik uprzedził, że kłopoty mogą mieć w przyszłości ci, którzy przechowują dane poza granicami kraju. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O kosztach arogancji

Włoski obóz postępu i jego elity znajdują się w stanie głębokiej traumy. Naród w wyborach parlamentarnych pokazał im środkowy palec. I to na przekór nachalnemu wsparciu czołowych włoskich mediów, pani kanclerz i pana Junckera.

Partia Demokratyczna, która cztery lata temu w wyborach do PE otrzymała 40 proc. głosów, teraz uciułała ich zaledwie 19. Tak źle z włoską lewicą nie było nigdy. Pomijając Toskanię i okolice Bolonii, znikła z mapy politycznej Italii. Szok jest tak potężny, bo klęska spadła na ludzi przekonanych o swojej intelektualnej i moralnej wyższości, głęboko wierzących, że są darem Pana Boga dla Włochów, jeśli nie dla całej ludzkości.

„Oto jak nas biednych ludzi rzeczywistość ze snu budzi" – pisał Boy-Żeleński. Niestety, klęska nie podziałała otrzeźwiająco na postępowców, ich sponsorów i akolitów. Z najwyższym zdumieniem słuchałem oraz czytałem, jak i czym tłumaczyli porażkę. Wyszło bowiem na to, że naród opętany demonami populizmu i faszyzmu w akcie zbiorowego szaleństwa wybrał nie tych, co trzeba. Dziennik „La Repubblica", intelektualne zaplecze włoskiej lewicy – ogłosił, że Włosi rezygnując ze światłego przewodnictwa obozu postępu, zapisali Italię do Grupy Wyszehradzkiej, czyli podpisali pakt z diabłem.

Jedną, kto wie czy nie główną przyczyną klęski było to, że postępowcy zamiast wsłuchać się w to, co Włosi mówią i czują, oddali się swemu ulubionemu zajęciu: pouczaniu i wychowywaniu narodu, organizowaniu mu życia społecznego ustawami, które poparcia społecznego nie miały. Co gorsza, w kampanii wyborczej progresiści poszli na wojnę z nieistniejącym faszyzmem. Naród wyjrzał przez okno, zajrzał do portfela i wystawił arogantom rachunek przy urnach. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl fd2222a256

FOT. ALAIN PITTON/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Z Marionem Smithem, z amerykańskiej Fundacji Pamięci Ofiar Komunizmu
rozmawia Piotr Włoczyk

Świat potrzebuje muzeum komunizmu

PIOTR WŁOCZYK: 44 proc. Amerykanów poniżej 35. roku wolałoby żyć w kraju socjalistycznym, z kolei za kapitalizmem opowiada się tylko 42 proc. – to wyniki sondażu zamówionego i opublikowanego niedawno przez pana fundację. Czy ten sondaż na pewno został dobrze przeprowadzony?

MARION SMITH: Niestety, to nie jest błąd, ponieważ to już drugi taki sondaż. Przeprowadziła go zresztą poważna instytucja – YouGov. Gdy rok wcześniej zapytaliśmy o to samo młodych Amerykanów, wyniki były bardzo podobne.

W USA gorzej jest dziś być antykomunistą niż komunistą. Stąd tak wielu młodych ludzi podpisuje się pod wezwaniem Berniego Sandersa do przebudowy USA. Według sondaży to dziś najbardziej popularny amerykański polityk! Tymczasem Bernie Sanders przez całą zimną wojnę prezentował stanowisko prosowieckie, a potem bronił Hugona Cháveza, który zrujnował Wenezuelę. I nigdy za to nie przeprosił!

Dlaczego to tak wygląda w kraju, który wygrał zimną wojnę?

Na początku lat 90. zbyt wielu Amerykanów – od dziennikarzy przez polityków aż do nauczycieli akademickich – stwierdziło, że nie ma się już co zajmować komunizmem i że to zamknięty rozdział naszej historii. To był błąd i teraz faktycznie paradoksem jest to, że młodzi obywatele państwa, które poświęciło więcej krwi i pieniędzy na walkę z międzynarodowym komunizmem niż jakikolwiek inny kraj na świecie, tak słabo to wszystko rozumieją. W ciągu jednego pokolenia Amerykanie w znacznej mierze zapomnieli, o co i z czym walczyli.

Myślę, że ci młodzi ludzie nie dostrzegają, co stoi za socjalizmem. Zresztą kapitalizmu chyba też nie do końca rozumieją. W grę wchodzą emocje, ale winne są nie tylko Hollywood i kultura masowa. Młodzi Amerykanie nie są w naszych szkołach porządnie uczeni historii XX w., a przekazywanie wiedzy na temat reżimów komunistycznych wygląda wręcz fatalnie. Ponadto zaś słyszą z wielu stron miażdżącą krytykę własnego kraju i naszego systemu wolności gospodarczej.

Od kogo to słyszą? Z mediów?

Słyszą to w naszych szkołach średnich i na studiach. Edukacja skupia się na krytykowaniu naszego systemu, równocześnie nie informując młodych ludzi o prawdziwym obliczu alternatywy, czyli socjalizmu.

Co robicie, żeby zmienić tę sytuację?

Dwa lata temu moja fundacja rozpoczęła realizację projektu skierowanego do nauczycieli szkół średnich. Ściągamy do Waszyngtonu nauczycieli historii z całego kraju na trzydniowe szkolenia. Spotykają się oni przy tej okazji ze świadkami historii, z najlepszymi specjalistami i uczą się, jak właściwie

eprasa.pl fd2222a256

opowiadać swoim uczniom o istocie komunizmu, o starciu wolnego świata z tym nieludzkim systemem. Wzorowaliśmy się tu zresztą na projekcie realizowanym przez waszyngtońskie Muzeum Holokaustu. Niestety, nigdy nie doszło u nas do potępienia komunizmu w taki sposób, w jaki potępione zostały nazizm i Holokaust. W każdym społeczeństwie znajdzie się margines, który neguje Zagładę, ale generalnie Amerykanie wiedzą, czym był Holokaust i jak potworna była to zbrodnia. Nasi żydowscy przyjaciele zrobili kawał dobrej roboty z akcją informacyjną na temat Holokaustu wśród młodych Amerykanów. Zostaliśmy uczuleni, żeby bardzo rozważnie podchodzić do tego tematu, by coś takiego już nigdy się nie powtórzyło. Niestety, tego samego nie można powiedzieć na temat stosunku młodych Amerykanów do komunizmu. To się musi zmienić.

Co młodzi Amerykanie słyszą dziś od swoich nauczycieli na temat komunizmu?

Zacznijmy od tego, że jedną z najbardziej popularnych książek w szkołach średnich jest „Ludowa historia Stanów Zjednoczonych" autorstwa Howarda Zinna.

Przypomnijmy czytelnikom: to amerykański lewicowy historyk, który zasłynął działalnością w amerykańskim ruchu na rzecz rozbrojenia i bardzo ostrą krytyką interwencji w Wietnamie.

To przecież marksistowska wersja historii! Nic dziwnego, że młodzi Amerykanie, czytając takie książki, patrzą przychylnym okiem na socjalizm. O Wietnamie generalnie opowiada się w naszych szkołach właśnie z perspektywy Howarda Zinna: była to imperialistyczna wojna. I kropka.

A czego dowiadują się o Stalinie?

O Stalinie raczej się nie mówi w naszych szkołach w kontekście mordowania milionów własnych obywateli, zamienianiu ich w niewolników, o podboju znacznej części Europy i Azji oraz zabijaniu mieszkańców tych ziem, lecz mówi się o nim jako o naszym sojuszniku przeciw Hitlerowi w czasie II wojny światowej. To poniekąd tłumaczy, dlaczego mamy w USA parki, w których stawia się popiersia Stalina bez żadnej adnotacji na temat jego zbrodni… Prawie nikt u nas nie wie, że było coś takiego jak pakt Ribbentrop-Mołotow i w związku z tym Hitler oraz Stalin współpracowali ze sobą ponad półtora roku.

Im mniej wiemy o socjalizmie i komunizmie, tym łatwiej będziemy ulegali namowom różnych skrajnych lewicowców, którzy będą spychać naszą politykę na tory, które – w moim odczuciu – są antyamerykańskie. Dlatego tak stawiamy na edukację, na przypominanie młodym Amerykanom o walce z komunizmem, która świadczy o naszym patriotyzmie. Ja jestem antykomunistą nie dlatego, że lubię nienawidzić komunistów, ale właśnie dlatego, że jestem amerykańskim patriotą.

Pańska fundacja stara się zbudować w Waszyngtonie wielkie Międzynarodowe Muzeum Komunizmu. Jak idzie realizacja tego projektu?

Nasza fundacja powstała w 1994 r. na mocy decyzji Kongresu USA. Co ważne, głosowały za tym obydwie partie. Dlatego walczymy o to, by antykomunizm nie kojarzył się z republikanami czy z demokratami, tylko aby była to sprawa wspólna dla nas wszystkich.

Ciężko pracujemy nad powołaniem do życia muzeum, zbieramy na to fundusze. Na zbudowanie Muzeum Holokaustu potrzeba było 20 lat, więc otwarcie naszego muzeum na pewno nie jest kwestią kilku najbliższych lat.

Komunizm to 40 krajów, 100 lat i ponad 100 mln ofiar. To wielki temat, który musi znaleźć miejsce w amerykańskiej świadomości. USA stały się miejscem schronienia dla milionów ludzi, którzy uciekli przed komunizmem. Od Etiopii przez Wietnam, Kubę aż do Polski. Amerykanie przez całe dekady żyli walką z tym nieludzkim systemem, ale młode pokolenie o tym nie pamięta. Trzeba to szybko zmienić.

Jak wygląda z tej perspektywy prezydentura Donalda Trumpa? Barack Obama nie był chyba jakoś specjalnie wrażliwy na te kwestie.

7 listopada 2017 r., w 100. rocznicę wybuchu rewolucji październikowej, prezydent Donald Trump ogłosił ten dzień Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Komunizmu. To pierwsza taka inicjatywa w historii USA. To silny sygnał ze strony prezydenta i podkreślenie, że uważa to za istotną sprawę. Co ważne, zostało to ogłoszone w momencie, gdy prezydent był w Korei Południowej, dzień przed jego wylotem do komunistycznych Chin. W przesłaniu mowa była o tych, którzy cierpieli, a także o tych, którzy wciąż cierpią. To był ważny sygnał, bo kiedy w TV krytykuję Hitlera i dokonanie Holokaustu, nie wiąże się to z żadnymi negatywnymi konsekwencjami dla naszej fundacji. Jednak kiedy w tych samych mediach krytykuję chińską partię komunistyczną za tłumienie dyskusji na temat masakry na placu Tiananmen, to spotykają nas za to cyberataki… Krytykowanie komunizmu nawet dziś niesie więc ze sobą pewne ryzyko.

Ostatnio odwiedził pan Polskę, spotkał się pan u nas z przedstawicielami IPN, m.in. z prof. Krzysztofem Szwagrzykiem. Co może wyniknąć z tej współpracy?

Polska to przykład sukcesu – jak wyrwać swój kraj z komunizmu. Macie wielu świetnych historyków, na pewno to będzie owocna współpraca. Jedno mogę powiedzieć już teraz: bardzo zależałoby mi, żeby opowiedzieć Amerykanom, jak Polacy zatrzymali w 1920 r. bolszewików pod Warszawą.

Zakończmy czymś pozytywnym. Może powinniśmy się jednak cieszyć, że młodzi Amerykanie, choć w znacznej mierze pozytywnie patrzą na socjalizm, komunizm popierają tylko w śladowym procencie?

Przecież już Lenin powiedział, że celem socjalizmu jest zbudowanie komunizmu. Te pojęcia to genetyczne bliźniaki. Tutaj nie ma co dzielić włosa na czworo. Czym był Związek Sowiecki? Związkiem socjalistycznym. Zresztą nie musimy szukać tak daleko. Spójrzmy na Wenezuelę.

Hugo Chávez był socjalistą. Zamienił kraj z wielkim potencjałem w ruinę. Problem z socjalistami jest taki, że głosuje się na nich tylko jeden raz. Potem robią już z głosami, co chcą. Teraz w Wenezueli wybory zamieniono w farsę, reżim aresztuje opozycjonistów. Przeciętny Wenezuelczyk stracił niemal 10 kg wagi z powodu permanentnego kryzysu gospodarczego. Tak właśnie wygląda rewolucja, którą chwalił Bernie Sanders!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Marion Smith** – amerykański ekspert ds. stosunków międzynarodowych, dyrektor Fundacji Pamięci Ofiar Komunizmu, budującej w Waszyngtonie Międzynarodowe Muzeum Komunizmu.*

eprasa.pl fd2222a256

Tomasz Wróblewski

Wojna, na którą czeka świat

„Wojny celne są dobre i łatwe do wygrania" – zanim gazety zdążyły je wydrukować, słowa Trumpa o wojnie celnej stanowiły już historię amerykańskiej polityki gospodarczej

FOT. KYODO/EAST NEWS

Kto wie, czy to zdanie nie okaże się kiedyś memento następnych 70 lat. Co do samego meritum i wygrywania takich wojen Trump ma sporo racji. Faktycznie, kraj, który zmaga się z ogromnym deficytem w handlu, z niemal całym światem, ma znacznie więcej opcji i swobody w nakładaniu sankcji, bez obaw, że zostanie pokonany na innym froncie. Problem w tym, że Trump wybrał najgorszą z możliwych strategii. Wojnę totalną, jednocześnie przeciwko wszystkim i wszędzie w jednym czasie.

Amerykańska gospodarka jest dziś w 30 proc. uzależniona od importu z Azji i Europy. Znacznie bardziej nawet niż państwa nieposiadające własnych surowców naturalnych czy silnego rolnictwa, takie jak Japonia czy Korea. Jak to możliwe, że kraj bogaty w gaz, ropę, złoto, miedź, z jednymi z największych żyznych areałów rolnych na świecie i niepowtarzalnym zapleczem intelektualnym, najlepszymi uczelniami, najbardziej innowacyjnymi firmami staje się równocześnie gospodarczo zależny niczym państewka karaibskie?

PRZEGRANY POKÓJ

Rzecz zaczyna się w 1947 r. Pamiętają państwo plan Marshalla. Jedno z najgenialniejszych posunięć w historii podbojów gospodarczych świata. Stany Zjednoczone, z myślą o pokojowym rozgromieniu Związku Sowieckiego i zahamowaniu fali komunizmu, postanawiają wykorzystać swoją silną oraz stabilną walutę jako lewar dla rozwoju gospodarczego całego antykomunistycznego świata. Każdemu, kto zejdzie z drogi agresji i podbojów w imię ideologii nienawiści, Ameryka gwarantowała nie tylko dotacje, lecz także przede wszystkim bezpieczeństwo monetarne i szeroko otwarte rynki zbytu. Innymi słowy, Ameryka przekupiła pół świata, żeby doprowadzić do bankructwa komunistyczne reżimy. Eksperyment się powiódł. Ameryka wygrała zimną wojnę, ale dalej zachowywała się tak, jakby ona wciąż trwała. Dalej płaciła za bezpieczeństwo w Europie, pozwalając Niemcom przejąć kontrolę nad europejską gospodarką, a Francuzom czy Włochom prowadzić życie rentiera. Amerykański podatnik wciąż wspierał ulgami podatkowymi ekspansję własnych korporacji do Azji i Ameryki Południowej, gdzie mógł znaleźć tanią siłę roboczą. Ameryka dalej utrzymywała niskie cła dla dawnych i nowych sojuszników, w przekonaniu, że inni odwdzięczą się tym samym.

Tymczasem Europa w ramach wielkiego rynkowego projektu zamknęła swoje granice na tańsze produkty rolne z krajów Trzeciego Świata. Daleka Azja, od Chin do Korei, obudowała się twardymi regulacjami, co pozwalało jej korzystać z amerykańskiego rynku, niewiele dając z siebie. Kiedy

eprasa.pl fd2222a256

okazało się, że boisko nie jest całkiem równe, za późno było już na prostą korektę. Korporacje pokochały globalizację. To one były głównym pośrednikiem i beneficjentem przepływu dobrobytu z Zachodu na Wschód. Wszyscy prezydenci od Billa Clintona wyrzekali na nierówną grę, ale nikt nie odważył się postawić korporacyjnemu lobby. Prezydent Trump może i jest człowiekiem z przypadku, ale wybór antyglobalisty do Białego Domu nie był przypadkowy. Nie przypadkiem też ludzie wybrali go zamiast największego lewicowego globalisty, jakiego Ameryka kiedykolwiek miała, czyli Baraka Obamy. Ludzie żądni miejsc pracy, odzyskania dobrze płatnych etatów, nie chcieli się już dalej dzielić.

Tyle ekonomia, a teraz strategia. Wojny celne, tak jak wszystkie inne wojny, wygrywa się nie dlatego, że są słuszne, ale dla tego, że są mądre. Potrzebują strategii i wpływowych sojuszników. Moment musi być precyzyjnie wybrany, tak żeby sankcje nałożone na Chiny zdobyły serca Japończyków czy Koreańczyków. Prezydent mógł wykorzystać brexit do rozgrywania konfliktu na linii Londyn – Bruksela. Zapewnić Brytyjczykom dostęp do taniej żywności i zwolnić ich z ceł na nowoczesne technologie czy usługi finansowe, żeby pogrążyć Niemcy. Tak buduje się przymierza i wymusza upadek.

Trump wybrał najbardziej toporną ze strategii i w najgorszym możliwym segmencie gospodarki. Nakładając sztywne cła dla całego świata na import stali (25 proc.) i aluminium (10 proc.), nie tylko zachęcił wszystkich, żeby się sprzymierzyli przeciwko Ameryce, lecz także uderzył we własną gospodarkę i miejsca pracy.

STAL

Sankcje zostały ogłoszone wkrótce po nałożeniu nowych ceł na import maszyn do prania i paneli solarnych. Co z jednej strony przybliża Trumpa do obietnic złożonych na trasie kampanii wyborczej, ale z drugiej strony do otwartej wojny celnej, która w konsekwencji musi zdołować gospodarki połowy świata, zagrozić polskiemu przemysłowi hutniczemu i zamiast zwiększyć zatrudnienie w Ameryce, pogrążyć jej najszybciej rozwijające się gałęzie przemysłu. Kiedy w zeszłym tygodniu swoją rezygnację składał główny doradca prezydenta do spraw ekonomicznych Gary Cohn, oświadczył, że nie znalazł w projekcie ani jednego mocnego punktu, nic, co budziłoby nadzieję, że sankcje nie pogrążą amerykańskiej gospodarki.

Amerykanie importują ok. 100 mln ton stali rocznie i 5,5 mln ton aluminium, co stanowi odpowiednik 50 i 90 proc. rocznego zapotrzebowania. Trump twierdzi, że liczby mogą wyglądać zgoła inaczej, jeżeli uda się zatrzymać napływ subsydiowanej stali z Chin i innych państw dopuszczających się dumpingu w wymianie handlowej. Rzecz w tym, że Ameryka ma już ponad 100 rozmaitych ceł antydumpingowych nałożonych na 32 państwa produkujące stal i aluminium, plus rozmaite cła wyrównawcze. Po co w takim razie kolejny pakiet barier handlowych? Wystarczyłoby dowieść praktyk dumpingowych i oficjalnie wystąpić do WTO o zgodę na zwiększenie ceł wyrównawczych.

Szczególnie zaskakująca jest narracja w przypadku Chin, które według Trumpa ponoszą największą odpowiedzialność za kłopoty amerykańskich hut. Otóż Chiny nie eksportują do Stanów ani grama stali od ponad roku, kiedy to obłożone zostały 522 proc. cłem. Polska ze swoim eksportem do Ameryki na poziomie miernych 9 tys. ton rocznie jest mocarstwem stalowym przy Chinach.

Prawdą jest, że sporo chińskiej stali dociera do Stanów za pośrednictwem innych państw azjatyckich oraz Kanady, która importuje nieprzetworzony surowiec i dalej – w formie walcowanych blach czy drutów – śle do Ameryki. I to Kanada jest największym dostawcą zarówno stali, jak i aluminium do Ameryki. Gdyby naprawdę chodziło wyłącznie o zachowanie miejsc pracy w hutach, Stany Zjednoczone mogłyby się pokusić na podobną umowę z Chinami jak Kanada i zaimportować produkcję do siebie. Trump twierdzi jednak, że chodzi tu o coś więcej. O bezpieczeństwo państwa – o stal, a zwłaszcza aluminium – na ambitny program zbrojeniowy. Amerykańska firma Century Aluminium produkuje najczystsze i najwyższej jakości aluminium na świecie, dające amerykańskiemu lotnictwu przewagę w powietrzu. Myśliwce F-35, Boeing F/A-18E/F Super Hornet pozostają niedoścignione w swojej klasie. Trump obawia się, że firma bez dodatkowych zamówień padnie. Nie poradzi sobie z zagranicznym „dumpingiem" i amerykański potencjał zbrojeniowy będzie zakładnikiem „kapryśnych" eksporterów.

ŚWIAT KONTRA AMERYKA

Przeciwnicy prezydenta w jego własnej partii podnoszą, że taniej byłoby subsydiować jedną firmę produkującą aluminium, niż iść na wojnę z połową świata. Tym bardziej że świat, a przynajmniej najwięksi gracze, zdają się być zachwyceni takim obrotem rzeczy.

Chiny od lat muszą sobie radzić z sankcjami – najpierw z europejskimi, teraz z amerykańskimi. I dziś przekonane są, że nadmiar stali i półprzetworzonego surowca znajdzie zbyt w innych miejscach świata. Cło pozwoli natomiast Pekinowi ogłosić własne sankcje odwetowe wobec Ameryki. Od dłuższego czasu Chiny myślały o uniezależnieniu swojego przemysłu rolnego od amerykańskiej soi. W 2017 r. Chiny wydały w Ameryce blisko 12,5 mld dol. na zakup soi do masowej hodowli świń. To był kolejny rekordowy rok, ale pewnie ostatni. Chiny od kilku lat inwestują w produkcję soi w Brazylii, Boliwii, Peru i dziś właśnie nadarza się okazja do ograniczenia amerykańskiego importu oraz przetestowania systemu. Dla amerykańskich farmerów byłby to potężny cios finansowy. A w szczególności dla środkowych stanów gdzie Trump dysponuje wciąż dużym poparciem społecznym.

Unia Europejska, wbrew pełnej troski narracji szefa Komisji Europejskiej, jak rzadko kiedy potrzebuje dobrego konfliktu z Ameryką. Oczywiście przy założeniu, że wojna będzie krótka i wygrana. Wtedy pomoże skonsolidować politycznie największych graczy wokół wspólnego wroga „niszczyciela wolności rynkowych". Po wyborach we Włoszech i przy coraz większym odpływie elektoratu od partii socjaldemokratycznych twarda porokapitalistyczna postawa Unii Europejskiej może znacząco wzmocnić autorytet Brukseli. Wojna na stal i aluminium niewątpliwie jest dla Europy wyzwaniem, ale koszty i potencjalne straty na tym etapie są mocno wyolbrzymiane.

Zacznijmy od tego, że najwięksi producenci stali w Europie – zarówno firmy w Luksemburgu, jak i niemieckie czy austriackie koncerny dysponują już własnymi hutami w Stanach Zjednoczonych i akcje tych firm raczej rosną, niż spadają. Inwestorzy zakładają lepsze zyski w drugiej połowie roku dzięki wzrostowi cen w Ameryce. Oczywiście lokalni producenci stali, w tym Polska, mogą się obawiać, że presja nadpodaży stali z Azji spowoduje spadek cen i poważnie nadwątli ich operacje w poszczególnych państwach. Unia Europejska ma już jednak spore doświadczenie w relacjach z Chinami i swego czasu obłożyła azjatycką stal ponad 40-procentowymi cłami, także Chiny będą tu ostrożne w ustalaniu cen. Jest mało prawdopodobne,

eprasa.pl fd2222a256

żeby popełniły trumpowski błąd i chciały prowadzić wojnę z całym światem.

Nadmiar stali na rynku i spadek cen nie będą dobre dla europejskich hut, ale przy obecnej koniunkturze mogą być zbawienne dla reszty gospodarki. Trochę jak nadprodukcja ropy dzięki amerykańskiej rewolucji łupkowej. Jak na ironię, to może być ważny czynnik prorozwojowy teraz, kiedy rynki zdają się osiągać już swoje maksima wzrostowe i potrzebują nowego bodźca. Pamiętajmy, że z pomocą przyjdą też plany zbrojeniowe większości państw europejskich. Wreszcie Angela Merkel będzie miała szansę zrealizować swoje obietnice odbudowy niemieckiej potęgi wojskowej.

Bruksela sumiennie przygotowuje się do odpowiedzi na amerykańskie sankcje. Ma nadzieje dowieść swojej skuteczności i przydatności w chwili „prawdziwego" kryzysu. Wreszcie zamiast podszczypywania Polski, Węgier, łajania Rumunii i upokarzania Wielkiej Brytanii może zrobić coś, co zwykły człowiek zrozumie. Zawalczy o europejski eksport.

Komisja Europejska zdaje się mieć całkiem dobry plan. Chce sięgnąć po doświadczenia z 2002 r., kiedy to swoje sankcje na stal nałożył ówczesny prezydent George W. Bush. Obciążenia były podobne i wahały się między 8 a 30 proc. Wtedy Bruksela odpowiedziała wyższym cłem na sok pomarańczowy. Największym producentem soku jest Floryda, stan, w którym gubernatorem był Jeb Bush – brat prezydenta, potencjalnie kiedyś kolejny z rodu w kolejce do Białego Domu. Amerykański sok pomarańczowy natychmiast zastąpił import z Ameryki Południowej, a straty dla przemysłu przetwórczego Ameryki sięgnęły 2 mld dol. Rok później Bush zniósł kary celne.

Tym razem ostrze europejskich sankcji ma być wycelowane w producenta motocykli marki Harley-Davidson montowanych w Wisconsin, skąd pochodzi republikański marszałek Kongresu Paul Ryan. Ryan już w zeszłym tygodniu wystąpił przeciwko Trumpowi i zażądał powrotu do dawnej polityki otwartych granic. Podobnie rzecz ma się z burbonem. Unia, jak twierdzi Jean-Claude Juncker, chce obłożyć sankcjami ikony Ameryki. W rzeczywistości nie chodzi o symbole, ale o uderzenie w najbardziej bolesny punkt amerykańskiej polityki. 95 proc. eksportu burbona do Europy jest z Kentucky, skąd pochodzi szef klubu parlamentarnego republikanów – Mitch McConnell, dotychczas wytrwały sojusznik Trumpa.

Pozostaje oczywiście pytanie o dalszą eskalację sankcji. Biały Dom przygotowuje już odpowiedź na europejski kontratak w postaci wyższych ceł na europejskie samochody – przemysł, który dotąd cieszył się preferencjami podatkowymi w Ameryce. Amerykańskie samochody są dziś wyżej oclone w Europie niż europejskie w Ameryce. To byłoby poważne uderzenie, zwłaszcza w niemieckie firmy przygotowujące się obecnie do światowej ofensywy elektromobilności, i Stany miały tu być pierwszym poligonem doświadczalnym.

SANKCJAMI W KOLANO

Trump powtarza, że nie ma ceny, jakiej nie zapłaci, żeby chronić miejsca pracy i jakość życia amerykańskich rodzin. Brzmi nieźle. Jednak czy aby na pewno przemysł stalowy jest tym sektorem gospodarki, w którym uda się zatrzymać ucieczkę miejsc pracy bez wywoływania lawiny gdzie indziej? Miejsca pracy faktycznie uciekają z branży metalurgicznej. Podstawowym powodem jest malejące zapotrzebowanie. Produkcja jako taka pozostaje w zasadzie bez zmian, nawet z krótkookresowymi pikami, tak jak choćby w 2015 r. I nie jest tak, że spada wyłącznie produkcja w Ameryce. Spada również import, który Trump chce teraz obłożyć sankcjami. Po prostu ciężki przemysł od lat wynosi się z Ameryki tam, gdzie siła robocza jest tańsza. Wysokie technologie, w czym mocna jest Ameryka, nie potrzebują takich ilości stali.

Największa zmiana zachodzi jednak w samej technologii produkcji. Dla przykładu: jeden z największych europejskich producentów Voestalpine (który notabene ma swoje zakłady również w Ameryce) od ponad pół wieku produkuje wysokiej jakości stalowe druty. Jakieś pół miliona ton rocznie. W 1960 r. firma zatrudniała, w jednym ze swoich najnowocześniejszych dziś zakładów niedaleko Wiednia, 1 tys. pracowników. Dzisiaj, włącznie z administracją, zatrudnia 14 osób i wciąż produkuje pół miliona ton rocznie. Voestalpine dysponuje najwyżej rozwiniętą technologią na świecie, ale zjawisko jest powszechne. Maszyny, tak jak w każdym innym sektorze, zastępują ludzi.

W przypadku aluminium przyczyna zdaje się być nie mniej prozaiczna, choć tu akurat spożycie rośnie. Jednak 30 proc. potrzeb zapewnia dziś recykling. Stare puszki, sprzęt pozostawiony na śmietnikach – wszystko to znacząco ograniczyło zapotrzebowanie na nowe aluminium. Także terapia szokowa Trumpa niewiele tu zmieni. Tym bardziej że według organizacji ekologicznych wzrost cen podniesie również ceny w skupie metali, a potencjał zwiększenia recyklingu to jeszcze kolejne 8–10 proc. Ludziom będzie się po prostu bardziej opłacało zbierać przysłowiowe puszki. Pamiętajmy też o producentach napojów, którzy już dziś biją na alarm, że przez cła ceny piwa wzrosną, i składają większe zamówienia na szklane opakowania.

Żadna branża nie odczuje jednak Trumpowskich sankcji tak mocno jak przemysł samochodowy. Tutaj akurat zapotrzebowanie na aluminium wzrosło w ostatnim ćwierćwieczu o 400 proc. Stąd też na giełdzie zaobserwowaliśmy natychmiastowy spadek notowań GM czy Toyoty (Toyota wykorzystuje do produkcji samochodów w USA 90 proc. amerykańskiego aluminium). Tymczasem produkcja samochodów w Meksyku, który liczy na tańsze aluminium z Azji po wprowadzeniu ceł, już w tej chwili kwitnie i zamówień będzie jeszcze więcej. Wszystkie z myślą o eksporcie do Ameryki.

Związek producentów aluminium zakłada, że sankcje pozwolą na odbudowanie 3 proc. utraconych miejsc pracy. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę straty w innych branżach, to bilans okaże się negatywny, przed czym ostrzegał Gary Cohn.

Podwyżka cen, nawet w takich branżach jak piwowarska, gdzie rynek jest w praktyce ograniczony do amerykańskich producentów, może być zaskakująco duża. Ekonomia nas uczy, że każda podwyżka przekłada się na spadek spożycia. Niezależnie od tego, czy to jest piwo czy chleb. Z czasem się odbuduje, ale pierwszy szok jest spory. Ostatnio obserwowaliśmy to w USA po wprowadzeniu zaporowych ceł na panele słoneczne. Po podwyżce ceł i wycofaniu chińskiego importu liczba instalacji spadła o blisko 20 proc.

Jak w każdej wojnie najgroźniejsze są tu nie tyle konsekwencje gospodarcze, ile fakt, że każdej ze stron ta wojna jest na rękę. Chinom, żeby uniezależnić się od amerykańskiej produkcji soi czy zbóż i zbliżyć się do Europy. Europie, żeby skonsolidować się wokół Komisji Europejskiej i budować swoją niezależność od Ameryki. A dla Donalda Trumpa każda zewnętrzna wojna jest lepsza od wewnętrznej. Czy nie tak właśnie wyglądał rozkład sił i interesów w dniu, kiedy padły strzały w Sarajewie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

POLISH AMERICAN LEADERSHIP SUMMIT
POLAND INVESTMENT ZONE

RTMx Round Table Mixer

Organizatorzy #PALS zapraszają do udziału

Szczegóły na wprost.pl/pals

DZIEŃ POLSKI

W DOLINIE KRZEMOWEJ W KALIFORNI
UNIWERSYTET STANDFORDA
21- 23 MARCA 2018 ROKU

SYMPOZJUM POŚWIĘCONE WYZWANIOM I MOŻLIWOŚCIOM STWARZANYM PRZEZ INERNET RZECZY, ELEKTROMOBILNOŚĆ ORAZ PROGRAMY KOSMICZNE.

PMPG POLSKIE MEDIA S.A. ZAPRASZA NA DEBATY:

- FINANSOWANIE I ZARZĄDZANIE INNOWACYJNYMI RZEDSIĘBIORSTAMI
- INTELIGENTNA ENERGIA I ELEKTROMOBILNOŚĆ
- AUTONOMIA NA LĄDZIE, WODZIE I W KOSMOSIE

PMPG POLSKIE MEDIA SA

US-POLISH TRADE COUNCIL

Polsko Amerykańska Rada Współpracy
US-Polish Trade Council

eprasa.pl fd2222a256

Łukasz Zboralski

Polacy się bogacą

Zsumowane majątki wszystkich Polaków są jeszcze dużo mniejsze niż bogactwo mieszkańców najzamożniejszych krajów. Jednak szybko ich gonimy. Jesteśmy wśród tych na świecie, którzy w ubiegłym roku bogacili się najszybciej

FOT. FOTOLIA

Polskie media obiegł niedawno news z zagranicznej prasy, z którego wynikało, że nasz kraj jest jednym z najbezpieczniejszych dla kobiet. Nikt nie sięgnął jednak do źródła – a szkoda. Bo dowiedziałby się, że bezpieczeństwo dla kobiet jest doskonałym wskaźnikiem prognozującym potencjał wzrostu zamożności kraju. I że Polska nie tylko ma dobre prognozy, lecz także ma pod tym kątem zaskakująco dobre wyniki na tle całego globu. Polacy po prostu bardzo szybko się bogacą.

NAJZAMOŻNIEJSI

Firma analityczna z RPA – New World Health – opublikowała w lutym raport na temat zamożności i migracji bogactwa na świecie w ciągu ostatniej dekady. Opracowanie zawiera też prognozy na kolejne dziesięć lat. Zdaniem autorów dane dotyczące zamożności samych mieszkańców są lepszym wskaźnikiem kondycji gospodarki niż PKB – ten ignoruje np. efektywność lokalnego sektora bankowego i rynku akcji we wspieraniu zamożności. Dlatego NWHealth podsumowuje, jak bogaci są ludzie w danym kraju, ile posiadają, wykluczając z tych danych fundusze rządowe.

Pod takim względem najbardziej majętnym krajem, wyprzedzającym wszystkich na świecie o kilka długości, są Stany Zjednoczone. Zamożność mieszkańców tego kraju w 2017 r. oszacowano w raporcie na 62,6 mld dol. Drugie są Chiny (24,8 mld dol.), a trzecia Japonia (19,5 mld dol.). Na liście dziesięciu najzamożniejszych są cztery kraje z Europy. Piąte miejsce zajmuje Wielka Brytania (9,9 mld dol.), szóste Niemcy (9,7 mld dol.), ósme Francja (6,7 mld dol.) i dziesiąte – Włochy (4,3 mld dol.).

Szerszy obraz tego, co dzieje się z majątkami mieszkańców krajów z pierwszej dziesiątki w tym zestawieniu, widać dopiero, gdy spojrzy się na zmiany ich zamożności przez ostatnią dekadę. Chińczykom wprawdzie brakuje jeszcze wiele do Amerykanów, ale w latach 2007–2017 majątki ludzi w USA wzrosły o 20 proc., a majątki mieszkańców Chin zwiększyły się aż o 198 proc.! Równie imponująco szybko wzrosła zamożność mieszkańców Indii (o 160 proc.) oraz Australii (o 83 proc.). Tymczasem Brytyjczykom prywatnych dóbr ubyło o 2 proc., choć wciąż są bardzo bogaci (i spory wpływ na mniejsze oszacowanie ich majętności miała duża deprecjacja funta w stosunku do dolara), a stan posiadania Francuzów zmniejszył się o 11 proc. Najbardziej zbiednieli Włosi, ich zamożność skur-

eprasa.pl fd2222a256

10 najzamożniejszych* krajów na świecie w 2017 r. (w miliardach dolarów)

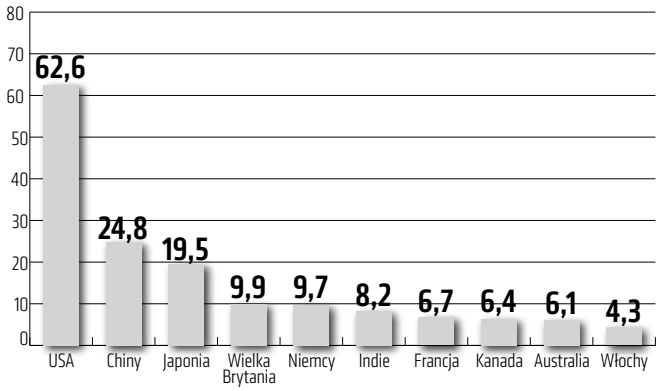

*zamożność odnosząca się do stanu posiadania mieszkańców, prywatnych osób

Kraje, w których zamożność rosła najszybciej w okresie 2016-2017 (wzrost w procentach)

RYS. PEGAZ

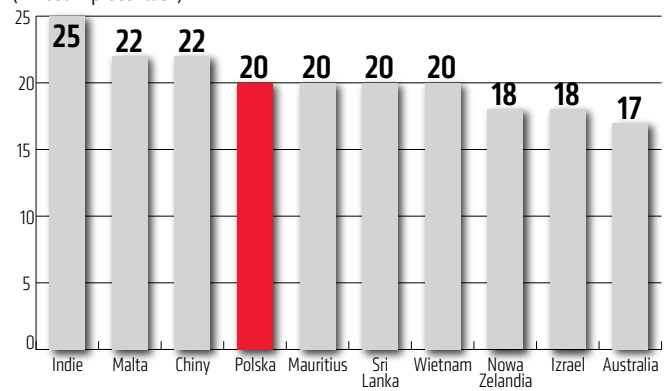

Źródło: Global Wealth Migration Reviev 2018, New World Wealth

czyła się prawie o jedną piątą. A Niemcy nie ruszyli z miejsca przez dekadę i notują stagnację.

W zestawieniu uwzględniającym zamożność przypadającą średnio na jednego obywatela kraju czołówka wygląda zgoła inaczej. Okupują ją raje podatkowe, które przyciągają bogaczy z całego świata. Średnio najzamożniejsi są mieszkańcy Monako (ponad 2 mln dol. na jednego mieszkańca), tuż za nimi ci z Lichtensteinu (761 tys. dol.) i Luksemburga (368 tys. dol.).

POLSKI IMPULS

Nie ma nas wśród tych, którzy mają najbardziej na świecie wypchane portfele. I nie ma nas wśród tych, którzy przez ostatnią dekadę bogacili się najszybciej – oprócz wspomnianych już Chin i Indii są tam Wietnamczycy (wzrost zamożności aż o 210 proc.) oraz m.in. mieszkańcy Etiopii, Sri Lanki, Panamy czy Urugwaju. Na liście 20 krajów z najwyższym wzrostem zamożności mieszkańców są tylko dwa kraje z Europy – Malta (95 proc.) oraz Monako (70 proc.).

Jednak wbrew pozorom nie mamy powodów do zmartwień. Przynajmniej od końca 2016 r. Okazuje się, że w 2017 r. byliśmy wśród tych, których zamożność wzrasta najszybciej na całym globie. W perspektywie ostatniego roku bogactwa szybciej niż Polakom przybywało na świecie tylko Hindusom (25 proc. wzrostu), Maltańczykom (22 proc.) i Chińczykom (22 proc.). Następni są właśnie Polacy, których zamożność w rok skoczyła aż o 20 proc. Taki sam wzrost odnotowali mieszkańcy Mauritiusa, Sri Lanki i Wietnamczycy. Wolniej od nas bogacili się m.in. Izraelczycy, Amerykanie, Australijczycy czy Węgrzy (choć warto zauważyć, że „bratankowie" są wśród 17 najszybciej bogacących się mieszkańców globu w roku 2017 – ze wzrostem 14 proc.).

Polski wzrost wygląda jeszcze lepiej, gdy uwzględni się przyczyny zwiększenia stopnia zamożności. Jak wskazują autorzy raportu, na średni przyrost zamożności mieszkańców wielu z tych krajów miało wpływ to, że po prostu migrowali do nich bogaci ludzie. Ten wpływ autorzy opracowania widzą w przypadku: Malty, Mauritiusa, Nowej Zelandii, Izraela, Australii, USA, Luksemburga i Szwajcarii. Nie widzą zaś tego czynnika w Polsce. To dlaczego Polacy stali się bogatsi? Eksperci New World Health wskazali tylko jeden z możliwych czynników – to znakomite wyniki giełd w Polsce i na Węgrzech. Zapewne trudno im było dostrzec to, o czym my w kraju dobrze wiemy – program „500+", który znacznie zmienił poziom życia rodzin wielodzietnych, wcześniej raczej borykających się z biedą, dziś zapewne powiększających swój stan posiadania.

PROGNOZA DLA BOGACZY?

To, że od roku Polacy bardzo szybko się bogacą, nie jest jedyną dobrą wiadomością. Wygląda na to, że to nie było chwilowe zawirowanie, przypadkowa dobra passa. Zdaniem ekspertów prognozy dotyczące dalszego zwiększania poziomu zamożności Polaków są niezłe. I to w czasach, gdy większa część zachodniej Europy od dekady ma wciąż tylko mniej. Bo w latach 2007–2017 zamożność Greków spadła aż o 37 proc., Włochów – o 19 proc., Norwegów – o 17 proc., Portugalczyków – o 13 proc., Holendrów – o 12 proc., Francuzów i Finów – o 11 proc., Duńczyków – o 9 proc., Belgów – o 7 proc., Austriaków – o 5 proc., Szwedów – o 3 proc. – i Brytyjczyków o wspominane już wcześniej 2 proc.

Autorzy raportu szacują, że do 2027 r. najszybciej będą bogacili się mieszkańcy Indii, Sri Lanki i Wietnamu (wzrost zamożności o 200 proc.) oraz Chin (o 180 proc.) i Mauritiusa (150 proc.). To gdzie te dobre wiadomości dla Polaków? Są. Zdaniem ekspertów podstawowym narzędziem do określania prognoz jest wskaźnik bezpieczeństwa kobiet – z historycznych danych wynika, że istnieje 92-procentowa korelacja między bezpieczeństwem kobiet a wzrostem zamożności mieszkańców. A ten wskaźnik Polska ma jeden z najlepszych na świecie – zajmujemy szóste miejsce na globie i drugie w regionie (w Europie bezpieczniej dla kobiet jest tylko na Malcie). „Oczekujemy, że rynki wschodzące o wysokim poziomie bezpieczeństwa kobiet będą jednymi z najlepszych na świecie pod względem wzrostu zamożności w ciągu najbliższych 10 lat" – piszą autorzy opracowania.

Warto zauważyć, że wśród kluczowych wskaźników wytyczających dobrą perspektywę wzrostu zamożności są także: silne prawo własności, dobrze skonstruowany rynek bankowy i giełdowy, niezależne media, niski poziom interwencji rządu, łatwość inwestowania oraz niskie podatki dochodowe i niskie podatki dla firm. Czy pomyśli o tym premier Morawiecki, który właśnie zaplanował kolejny podatek (kierowcy zapłacą go w cenie paliwa), i cały PiS, który m.in. obiecywał podwyższyć kwotę wolną od podatku?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska to za mało

Cenię ludzi – w tym polityków – o dużych, byle nie wybujałych ambicjach. Sam chciałbym, żeby Polska znaczyła na świecie coraz więcej. W tym – rzecz jasna – by polskie firmy coraz bardziej liczyły się nie tylko u nas, lecz także za granicą. Aby sprzedawały jak najwięcej towarów oraz usług i na potęgę przejmowały przegrywającą z nimi, słabnącą konkurencję. Niech więc polskie koncerny energetyczne i paliwowe, banki, firmy budowlane i meblarskie „połykają" konkurenta za konkurentem – w Niemczech, Czechach, na Słowacji i Węgrzech, a jeśli się da, to także we Francji i w Hiszpanii. W końcu po bez mała trzech dekadach, gdy ten ruch odbywał się głównie w przeciwną stronę – firmy cudzoziemskie przejmowały polskie – to miła odmiana dla naszych dusz i portfeli. Zaraz, zaraz, czy na pewno zawsze także dla naszych portfeli?

To pytanie pojawia się każdorazowo, gdy ambitni politycy, którzy chcą przekształcić kontrolowane przez państwo firmy w regionalnych albo i ponadregionalnych graczy, realizację tego planu zaczynają od zafundowania im w ojczyźnie pozycji monopolisty lub quasi-monopolisty. Tak na „dobry" początek – dla ułatwienia im startu do zagranicznych podbojów. Tymczasem taka pozycja zawsze – nie ma na to rady – opłacona jest przez obywateli tego kraju, i zarazem klientów takiego monopolu czy quasi-monopolu, wyższymi rachunkami za oferowane przez giganta towary oraz usługi.

A przechodząc do rzeczy. Jeśli dojdzie do właśnie zaplanowanego przejęcia polskiego giganta paliwowego – Lotosu – przez polskiego supergiganta paliwowego – Orlen – w rezultacie czego powstanie superhipergigant o pozycji co najmniej quasi-monopolisty, to naprawdę łatwo się domyślić, czym to się skończy dla kieszeni polskich kierowców. Ten Orlen-Lotos, mając bez mała 75 proc. udziału w hurtowej sprzedaży paliw i 45 proc. stacji paliw, czyli ok. 50 proc. udziału w handlu detalicznym paliwami, całemu rynkowi – więc także wszystkim kierowcom – dyktowałby warunki bez najmniejszych skrupułów, bo taka jest logika działania każdego monopolu. Czyli windowałby ceny.

Orlenowi życzę jak najlepiej. W końcu już teraz, nawet bez Lotosu, jest największym koncernem w Polsce i ważnym graczem w regionie: w Niemczech ma sieć stacji paliw Star, w Czechach – stacje Benzina i rafinerię Unipetrol, a na Litwie – sieć stacji Orlen Lietuva i rafinerię w Możejkach. I, rzecz jasna, Orlen powinien rosnąć w siłę i przejmować kolejne rafinerie oraz stacje w krajach sąsiednich i odleglejszych. W Polsce jednak w żadnym razie nie powinien być monopolistą ani nawet quasi-monopolistą – nie tylko w trosce o kieszenie kierowców, lecz także w trosce o własną przyszłość. W końcu nic tak nie rozleniwia, a w rezultacie nic tak nie podcina skrzydeł jak gwarantowana przez polityków, ze złamaniem rynkowych reguł, uprzywilejowana pozycja. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

W niedalekiej przyszłości

Rok 2024. Piękny marcowy poranek w jednym z miast Europy. Smartwatch informuje Piotra (lub Petera), że pod domem czeka automatyczna taksówka oraz żeby przed wyjściem zrobić smartfonem zdjęcie oka. Zdjęcie zostanie wysłane do przychodni, do której Piotra zabierze taksówka. Wcześniej, korzystając z technologii blockchain, ubezpieczyciel i firma zatrudniająca Piotra automatycznie uzgodnili termin rutynowej wizyty u lekarza. HR w firmie, całkowicie skomputeryzowany i nadzorowany przez algorytm, wie o tej wizycie i informuje przełożonego Piotra, że ten będzie w pracy dwie godziny później.

Taksówka bez kierowcy wiezie Piotra do przychodni, po drodze zabierają jeszcze dwóch pasażerów, których cel podróży jest bliski lokalizacji przychodni. Opłata za taksówkę jest pobierana w tokenach, automatycznie, za pomocą technologii NFC, ze smartfonów pasażerów, z tym że za przejazd Piotra płaci ubezpieczyciel. Piotr wie, że jeżeli dwa razy odrzuci wcześniej uzgodniony termin wizyty, to jego składka ubezpieczeniowa znacząco wzrośnie, a w firmie zostanie umieszczony przez HR na liście pracowników podwyższonego ryzyka.

Podróż trwa krótko, bo technologia ridesharing (wspólnych podróży) całkowicie wyeliminowała korki w miastach. W przychodni kamera zamontowana przy wejściu rozpoznaje twarz Piotra i na jego smartfonie wyświetlają się instrukcje. Po kolei wchodzi do kilku małych gabinetów, gdzie robolekarze instruują go, jak ma się zachować. W ciągu kilku minut zostają wykonane wszystkie podstawowe analizy oraz zostaje sformułowana diagnoza. Sztuczna inteligencja ocenia, że wiarygodność diagnozy wynosi 97 proc., więc nie ma potrzeby wizyty u lekarza człowieka. Diagnoza zostaje wysłana do ubezpieczyciela i działu HR w firmie, ponieważ Piotr upoważnił obie firmy do dostępu do swoich danych.

W 2024 r. ustawodawstwo unijne zabrania dyskryminacji pracowników ze względu na dostępność danych, ale w praktyce osoby, które odmawiają algorytmom zarządzającym działami HR dostępu do danych, są rzadziej awansowane, więc HR i ubezpieczyciele mają dostęp do danych prawie wszystkich pracowników.

Kolejna taksówka wiezie Piotra do pracy. Po drodze Piotr czyta diagnozę na swoim smartfonie. Jest w dobrej kondycji, ale zaleca się, aby bardziej regularnie ćwiczył i zwiększył udział warzyw, szczególnie sałaty i pomidorów, w codziennej diecie.

Lekturę przerywa wiele powiadomień: córka Piotra właśnie dostała piątkę z klasówki, zostało zrealizowane polecenie zapłaty za korzystanie z prądu, wraz z ofertą zmiany dostawcy energii elektrycznej, i kilka innych.

Gdzie teraz pracują kierowcy, lekarze, specjaliści od HR i obsługi klienta? – zastanawia się Piotr. ©℗

Autor jest profesorem data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

eprasa.pl fd2222a256

NASZ TEST: SSANGYONG REXTON

Ogromny, potężny, muskularny. Nowy SUV południowokoreańskiej firmy – mierzący niemal 5 m długości i prawie 2 m szerokości – to majestatyczna terenówka, która dobrze sprawdzi się zarówno na asfalcie, jak i poza nim. Dzięki przestronnej kabinie i dużemu bagażnikowi to również ciekawa propozycja dla osób poszukujących dużego auta rodzinnego.

W KABINIE

Wnętrze Rextona spokojnie pomieści pięcioro dorosłych pasażerów (za dopłatą dostępna jest też wersja siedmioosobowa, choć miejsca w trzecim rzędzie polecałbym głównie tym, którzy mieli w szkole świetne oceny z gimnastyki). Wnętrze wygląda nowocześnie, m.in. za sprawą dużego, kolorowego wyświetlacza o przekątnej 9,2 cala, który umożliwia korzystanie z Apple CarPlay lub Google Android Auto. Pokryte skórą nappa wygodne fotele mogą być podgrzewane lub wentylowane i dobrze podtrzymują ciało podczas jazdy na zakrętach. Podgrzewana może być również kierownica.

Kufer w standardowej wersji ma aż 784 l pojemności (236 l – jeżeli autem podróżuje siedem osób). Rexton może też ciągnąć za sobą trzytonową przyczepę, np. z motorówką.

JAZDA

Potężny SUV kryje pod maską silnik Diesla o pojemności 2157 cm sześc. i mocy 180 KM.

Rozpędza on to ważące ponad 2 t auto do prędkości 185 km/godz.

Przy niższych prędkościach taka moc jest zupełnie wystarczająca, ale na autostradzie zdarzają się już sytuacje, gdy przy tak dużej masie pojazdu przydałoby się mieć do dyspozycji nieco więcej koni. Nie jest to więc samochód dla miłośników sportowych wrażeń. Rextonem podróżuje się za to zaskakująco komfortowo. Auto jest dobrze wyciszone i dobrze się prowadzi.

Wynoszący ponad 22 cm prześwit pozwala już w miarę łatwo pokonywać terenowe, a zwłaszcza miejskie przeszkody. Podjazd pod wysoki krawężnik nie jest dla tego auta najmniejszym problemem.

W cyklu mieszanym podczas testu Rexton spalał średnio ok. 11 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Auto nie przeszło jeszcze testów zderzeniowych prowadzonych przez niezależny instytut Euro NCAP. Producent chwali się jednak solidną ramą pojazdu, specjalnymi wzmocnieniami nadwozia oraz dziewięcioma poduszkami powietrznymi w standardzie.

Samochód jest też wyposażony w licznych elektronicznych asystentów zwiększających bezpieczeństwo jazdy. Specjalne czujniki wykrywają więc auta znajdujące się w martwym polu lusterek. Komputer ostrzega też kierowcę, gdy zbyt szybko zbliżamy się do pojazdu przed nami, a system autonomicznego hamowania pomaga uniknąć kolizji lub przynajmniej zminimalizować jej skutki. Elektroniczny asystent alarmuje również, kiedy bez włączonego kierunkowskazu nasz samochód zaczyna zmieniać pas. Technologiczne systemy zmniejszają też ryzyko dachowania i ułatwiają zjazd ze wzniesienia oraz ruszanie pod górę.

Światła LED dobrze doświetlają zakręty. Cztery kamery ułatwiają manewrowanie tym kolosem na wąskich parkingach, a układ RCTA wspomaga kierowcę podczas cofania, ostrzegając przed pojazdami nadjeżdżającymi z tyłu z prawej lub lewej strony.

CENA

Pięciomiejscowy Ssangyong Rexton z napędem na tylną oś w najtańszej benzynowej wersji kosztuje 109,9 tys. zł, a w opcji z silnikiem Diesla – 129,9 tys. zł. Za najbogatszą wersję wyposażenia trzeba już zapłacić 166,9 tys. zł. Ostateczna cena na fakturze łatwo może się jednak zwiększyć. Dopłata do wersji siedmiomiejscowej wynosi bowiem 4 tys. zł. Za napęd na cztery łapy trzeba zapłacić 10 tys. zł, a za siedmiobiegową skrzynię automatyczną – 11 tys. zł.

KONKURENCI

Audi Q7, Hyundai Grand SantaFe, Range Rover Sport, Suzuki Vitara S, Toyota Land Cruiser ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl fd2222a256

Cegielskiego koleje sukcesu

Niepodległa Rzeczpospolita po 123 latach niewoli była dla współczesnych czymś oszałamiająco nieprawdopodobnym. Po dekadach walki w obronie zachowania tożsamości narodowej nadszedł czas radości, ale przede wszystkim ciężkiej pracy. Tak, aby móc wykorzystać szanse i wyzwania stojące przed młodym państwem

Po 120 latach prysły kordony. Nie ma »ich«. Wolność! Niepodległość! Zjednoczenie! Własne państwo! Na zawsze! Chaos? To nic. Będzie dobrze. Wszystko będzie, bo jesteśmy wolni od pijawek, złodziei, rabusiów, od czapki z bączkiem, będziemy sami sobą rządzili. [...] Cztery pokolenia nadaremno na tę chwilę czekały, piąte doczekało. [...]" – opisywał rok 1918 zasłużony inżynier kolejowy, późniejszy premier II RP Jędrzej Moraczewski.

NOWOCZESNA KOLEJ PODSTAWĄ SILNEJ GOSPODARKI

Jednym z najważniejszych wyzwań była odbudowa gospodarcza państwa. Kluczowy czynnik ku temu stanowiło stworzenie nowoczesnej sieci transportu, w tym kolei żelaznych. Terytorium kraju było bowiem w znacznym stopniu wyeksploatowane pod względem gospodarczym i demograficznym. Poszczególne części państwa znacznie różniły się ze względu na politykę każdego z trzech zaborców. Różnice w rozwoju regionów bardzo dobrze obrazuje sytuacja kolei. U progu niepodległości Polska dysponowała niespełna 16 tys. km dróg szynowych. Niestety, linie kolejowe nie były ze sobą kompatybilne, szyny zaboru rosyjskiego (7 tys. km) były znacznie szersze od standardu europejskiego, a te z zaboru austriackiego (4 tys. km) przystosowane do ruchu lewostronnego. Najgęstsza infrastruktura kolejowa obejmowała ziemie dawnego zaboru pruskiego (4 tys. km), co podyktowane było potrzebami militarnymi – koniecznością szybkiego transportowania wojsk i zaopatrzenia. Konieczność integracji połączeń kolejowych oraz reorganizacji jej funkcjonowania nie były jedynym

eprasa.pl fd2222a256

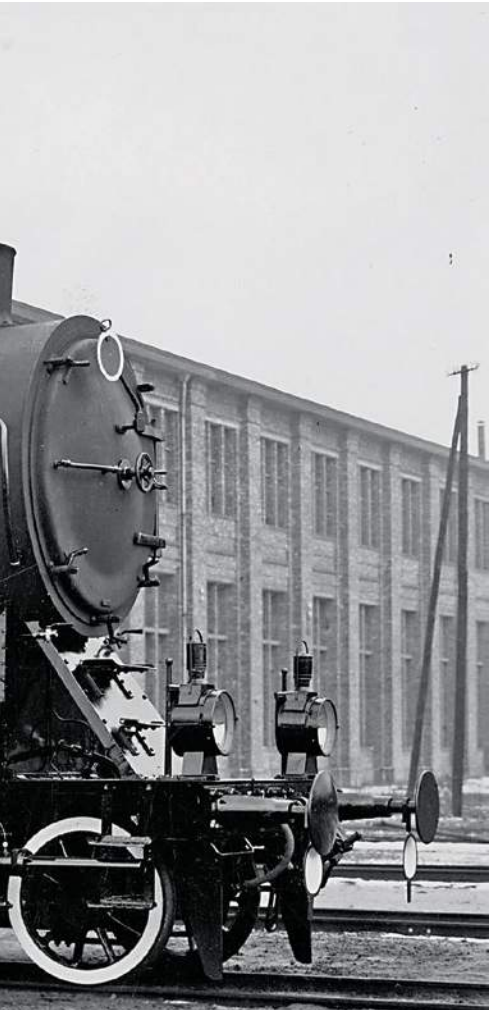

Parowóz towarowy serii Ty 23 nr 86, wyprodukowany w Wytwórni H. Cegielski w Poznaniu – wygląd zewnętrzny. Data wydarzenia: lata 1926–1932 FOT. NAC

wyzwaniem, jakie czekało powołane w 1919 r. Ministerstwo Kolei Żelaznych. Pierwsza wojna światowa spowodowała ogrom zniszczeń infrastruktury na terenie całego kraju. Działania wojenne spowodowały zniszczenie ponad 40 proc. mostów, 60 proc. dworców i blisko połowę warsztatów kolejowych. Uszkodzona była również znaczna część taboru, którego modele i sposób funkcjonowania także różniły się od siebie w zależności od regionu państwa.

PIONIERZY POLSKIEGO KOLEJNICTWA – CEGIELSKI

Sprawnie działająca kolej potrzebowała nowoczesnych rozwiązań zarówno w obszarze technologii, jak i organizacji całego systemu połączeń. II RP mogła poszczycić się efektywnie działającą infrastrukturą kolejową, co potwierdza zwyczaj nastawiania zegarków na podstawie kursujących pociągów. Szlaki w dziedzinie kolejnictwa jeszcze w XIX w. przecierali pionierzy, tacy jak Hipolit Cegielski, którego przedsiębiorstwo działające od 1846 r. produkowało m.in. lokomobile. W czasie II RP produkcję taboru szynowego kontynuowały zakłady H. Cegielski – Poznań oraz H. Cegielski – Fabryka Pojazdów Szynowych. Obie firmy swą nazwą nawiązywały do działań niezłomnego przemysłowca, który mimo szykan ze strony zaborcy wytrwale kontynuował pracę u podstaw, działalność edukacyjną i patriotyczną. Funkcjonowanie firm w okresie międzywojennym zaowocowało wieloma udanymi konstrukcjami, jak np. pierwsza całkowicie opracowana i wyprodukowana w Polsce lokomotywa OKI27 czy będące ikoną nowoczesności wagony klasy Luxtorpeda.

W czasie okupacji niemieckiej fabryki zostały przestawione głównie na produkcję pod potrzeby wojenne III Rzeszy. Po II wojnie światowej zakłady kontynuowały swą przedwojenną misję, choć pod zmienionymi przez komunistów nazwami. W wolnej Polsce oba podmioty działalność kontynuowały już jako spółki.

TRUDNĄ DROGA FABRYKI POJAZDÓW SZYNOWYCH DO ODRODZENIA

Po zaniedbaniach okresu reprywatyzacji i nieudanej modernizacji zadania rewitalizacji poznańskiego kolejnictwa podjęła się Agencja Rozwoju Przemysłu SA, która w 2010 r. wykupiła 100 proc. udziałów w przedsiębiorstwie H. Cegielski – Fabryka Pojazdów Szynowych. Prawdziwy proces restrukturyzacji jest jednak możliwy dopiero dzięki nowej polityce gospodarczej rządu RP prowadzonej od 2015 r. Jeszcze trzy lata temu spółce groziła upadłość, a portfel zamówień wynosił niecałe 100 mln zł. Od ponad dwóch lat wskutek zmiany podejścia w zarządzaniu przez ARP realizowane są działania restrukturyzacyjne w obszarze finansów, produkcji, logistyki i organizacji. Dzięki temu nastąpił rozwój kompetencji i pozyskano nowe kontrakty, przy jednoczesnym obniżeniu pracochłonności i optymalizacji zadłużenia.

Dzisiaj Zakłady Cegielskiego w Poznaniu to przykład firmy, która dzięki konkurencyjnej ofercie staje się kluczowym graczem na rynku. Potwierdzeniem są kolejne kontrakty, które nie tylko przyczyniają się do stabilizacji finansowej spółki, lecz także pozwalają na zwiększanie zatrudnienia. Dzięki podpisanej w lutym br. umowie z PKP InterCity na produkcję 55 nowych wagonów o wartości niemal 500 mln zł, portfel zamówień spółki wzrósł do ponad miliarda złotych H. Cegielski – Fabryka Pojazdów Szynowych dysponuje obecnie ofertą odpowiadającą na potrzeby dwóch największych przewoźników w Polsce: PKP InterCity (produkcja nowych wagonów i modernizacja) oraz Przewozów Regionalnych (modernizacja EZT EN57). Spółka rozwija także swoją innowacyjność, pokazując, że sektor kolejowy może wykorzystywać nowoczesne rozwiązania. Potwierdzeniem tego jest uzyskane dofinansowania w programie sektorowym INNOTABOR na wykonanie pociągu z napędem spalinowo-elektrycznym do realizacji przewozów w ruchu regionalnym.

NOWE OTWARCIE W SEKTORZE KOLEJOWYM

Czerpiąc inspirację z kart polskiej historii, a także faktu, że stworzone przez Hipolita Cegielskiego przedsiębiorstwa bazowały na zaawansowanych technicznie i doskonałych jakościowo maszynach, ARP obrała sobie za cel zachowanie dziedzictwa Cegielskiego. Uzdrawiając kondycję posiadanych w swych aktywach firm z branży kolejowej, spółka przyczynia się do zachowania i rozwoju niezbędnej dla społeczeństwa oraz gospodarki domeny.

W ostatnich latach w portfelu Agencji Rozwoju Przemysłu znalazły się także Przewozy Regionalne oraz Polski Tabor Szynowy. Dzięki temu ARP, tak jak niegdyś Cegielski, staje się pionierem napędzającym rozwój i unowocześnianie polskich kolei. Agencja wprowadza wiele działań inwestycyjnych i restrukturyzacyjnych, które optymalizują koszty oraz zwiększają konkurencyjność firm, dzięki czemu kondycja podległych podmiotów diametralnie różni się od tej sprzed kilku lat. Owocuje to także wzrostem nakładów na badania i rozwój, co znajduje przełożenie w coraz większej innowacyjności firm. Dopełnieniem działań nawiązujących do przedsięwzięć wielkich Polaków działających w znacznie trudniejszych czasach są także programy Luxtorpeda czy budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego, dzięki któremu Polska ma szansę stać się centralnym hubem handlu międzynarodowego. Realizacja tych projektów, mających swe źródła u progu II RP, pokazuje, że istnieje mocna więź i analogia pomiędzy inicjatywami kilku pokoleń Polaków, którym przyświeca wizja budowy nowoczesnego i dbającego o obywateli państwa.

Krzysztof Bielak.

eprasa.pl fd2222a256

Rak płuca czeka na nowe terapie

Katarzyna Pinkosz

Wiemy, co robić, by zmniejszyć liczbę zachorowań na raka płuca, jak wcześnie go wykryć, jakie skuteczne leki zastosować. To dlaczego z jego powodu co roku znika z mapy Polski miasto wielkości Mrągowa?

FOT. FOTOLIA

Dobrą wiadomością jest to, że w Polsce zmniejsza się liczba palących mężczyzn. Gdyby tak samo było wśród kobiet, a przede wszystkim gdyby udało się zaszczepić wśród młodych modę na niepalenie, liczba nowych zachorowań na raka płuca szybko by się zmniejszyła. Dzisiaj na ten typ nowotworu zapada co roku ok. 21 tys. osób. Chorują jednak nie tylko palacze: 10 proc. mężczyzn i 20 proc. kobiet, który mają raka płuca, nigdy nie paliło papierosów. W dodatku często są to młode osoby, u których przebieg choroby jest bardzo agresywny. Przyczyna zachorowania w ich przypadku nie jest znana: może to być np. predyspozycja genetyczna, narażenie na bierne palenie, zanieczyszczenie powietrza, przewlekła obturacyjna choroba płuc.

TRUDNY NOWOTWÓR

W ostatnich latach bardzo poprawiły się efekty leczenia wielu nowotworów, m.in. piersi, prostaty, jelita grubego. Rak płuca jest wyjątkowo trudny do opanowania. Dlatego co roku nawet więcej osób umiera z powodu tego nowotworu, niż na niego zapada.

Najskuteczniejszą metodą leczenia jest operacja chirurgiczna, która w zależności od stopnia zaawansowania klinicznego nowotworu daje do 70 proc. szans na trwałe wyleczenie. Operacja jest jednak możliwa tylko u ok. 10–15 proc. chorych, gdyż zwykle rak płuca jest rozpoznawany w stadium zbyt mocno zaawansowanym. Pierwsze objawy: przedłużające się kaszel, zadyszka, uczucie duszności często są przez chorego bagatelizowane. Nawet jednak, gdy w końcu trafi do lekarza, zwykle nie podejrzewa on raka płuca, a raczej np. przewlekłą obturacyjną chorobę płuc. Jeśli nie wystawi od razu „zielonej karty" uprawniającej do szybkiej ścieżki onkologicznej, to pacjent może na wizytę do pulmonologa czekać kilka miesięcy, a kolejnych kilka na dalszą diagnostykę. Dlatego w 80 proc. przypadków raka płuca już w momencie postawienia diagnozy operacja jest niemożliwa – z powodu wielkości guza, zajęcia regionalnych węzłów chłonnych czy obecności odległych przerzutów. Jedynym wyjściem pozostaje leczenie systemowe (farmakologiczne) lub radioterapia.

IMMUNOTERAPIA TO PRZEŁOM

– Przez wiele lat w leczeniu zaawansowanego raka płuca nie działo się nic, nie pojawiały się żadne nowe leki, które przynosiłyby realną zmianę – mówi prof. Maciej Krzakowski, krajowy konsultant w dziedzinie onkologii klinicznej. Dopiero ostatnich kilka lat przyniosło zmiany. Najpierw pojawiły się leki ukierunkowane molekularnie dla chorych na raka niedrobnokomórkowego o typie niepłaskonabłonkowym z mutacjami w genach EGFR i ALK. Były one jednak szansą tylko dla wąskiej grupy – ok. 15 proc. pacjentów.

Przełomem w wielu nowotworach o złym rokowaniu stały się leki immunologiczne. Najpierw dzięki nim udało się zmienić rokowanie w zaawansowanym czerniaku. W 2015 r. zostały zarejestrowane w UE pierwsze dwa leki immunologiczne w płaskonabłonkowym raku płuca (niwolumab i pembrolizumab), a w 2017 r. pojawił się kolejny (atezolizumab) – pierwsze przeciwciało anty PD-L1 do leczenia chorych na zaawansowanego niedrobnokomórkowego raka płuca.

eprasa.pl fd2222a256

– Dzisiaj już nie rozważamy, czy leki immunologiczne będą przełomem w leczeniu raka płuca, bo one już są przełomem – nie ma wątpliwości prof. Dariusz M. Kowalski, kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii w Warszawie.

Leki immunologiczne (zwane też immunokompetentnymi) nie są typowymi lekami przeciwnowotworowymi. Działają na układ odpornościowy, który powinien już wcześniej zniszczyć nieprawidłową komórkę i w ogóle nie dopuścić do rozwinięcia się nowotworu. Komórki nowotworowe są jednak sprytne, potrafią ukryć się przed układem odpornościowym. Wykorzystują w tym celu tzw. punkty kontroli odpowiedzi immunologicznej.

– Na powierzchni komórki nowotworowej pojawiają się białka, które łączą się z cząsteczkami na limfocycie T. To powoduje, że pozostaje on nieaktywny, nie zwalcza komórki nowotworowej – tłumaczy prof. Paweł Krawczyk z Katedry i Kliniki Pulmonologii, Onkologii i Alergologii UM w Lublinie.

Leki immunokompetentne odblokowują układ odpornościowy. – To grupa przeciwciał monoklonalnych, które działają na tzw. punkty kontroli limfocytów T. Gdy zablokujemy te „negatywne" receptory, które wcześniej blokowały układ immunologiczny, to „odzyskuje on wzrok". Był zaślepiony, a teraz zaczyna znów widzieć komórki nowotworowe i je niszczyć – wyjaśnia prof. Dariusz Kowalski.

Najbardziej obiecującą grupą spośród leków immunokompetentnych są leki nazywane inhibitorami szlaku receptora programowanej śmierci limfocytu T, czyli inhibitory PD-1 (niwolumab, pembrolizumab) oraz liganda dla tego receptora, czyli inhibitory PD-L1 (atezolizumab). – Działają w nieco inny sposób: atezolizumab blokuje cząsteczkę występującą na powierzchni komórki nowotworowej, natomiast niwolumab i pembrolizumab blokują receptor PD-1 na powierzchni limfocytu. Efekty stosowania tych leków wydają się jednak na dziś zbliżone – mówi prof. Krawczyk.

W przypadku wszystkich terapii pojawiają się pytania, u których pacjentów będą one najbardziej skuteczne. W przypadku pembrolizumabu takim czynnikiem predykcyjnym jest wysoka ekspresja liganda dla receptora (PDL-1), dlatego do terapii kwalifikowani są chorzy, u których w badaniu patomorfologicznym zostanie stwierdzona wysoka ekspresja PD-L1 na komórkach nowotworowych. W przypadku atezolizumabu udowodniono, że działa on również u chorych bez ekspresji PDL-1. Oznacza to, że przed rozpoczęciem jego stosowania nie są konieczne szczegółowe badania oznaczające ekspresję PDL-1 czy PD-1, co w efekcie może pozwolić na skrócenie czasu oczekiwania chorego na dalsze leczenie i poszerza grupę chorych, którzy mogą z niej skorzystać.

SZERSZY DOSTĘP – DŁUŻSZE ŻYCIE

Mimo że leki immunologiczne są przełomem, a polscy eksperci są przekonani o ich efektywności, jak dotąd żaden z nich nie wszedł w Polsce do refundacji. Tylko niewielka część chorych ma szansę na ich stosowanie w ramach prowadzonych badań klinicznych. Większość dostaje klasyczną chemioterapię, choć udowodniono, że leki immunokompetentne są od niej znacznie skuteczniejsze: chorzy dłużej żyją w lepszej jakości życia.

– W przypadku leków immunologicznych niszczenie komórek nowotworowych postępuje przez cały czas w trakcie leczenia, jest możliwa nawet całkowita emisja i zniknięcie zmiany nowotworowej. 15–20 proc. pacjentów z zaawansowanym rakiem płuca żyje pięć lat i dłużej, co przed immunoterapią nie było możliwe – cieszy się prof. Paweł Krawczyk. Konieczne jest jednak stałe przyjmowanie leku, który „trzyma w ryzach" chorobę.

Powodzenie terapii w dużej mierze zależy od tego, jak wcześnie rak – nawet w zaawansowanym stadium – zaczyna być leczony. – Nieleczona choroba rozwija się. Po trzech–czterech tygodniach czekania pacjent może już być w takiej kondycji, że zostanie wykluczony z jakiegokolwiek leczenia chociażby ze względu na stan ogólny. Mimo tego, że leki immunologiczne są znakomite, muszą być one zastosowane w odpowiednim momencie. Choremu będącemu w stanie terminalnym żadne przeciwciała już nie pomogą – zaznacza prof. Dariusz Kowalski.

Mimo pozytywnych ocen ekspertów na razie ani niwolumab, ani pembrolizumab nie uzyskały pozytywnej decyzji Ministerstwa Zdrowia odnośnie refundacji. Wkrótce Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji ma zająć się oceną atezolizumabu. – Przy podejmowaniu decyzji trzeba brać uwagę to, że w innych nowotworach, np. czerniaku, raku piersi, jest dostęp do refundacji nowych leków, które wydłużają życie, nawet w bardzo zaawansowanych stadiach. W przypadku raka płuca nadal czekamy na znaczący postęp w leczeniu. Ważne są też korzyści, jakie uzyskuje pacjent: wydłużenie życia i poprawa jego jakości. Poza tym chorzy, którzy przyjmują przeciwnowotworowe leki immunologiczne, mają mniej działań ubocznych niż ci, którzy stosują klasyczną chemioterapię. A ostateczne koszty terapii zależą w dużej mierze od uzgodnień z firmą, m.in. w zakresie instrumentów podziału ryzyka, co jednak stwarza możliwość ich refundacji w polskim systemie ochrony zdrowia – mówi dr Marcin Kaczor, ekspert ds. farmakoekonomiki z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Profesor Kowalski zwraca uwagę na to, że na leczenie raka płuca, który jest najczęstszym nowotworem złośliwym w Polsce, NFZ wydaje jedynie 3,7 proc. wszystkich środków przeznaczanych na programy lekowe w onkologii. – Leki immunologiczne są dostępne i refundowane w czerniaku, a nie są dostępne dla chorych na raka płuca – zaznacza. – To nieuczciwe i nieetyczne dawać leki jednej grupie, a innej nie. Czekamy na zmiany – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr n. med. Mariola Kosowicz, psychoonkolog,
kieruje Poradnią Psychoonkologii w warszawskim Centrum Onkologii

Wiele nowotworów, do niedawna uważanych za nieuleczalne, powoli staje się chorobami przewlekłymi, które można leczyć długie lata. Tak zaczyna się dziać też w przypadku raka płuca. Niestety, nadal nie dla polskiego pacjenta. Przez wiele lat diagnoza: „zaawansowany rak płuca" była niemal wyrokiem. Osoby chore nie widziały dla siebie nadziei. Obecnie medycyna pozwala mieć nadzieję na wydłużenie życia, a nawet na wyzdrowienie. Świadomość, że można się leczyć, że cały czas trwają badania nad nowymi lekami, zmienia perspektywę myślenia i mobilizuje człowieka chorego do większego zaangażowania w proces leczenia.

eprasa.pl fd2222a256

Joanna Bojańczyk

Trzy rękawy, czyli „uggly”

Moda uwielbia szaleństwa i wybryki, to wiemy nie od dzisiaj. Jednak pytanie, czy są granice wygłupów, pada coraz częściej

Ubrania groteskowe, przypadkowe, niepasujące. Sztuka chaosu i wygłupu w modzie nosi teraz nazwę: styl „uggly”.

Oto dwa obecnie najgorętsze nazwiska w światowej modzie: Balenciaga i Gucci. Pierwszy – dom mody założony przez wybitnego hiszpańskiego (właściwie baskijskiego) krawca Cristóbala Balenciagę. Działał w Paryżu w latach 50. oraz 60. i tworzył wspaniałe kreacje o charakterystycznym zdecydowanym, geometrycznym kroju. Suknie bombki, szykowne wieczorowe płaszcze, innowacyjne tkaniny i bezkompromisowy, niepoddający się krytyce styl Balenciagi zdobyły mu opinię najwybitniejszego krawca epoki. „Mistrz dla nas wszystkich” – mówił o nim Dior. Po śmierci założyciela firma popadła na jakiś czas w zapomnienie. Została reaktywowana przez nowego właściciela, którym został międzynarodowy konglomerat producentów artykułów luksusowych – Kering. Jego młyny przepuściły kilku projektantów mody: pracowali tam Courrèges, Ungaro, Oscar de la Renta. Z mistrzem łączyło ich jedno: skłonność do niekonwencjonalnych rozwiązań za wszelką cenę. Brakowało im jednak wyczucia i tego, za co świat najbardziej cenił Balenciagę: on szył dla kobiet i myślał, żeby wyglądały pięknie. Wszyscy ci panowie uprawiali sztukę dla sztuki, zresztą bez większego sukcesu handlowego.

Ostatnim kandydatem na następcę wielkiego mistrza został gruziński projektant Demna Gvasalia. Myślę, że gdyby Cristóbal Balenciaga dostał się na jego pokaz, jego pierwszą myślą byłoby, jak stamtąd uciec. Gvasalia jest mistrzem wszystkiego, co dziwaczne, przeskalowane, niedopasowane, chaotyczne. Jego ostatni pokaz przypominał korowód uchodźców, którzy uciekając spod bomb, wrzucili na siebie, co było pod ręką... Z całym szacunkiem dla nieszczęsnych ofiar wojny: na wybiegu wyglądało to kuriozalnie, żeby nie rzec – nieprzyzwoicie. Czerwona kurtka z beżową podszewką w kratkę, żółty żakiet, niebieska sukienka w brązowe kwiaty, spod niej wystaje strzęp czarnej sukienki malowanej w kratkę i niebieskie buty... Na rękawie czerwonej kurtki różowa

FOT. VENTURELLI/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

eprasa.pl fd2222a256

bransoletka, na drugim rękawie bransoletka metalowa... Kurtka z błyszczącej folii, z jakiej robi się wytrzymałe torby do transportu materiałów budowlanych, naturalnie z wielkim logo firmy. Szal, którego samotną ozdobą jest gigantyczny napis „Balenciaga"... Brak pomysłu i handel logo to jedyne, co Gvasalii się udaje.

Drugi przykład to dom mody Gucci. Firma czerpiąca z długiej historii najwykwintniejszej włoskiej elegancji, tworzona przez kilka pokoleń rodziny Guccich, wyrosła z tradycji florenckiego kaletnictwa. Na skutek konfliktów rodzinnych w latach 80. została sprzedana. Dzisiaj, podobnie jak Balenciaga, należy do Keringa, dla którego jest jedną z maszynek do robienia pieniądzy, sprzedających oblogowane wyroby, głównie torebki. Działa to nieźle, bo logo Gucci jest znane i cenione od lat. Rosjanie i Chińczycy przepadają za torebkami z dwoma skrzyżowanymi G. Na stanowisku dyrektora artystycznego obecnie zatrudniony jest Włoch Alessandro Michele, projektant wykazujący się nieprzeciętnym talentem wyszukiwania w ubraniu wszystkiego, co groteskowe, niepasujące i osobliwe, oraz łączenia tego w jedną całość.

Parada Gucciego to kalejdoskop kabaretowych kombinacji, z których wiele inspirowanych jest serialem „Stranger Things"... Pan Michele ma szczególną inklinację do wełnianych pończoch, ortalionowych kurtek typu bazar na Stadionie Dziesięciolecia 15 lat temu, legginsobutów, bejsbolówek. Spódnica z zielonego brokatu w chińskie wzory łączy się u niego z czerwonawą marynarką w kratkę, szarymi adidasami i brązowymi skarpetkami. Modelka w sukience w kwiatki jak ponchem nakryta jest kocem w kratę, który robi wrażenie ściągniętego z legowiska psa, do tego butolegginsy w logo... Itp., itd.

To jeszcze nic. Prawdziwy popis wygłupów fundują nam ostatnie pokazy mody męskiej. Jeśli powątpiewają państwo, czy można zobaczyć coś ciekawego na pokazach mody męskiej poza marynarką i krawatem, to popełniają państwo poważny błąd. Można zobaczyć tam wszystko, tylko nie marynarkę i krawat.

Według projektanta nazywającego się Palomo Spain (Fashion Week w Madrycie) na wiosnę panów obowiązywać będą białe skórzane bikini oraz kozaki muszkieterki (do połowy uda) z czarnego lateksu; w razie chłodu można narzucić na to długą do ziemi pelerynę z białych gronostajów. Muszkieterki z lateksu w ogóle zapowiadają się na hit lata – widziano je na kilku wybiegach. W Londynie na głowie nosić się będzie blond peruki à la Marilyn Monroe, ewentualnie maski w kształcie psich głów. Także w Paryżu w dobrym tonie będzie wyjść na ulicę w masce – czaszce z bawolimi rogami i długimi, białymi zębami. W Nowym Jorku, gdzie – jak wiadomo – żadna ekstrawagancja nie wzbudza zainteresowania, półnadzy tancerze (pokaz Sánchez-Kane) wystąpili z wielkimi gipsowymi penisami. Może ktoś się obejrzy.

Na widok tego wszystkiego normalny człowiek puka się w czoło i zastanawia, po co cały ten cyrk. Przecież wokół siebie niczego takiego nie widzi, w klubach gejowskich rzadko bywa, a gdy sam idzie do sklepu, to na zimę/wiosnę kupuje kolejną niebieską koszulę czy kolejny szary sweter.

Od czasów Freuda w sztuce emocje wzięły górę nad wykonaniem, doprowadzając do powstania dziesiątków pseudodzieł. W modzie jest podobnie

Jednak to wszystko nie dzieje się po nic. Pokazy mody są kosztowne i nikt nie wyrzuca pieniędzy w błoto tylko dla rozrywki gawiedzi, która te dziwadła ogląda potem w Internecie.

A zwłaszcza właściciel korporacji, takiej jak Kering czy LVMH, gdzie dział księgowości pracuje pełną parą, licząc straty i zyski. Pokaz musi przełożyć się na sprzedaż, nie ma zmiłuj.

Musi promować markę i do tego psia głowa czy lateksowe bikini nadają się doskonale. Nawet niezbyt uważnemu czytelnikowi (choćby tego tekstu) gdzieś w tyle głowy może zapisać się nazwisko autora. To nie znaczy, że zaraz skoczy po muszkieterki z lateksu, ale pomyśli sobie: „O, ten sławny facet z Londynu". I o to chodzi. Zwykła reklama dzisiaj to za mało. Młody klient, a dziś to on jest najważniejszym targetem drogich marek – tylko takie stać na pokaz mody w Paryżu czy Mediolanie – oczekuje czegoś więcej. Czegoś niecodziennego, podniesienia temperatury emocji.

To oglądacz „Gry o tron", gdzie fikcja miesza się z rzeczywistością, gdzie zacierają się granice realu.

W modzie, tak jak w całym sektorze współczesnych mediów, chodzi o emocje. One są ważniejsze niż porządna robota. Młodzi „kreatorzy", którzy pracują dzisiaj pod szyldem domów mody z tradycją, nie zadają sobie trudu, żeby zapoznać się z dorobkiem firmy, zobaczyć, jak pracowali ich wybitni poprzednicy. Niewiedzę traktują jako atut i zdezorientowana publiczność to kupuje. Nie wie, czy słuchać ich instrukcji, czy raczej się z nich śmiać. W czasach, w których odrzucono reguły społeczne dotyczące ubierania się, wszelkie dress code'y, uznając je za przejaw kultury drobnomieszczańskiej, nikt już nie wie, co wypada, a co nie. Czy w ogóle wypada mówić „wypada"? Nawet o mężczyźnie, który półnagi wychodzi na scenę w peruce i lateksie?

Od czasów Freuda w sztuce emocje wzięły górę nad wykonaniem, doprowadzając do powstania dziesiątków pseudodzieł. W modzie jest podobnie. Uszyć dobry żakiet to sztuka, której trzeba się nauczyć. On nie może mieć trzech rękawów. Pokazanie faceta w hełmie nabijanym gwoździami przełoży się na większą obecność w mediach. To nic, że publiczność zastanawia się, czy powinna zachwycać się kombinacjami typu: suknia wieczorowa plus kalosze, plus chustka na głowę, smoking, a do niego owe rytualne lateksowe muszkieterki. Kto powie „król jest nagi"?

To, że zestawienia Balenciagi czy Gucciego nazwiemy stylem „uggly", nie oznacza, że przestały być brzydkie. W modzie głosy krytyki również są coraz śmielsze. A ostateczny głos i tak ludzie oddają przy kasie.

Jeszcze jedno: jeśli chodzi o modę damską, to akcja #metoo sprawiła, że wszelkie ubrania podkreślające kobiecość stają się podejrzane. Lepiej przytłoczyć dziewczynę kocami, chustkami, marynarami, na głowę wsadzić jej paskudną czapkę, na nogi wełniane pończochy i groteskowe adidasy. Taka kobitka będzie poza zasięgiem męskich spojrzeń, a te, jak wiadomo, niosą w sobie wyłącznie niebezpieczeństwo molestowania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fd2222a256

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Fatalna Zosieńka

Zofia Opalińska, primo voto Koniecpolska, secundo voto Korecka, miała w XVII w. opinię niewiasty sprowadzającej nieszczęście na kolejnych małżonków. Jej życie pokazuje też, że w dawnych czasach kobieta, nawet wysokiego urodzenia, nie była zdominowana przez mężczyzn i miała wolną wolę nie tylko w kwestii wyboru małżonka, lecz także w codziennym życiu.

Zosieńka, córka Piotra Opalińskiego, wojewody poznańskiego, urodzona najprawdopodobniej w 1621 r., sprawiała wiele problemów braciom – rwącym się do kariery Krzysztofowi i Łukaszowi. Pierwszy z nich i starszy zasłynął jako mówca oraz polityk, a przede wszystkim niesławny wódz, który poddał w 1655 r. Wielkopolskę Szwedom. Opalińska jako młoda i piękna kobieta odrzucała przez wiele lat wszelakie propozycje małżeńskie, zaaranżowane przez rodzinę, a jeśli nawet skłaniała serce ku któremuś z kandydatów, to z kolei ten nie podobał się braciom. Jednocześnie zaś prowadziła swobodne życie, utrzymując na swoim dworze licznych wielbicieli i przyjaciół. Z usposobienia była dziwna, z jednej strony wyniosła wobec osób nie tylko niższego stanu, lecz także nawet biedniejszych panów braci, co oburzało Krzysztofa. Chciał on z kolei uchodzić za szlacheckiego trybuna i obawiał się, że niechęć szlachty utrąci mu karierę. „Azaż sługa nie szlachcic – biadał w liście do Łukasza, kiedy Zofia nie chciała tańczyć ze służącym brata. – Azaż przez to honor traci, że służy?" Z drugiej strony jednak Opalińska utrzymywała wielu wierszokletów i pochlebców wywodzących się nie tylko ze szlachetnie urodzonych.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Kiedy panna osiągnęła wiek poważny, bo ok. 22 lat, Krzysztof Opaliński uderzył na alarm i postanowił za wszelką cenę wydać siostrę za mąż. „Panna w lata idzie – biadał. – Owej pięknej płetki i połowicę już nie masz". Wraz z bratem zaczęli wozić ją na sejmy, prosić o pomoc kanclerza Jerzego Ossolińskiego. A kiedy wreszcie znaleźli jej Ludwika Wejhera, panna go odrzuciła. Wywołało to wściekłość Krzysztofa, zresztą autora satyry „Na zepsowanie stanu białogłowskiego", który rozpaczał, że można by na coś takiego pozwolić, gdyby się dało wśród konkurentów „przebierać jak w grzybach, ale zgoła odstraszyliśmy ludzi tym naszym zwlekaniem".

Ostatecznie w 1646 r. znalazła się partia, i to nie byle jaka, bo był to owdowiały hetman Stanisław Koniecpolski, najpotężniejszy magnat w Rzeczypospolitej. Miał on ok. 52 lat, panna zaś 25, nie to było jednak zawadą. Koniecpolski tak był rad z młodej żony, że zażył zbyt dużo afrodyzjaków i zmarł, osierocając nie tylko żonę, ale – co gorsza – Rzeczpospolitą. W dodatku hetman nie zapisał małżonce ani grosza. Na szczęście jego syn Aleksander okazał więcej serca (a plotkowano nawet, że łączyło ich coś więcej!), nie poskąpił jej pieniędzy, a zrozpaczona Zofia zamknęła się na jakiś czas w klasztorze sióstr Benedyktynek w Jarosławiu.

Nie pozostała bez konkurentów – już w 1647 r. o jej rękę zaczął zabiegać książę Samuel Korecki ze znanego ruskiego rodu kniaziowskiego, dziedzic licznych włości na Ukrainie. Zofia nie była mu obojętna, w lutym 1651 r. ich ślub odbył się w Rytwianach. I zakończył dramatem!

Korecki bił się z Kozakami Chmielnickiego w latach 1648–1649 i pod Zbarażem odniósł ciężką ranę. Ukrywał ją jednak przed przyszłą żoną, a kilka dni przed ślubem zachorował tak bardzo, że później ledwie potrafił dotrwać do końca ceremonii. Z kościoła wyszedł ledwie przytomny i zaraz trafił do łoża, gdzie leżał w malignie, nie poznając żony. Sześć dni po ślubie, 12 lutego, umarł niespodziewanie, pozostawiając Zofię wdową. Wieść o jego śmierci dotarła na Ukrainę, gdzie wojska polskie szykowały się do przyszłej kampanii beresteckiej. Doszła też do Kozaków i zbuntowanych chłopów, dając początek legendzie oraz pieśniom, w których dzielny i mimo wszystko lubiany kniaź został oczarowany przez Laszkę diablicę, która zabiła go pocałunkiem. Jeszcze gorsze opinie zaczęły krążyć wśród szlachty. Już w 1646 r. przypisywano Zofii winę za śmierć Koniecpolskiego, a teraz zebrała się przeciwko niej istna fala – można by rzec – XVII-wiecznego hejtu. Pisano – oczywiście w listach i drukach ulotnych, bo Internetu nie było – że jest kobietą fatalną, przynoszącą śmierć kolejnym mężom. Rzekomo miała być opętana przez diabła, który opanował Zofię i mamił ją, a potem zabijał kolejnych sławnych rycerzy. Oczywiście jak wiele nadobnych niewiast podejrzewano ją także o trucicielstwo i czary.

Tych wszystkich oskarżeń Zofia nie zniosła. Usunęła się z życia publicznego i właściwie nie wiemy, co robiła przez ostatnie lata życia. Zmarła w zapomnieniu w 1657 r., w okresie zamętu, szwedzkiego potopu i innych nieszczęść, które spadły na Koronę i Litwę, osamotniona oraz złamana. ©℗

eprasa.pl fd2222a256

PRZEPIS NA KURCZAKA OD JOANNY GWIAZDY

W niełatwych czasach PRL, gdy bardzo trudno było dostać mięso, najłatwiejszy do zdobycia był drób. Znalazłam wtedy ciekawy przepis na kurczaka „po chińsku". Do dziś przygotowuję udka z kurczaka w ten sposób.

Kiedy spodziewamy się gości, to gotuję wcześniej duży garnek udek z kurczaka i wystawiam na balkon. Mieszkamy z mężem na powierzchni 34,5 mkw., balkon na szczęście posiadamy, choć jest niewielki. Później odgrzewam danie i podaję gościom. Dzięki temu nie muszę podczas odwiedzin spędzać w kuchni zbyt wiele czasu, co by mogło pozbawić mnie ciekawych dyskusji.

Danie dzięki dodaniu cynamonu i winogron smakuje jak kurczak w chińskim sosie, choć z kuchnią chińską nie ma wiele wspólnego.

Składniki:

- 4 udka kurczaka
- 2 czerwone papryki
- 1 żółta papryka
- 4 cebule
- 2–3 ząbki czosnku
- 30 dag białych winogron
- cynamon
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Udka z kurczaka przyprawiamy solą i pieprzem, a potem rumienimy na patelni. Kiedy skórka będzie lekko zrumieniona, przekładamy do garnka, w którym wcześniej doprowadzamy do wrzenia niewielką ilość wody. Dodajemy posiekaną cebulę, czosnek i pokrojoną paprykę. Kroimy ją na niezbyt drobne kawałki, może być w kostkę. Całość dusimy, aż papryka i mięso będą miękkie. Nie powinno to potrwać dłużej niż godzinę. Pod koniec gotowania układamy na wierzchu garnka winogrona w całości. Powinny one zmięknąć, ale się nie rozpaść. Przyprawiamy cynamonem. Na tę ilość składników powinny wystarczyć dwie płaskie łyżeczki. Mieszamy całość, aby rozprowadzić cynamon, i dusimy jeszcze kilka minut. Podajemy z białym pieczywem. ©℗ ***oprac. raw***

Joanna Gwiazda – działaczka opozycji demokratycznej w PRL, publicystka, dama Krzyża Wielkiego Orderu Odrodzenia Polski.

FOT. JAKUB WALASEK/REPORTER

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sikh karmi Warszawę

Gdy robi się zimno, wzmaga się ludzka solidarność z wyrzuconymi poza system. Dobrze, że chociaż wtedy... Była „Zupa na Plantach", akcja żywnościowa wspierająca krakowskich bezdomnych, inicjatywa Piotra Żyłki i Błażeja Strzelczyka. Na tyle skuteczna, że rozprzestrzeniła się z Krakowa do Rzeszowa, Sopotu, Poznania. W Warszawie działa Jadłodajnia Braci Mniejszych Kapucynów przy ul. Miodowej, w której codziennie 200 osób, i nie tylko w zimie, dostaje ciepły posiłek. Akcje dożywiania ludzi, którzy znaleźli się bez dachu nad głową, prowadzi Caritas, wrocławska fundacja Sancta Familia zajmuje się nie tylko prowadzeniem kuchni charytatywnej, lecz także wychodzi potrzebującym z pomocą psychologiczną i – jeśli trzeba – prawną. Jednak w zimie najważniejsze jest to, by przeżyć. Dlatego wysokokaloryczna, gorąca zupa z mięsem i warzywami to podstawa.

Akcje dożywiania organizują również gminy w całej Polsce, jednak większość pomocowych organizacji związana jest z Kościołem. A tutaj nagle nietypowo.

Gdy przechodzień w drodze po zakupy do Hali Mirowskiej w Warszawie poczuje zapach curry, zaczyna się rozglądać za kolejną, nowo otwartą indyjską restauracją. Jednak nie – tu stoi kolejka ludzi, którzy nie wyglądają na bywalców ogwiazdkowanych knajp.

FOT. WARSAW SEVA/FACEBOOK

To sprawka organizacji Warsaw SEVA Association, która od półtora roku trzy razy w tygodniu wraz z wolontariuszami wychodzi na ulice Warszawy, by rozdawać jedzenie i ciepłe napoje bezdomnym. W środy i niedziele są pod Halą Mirowską, w piątki pod Pałacem Kultury.

SEVĘ prowadzi Charanjit Singh, mówią na niego Toniwalia. Urodził się w Indiach, jest sikhem, ale w Polsce mieszka od 25 lat. Przez ponad 17 lat prowadził Tandoor Palace, jedną z najlepszych indyjskich restauracji w Warszawie. W 2014 r. sprzedał lokal i zajął się pomaganiem.

W menu są wegetariańskie dania z warzyw, ryżu, ziemniaków, do tego kawa. Przychodzą nie tylko bezdomni, lecz także biedniejsi ludzie z okolicy. Akcja nie skończy się z początkiem wiosny – przeciwnie. W kwietniu będzie odbywała się cztery razy w tygodniu, a w planie SEVY jest codzienna stołówka.

Budujący przykład, tym bardziej że chodzi o cudzoziemca pochodzącego z kraju, który wielu Polaków uważa za biedniejszy od Polski. Jak widać, prostej ludzkiej solidarności i dobroci można się uczyć od każdego. ©℗

TEST „DO RZECZY": PANASONIC DC-G9

Zaawansowany i superszybki autofokus, możliwość nagrywania filmów w rozdzielczości 4K oraz robienia zdjęć w pełnej rozdzielczości z prędkością aż 60 kl./s – to największe zalety najnowszego bezlusterkowca Panasonica.

Aparat w systemie Mikro Cztery Trzecie jest kierowany do profesjonalistów lub zamożnych i ambitnych amatorów. Piękno zapierającej dech w piersiach egzotycznej przyrody, światła wielkiego miasta czy fotografowanych postaci pomaga uchwycić matryca o rozdzielczości 20,3 Mpix, która w trybie Hi Res umożliwia uzyskanie rozdzielczości 80 Mpix.

Autofokus jest precyzyjny, bardzo szybki – reaguje w czasie 0,04 s – i dobrze radzi sobie zarówno, gdy światła jest za mało, jak i gdy fotografujemy pod światło. Testowany model oferuje aż 225 punktów AF, które można wybrać za pomocą dżojstika (sam dżojstik mógłby szybciej reagować i być bardziej precyzyjny). Osoby fotografujące zwierzęta, dzieci, sportowców lub inne szybko poruszające się obiekty ucieszy wiadomość, że minimalny czas otwarcia migawki mechanicznej wynosi 1/8000 s. Dobrze sprawdza się też funkcja śledzenia obiektu, dzięki której aparat sam utrzymuje ostrość na fotografowanej osobie czy zwierzęciu. Zdjęcia są ostre, pełne szczegółów i wiernie oddające kolory.

Ten model Panasonica oferuje również tryb 6K Photo, który pozwala robić zdjęcia z prędkością 30 kl./s. Aparat umożliwia jednak robienie nie tylko ostrych zdjęć, lecz także kręcenie filmów w jakości 4K z prędkością 60 kl./s lub w Full HD z prędkością 180 kl./s.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Znajdowanie najlepszego kadru ułatwia duży wizjer OLED o rozdzielczości 3 680 000 punktów oraz obracany i odchylany 3-calowy ekran LCD. W robieniu zdjęć i nagrywaniu filmów pomaga z kolei pięcioosiowa stabilizacja obrazu Dual I.S.

Wykonany z magnezu korpus aparatu jest solidnie i starannie wykonany. Klasyczny design sprawia, że bezlusterkowiec Panasonica przypomina tradycyjne lustrzanki. Obudowa została uszczelniona, dzięki czemu jest odporna na pył i wilgoć. Aparatu można więc używać nawet przy marcowych mrozach (bez problemu znosi temperatury sięgające –10 st. C). Dziesięć programowalnych przycisków wystarczy w zupełności. Skrytykować mogę jedynie bardzo niewygodne umiejscowienie przycisku nagrywania filmów wideo.

Podczas wypraw fotograficznych przydatne jest również podwójne gniazdo kart pamięci – zdjęcia i filmy mogą być zapisywane najpierw na pierwszej, a potem na drugiej karcie lub też – jeśli wyruszamy na wyjątkowo ważne zlecenie – mogą być zapisywane na obu kartach jednocześnie, aby zminimalizować ryzyko utraty danych. Szkoda jednak, że producent nie dał możliwości zapisywania zdjęć np. w formacie JPEG na pierwszej karcie, a w formacie RAW na drugiej. To jednak tylko drobny minus.

Niestety, nie jest to tani gadżet. Cena samego korpusu wynosi ok. 7,5 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

DLA MIŁOŚNIKÓW SZYFRÓW

Wiecie oczywiście, że Polacy należą do najlepszych na świecie kryptografów? To znaczy: świat może o tym nie zawsze pamięta, ale my powinniśmy, że to właśnie matematycy z Uniwersytetu Poznańskiego – Henryk Zygalski, Jerzy Różycki i Marian Rejewski – złamali kod Enigmy. A miłośników szyfrów i matematycznych łamigłówek może zainteresować Cryptex, czyli artefakt wyglądający jak tajemniczy zamek z „Kodu Leonarda da Vinci" Dana Browna ze specjalną skrytką. Świetnie wyglądający Cryptex umożliwia z jednej strony przechowywanie przedmiotów, które chcielibyśmy ukryć przed rodziną i bliskimi, typu pamiętniczek, pierwsze czytane w życiu pismo dla mężczyzn, spis wydatków, których mąż nie powinien znać – tajna komora ma 26,5 cm sześc., więc co nieco do środka wejdzie, z drugiej – pozwala na edukacyjną zabawę w tworzenie nawet skomplikowanych kryptogramów. Cryptex – zamówiony na Kickstarterze do czerwca – będzie kosztował ok. 100 zł.

KLOCKI MAŁEJ GWIAZDY POP

Zwróciliście kiedyś uwagę na minę rodzica, którego małemu dziecku podarowaliście prezent emitujący sporo dźwięku? Dla złośliwych podwójna frajda – po pierwsze, z autentycznej radości malucha i po drugie, ze z trudem skrywanego niezadowolenia jego poważnych, wielbiących domową ciszę opiekunów. Jako że jestem odrobinę złośliwy, natychmiast spodobał mi się projekt miłośnika muzyki z Glasgow przeznaczony właśnie dla maluchów: Soundbops, czyli muzyczne klocki. Intrygujący projekt dający dzieciom szansę, że w przyszłości będą niczym Zenek Martyniuk i Sławomir razem wzięci. Soundbops uczą dzieci muzyki, rozróżniania dźwięków, tworzenia własnych melodii. Jak? Dzieci muszą ułożyć klocki-nuty potrzebne do stworzenia własnego muzycznego arcydzieła, ustawiając je w jednym z wielu zaprogramowanych wcześniej bloków tworzących w efekcie uproszczony zapis muzyczny. Ponieważ jednak każdy klocek prezentuje inną nutę, odgrywaną po włożeniu do specjalnego pudełka i naciśnięciu go, maluchy mogą też eksperymentować. Ba, można też wybierać spośród wielu instrumentów, których dźwięki mają być właśnie imitowane. Dużo edukacji, dużo frajdy dla malucha. Nieco mniej dla rodzica, bo pomijając hałas, na Soundbops trzeba wydać na Kickstarterze ok. 500 zł. Pomyślcie jednak o tym jako o inwestycji w przyszłego twórcę takich przebojów jak „Majteczki w kropeczki"... ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl fd2222a256

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Populizm kontratakuje

MARCIN MAKOWSKI: Widmo eurosceptycyzmu krąży nad Starym Kontynentem, a populistyczna przepowiednia Tyrmanda sprawdza się w kolejnym kraju. Tym razem we Włoszech, gdzie nieoczekiwanie dla wielu obserwatorów wybory wygrywa Ruch Pięciu Gwiazd Beppe Grilla. Pewnie skaczesz z radości...

MATTHEW TYRMAND: A mam być smutny? W końcu nie tylko Grillo wygrał, lecz także umocniły się inne partie antyestablishmentowe na Półwyspie Apenińskim. Ludzie po prostu widzą, co się dzieje, szczególnie tam, gdzie muszą się zmagać z realnymi skutkami kryzysu imigracyjnego. Gdy obudziłem się już po głosowaniu, w „New York Timesie" przywitał mnie najmilszy nagłówek od dawna: „Niepokojące wyniki wyborów we Włoszech". W środku niepewność, kto zostanie nowym premierem, ale brak wątpliwości co do tego, że tamtejszy rząd dołącza do grona „Polski, Węgier i Stanów Zjednoczonych, gdzie sceptycznie spogląda się na politykę migracyjną i wartości demokratyczne".

Cóż, chyba jesteśmy w coraz lepszym gronie.

Demokracja po prostu kolejny raz udowadnia, że potrafi się wymknąć wąskim horyzontom lewicowo-liberalnych elit i obrócić się przeciw ich poukładanej wizji świata. Pamiętam, jak kilka miesięcy temu ludzie pisali mi: „Zobacz, we Francji rządzi Macron, w Niemczech stara koalicja. Myliłeś się". Gdzie się teraz podziewają, gdy w sondażach drugą siłą polityczną „lidera Unii" zostaje AfD, a En Marche!, nie spełnia pokładanych w niej nadziei? Awangarda postmodernizmu, multikulturalizmu, otwartych granic, euroentuzjazmu i kultu postępu powoli, ale systematycznie się rozpada. Tak jak mówiłem w naszych rozmowach wiele razy, nie będzie to proces jednostajny, ale trend populistyczno-antyestablishmentowy sukcesywnie zyskuje na sile.

Zdajesz sobie sprawę, że nie wszyscy w Polsce muszą podzielać twój entuzjazm? Nie każdy spogląda z nadzieją np. na prorosyjską AfD.

Trudno, Polacy też dla wielu innych państw mogą być niewygodnym partnerem, patrzą najpierw na własny interes i potrafią być ksenofobiczni. To normalne w społeczeństwach homogenicznych etnicznie i kulturowo, które pragną zachować dziedzictwo narodowe i kwestionowaną przez inne państwa tożsamość. Wolę taki stan rzeczy, konkurencyjność handlową i autentyczną walkę o wpływy niż udawany sojusz, który i tak odbywa się pod dyktando Niemiec.

Wracając do kryzysu polsko-izraelskiego... Ostatnio jego argentyńską kartę dopisała Reduta Dobrego Imienia, pozywając dziennik „Página 12" za zilustrowanie tekstu o Jedwabnem zdjęciem pomordowanych żołnierzy wyklętych. Czy komentowano tę sprawę w USA?

Owszem, i nie tylko w tradycyjnych mediach, lecz także na portalu BuzzFeed, czytanym przez 200 mln użytkowników miesięcznie. Mam wrażenie, że to, co robią ci ludzie, przypomina sabotaż. Maciej Świrski – założyciel Reduty – nagle odcina się od jej działań, ale możemy się domyślać, że bez jego błogosławieństwa takie akcje nie byłyby możliwe. Czy nikt tam nie ma oleju w głowie? Te same zarzuty dotyczą nieudolnej działalności Polskiej Fundacji Narodowej. Mam nadzieję, że głosy, które do mnie dochodzą, są prawdziwe, i Mateusz Morawiecki zaczął się bacznie przyglądać działalności PFN. Zachowuję jednak umiarkowany optymizm co do sposobu, w jaki rząd radzi sobie na polu wizerunkowym. Jeśli na klasyczną „charm offensive" do Waszyngtonu wysyła się Marka Magierowskiego, który stylem bycia przypomina średniowiecznego księcia, to ktoś nie zrozumiał, jakim zachowaniem pozyskuje się sympatię amerykańskich polityków. Nie można każdemu powtarzać tych samych argumentów, nie dostosowując narracji do odbiorcy, a z tego, co słyszałem, tak właśnie zachowywał się Magierowski. Pod tym względem znacznie lepiej sprawdziłaby się Anna Maria Anders – to ona dzisiaj dźwiga sporą część wojny komunikacyjnej. ©℗

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl fd2222a256

OKIEM BLOGERKI

KATARYNA

Ministerstwo Głupich Kroków

JAN PARYS: ***Zmiany w ustawie o IPN nie mogą być wynikiem kompromisu między Trybunałem Konstytucyjnym, Sejmem i kierownictwem PiS. Potrzebne są konsultacje zmian z Departamentem Stanu.***

I tak oto jednym zdaniem, nawet nie wielokrotnie złożonym, szef gabinetu politycznego byłego ministra spraw zagranicznych ośmieszył dwa wielkie dzieła Ministerstwa Sprawiedliwości – nowelizację ustawy o IPN i reformę wymiaru sprawiedliwości. Zauważyliście, że większość problemów, jakie dzisiaj mamy na arenie międzynarodowej, ma swoje źródło właśnie w resorcie Ziobry? Reformą sądownictwa poprowadził nas na wojnę z Unią Europejską, ustawą o IPN z Izraelem i Stanami Zjednoczonymi, i żebyśmy chociaż wiedzieli, po co jemy tę żabę.

Nowelizacja ustawy o IPN okazała się tak potrzebna i tak dobra, że nawet w rządzie mają nadzieję na szybkie jej utrącenie w Trybunale Konstytucyjnym. Wiceminister spraw zagranicznych Bartosz Cichocki na pytanie dziennikarza, co będzie, jeśli Trybunał uzna, że ustawa jest zgodna z konstytucją i powinna pozostać w takim kształcie, w jakim PiS ją przepchnął, odpowiada: „To wtedy się będziemy martwić" i jest to bodaj jedyny przypadek, kiedy urzędujący minister martwi się, że TK może niczego nie zmienić w rządowej ustawie. A jest się o co martwić, przypadek akcji solidarnościowej argentyńskiej prasy w obronie gazety, przeciwko której użyteczni idioci z Reduty Dobrego Imienia postanowili wykorzystać ustawę, najlepiej pokazał, że w takim kształcie jest śmiertelnie niebezpiecznym narzędziem dla wszelkiej maści oszołomów i tak właśnie będzie wykorzystywana. Bez oglądania się na sens i koszty.

Na szczęście dla nas wszystkich Julia Przyłębska, osoba bez dorobku i autorytetu, nie po to została wsadzona do Trybunału Konstytucyjnego, żeby mieć tam własne zdanie, i z pewnością uda się z nią „wykompromisować" właściwą – oczywiście niezależną i niezawisłą – decyzję. Niestety, może się to trochę odwlec w czasie, ponieważ w ramach reformowania samego Trybunału PiS wprowadził – powszechnie krytykowaną, ale wiadomo, że jak się ma większość, to się nie trzeba wsłuchiwać w argumenty drugiej strony – zasadę rozpatrywania spraw w kolejności ich wpływu, więc Trybunał popędzany przez kancelarię premiera już sygnalizuje, że na pochylenie się nad ustawą o IPN potrzebuje jakieś sześć miesięcy. Skala szkód, jakich ten legislacyjny bubel może jeszcze narobić, jest nie do oszacowania. Skoro już płacimy tak wysoką cenę, dobrze byłoby choć wiedzieć za co, bo na razie jedyny efekt kolejnego aktu „wstawania z kolan" to konflikt z Izraelem i Amerykanami, do którego za chwilę dojdzie upokorzenie związane z koniecznością negocjowania z obcymi państwami kształtu polskiej ustawy.

„To uczciwie zarobione pieniądze za sukcesy dyplomacji polskiej" – tak były szef dyplomacji Witold Waszczykowski uzasadniał ponad 70 tys. nagrody, którą uprzejmie przyjął za swoją pracę w zeszłym roku. I obawiam się, że on naprawdę tak myśli, podobnie jak reszta oderwanych od rzeczywistości jego kolegów z rządu, przekonanych, że nas wszystkich podnoszą z kolan. I w tym podnoszeniu nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. ©℗

PODSŁUCHANE

Cierpliwość dla mocarstwa

Jarku, niedobrze jest.
Co jest niedobrze, Mateuszku? Moim zdaniem wszystko jest świetnie. Zobacz, jaki Czaruś zadowolony. Mysz dzisiaj z piwnicy przyniósł. Bardzo był dumny.
Tak, tak, śliczny piesek... Kotek, znaczy. Ale niedobrze jest z Amerykanami. Oni naprawdę nie chcą ze mną gadać. I z Andrzejem też nie.
Z Andrzejem to i mnie się nie chce, więc się nie dziwię. A że z tobą... Tak między nami, Mateusz, to ty też mi od paru miesięcy nic nowego nie powiedziałeś. Ciągle tylko te samochody elektryczne i że na ZUS brakuje. No ile można?
Tak, ale ja mówię o ważnej sprawie. Mamy sygnał, że żadnego spotkania na szczycie nie będzie, jeśli nie rozbroimy tej cholernej ustawy o IPN.
Słychać wycie? Znakomicie.
Że jak?
Że tak. To jest po prostu kolejny etap wstawania z kolan. Ty masz krótką perspektywę, w prawdziwej polityce to ty dwa lata z kawałkiem jesteś, a ja – ho, ho! Polskę moją widzę ogromną i mocarną, ale bądź cierpliwy, to musi potrwać, a najpierw trzeba pocierpieć.
Potrwać? Ile?!
Tak ze 100 lat. Może 150.
O matko...
Tak, tak. A czy dałoby się zrobić taki mały elektryczny samochodzik dla Czarusia? Żebym mógł mu tutaj puszczać. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Panie ministrze, czy pan mrugnął do mnie w tym momencie? To jest szowinistyczne i naprawdę absolutnie nielicujące z powagą komisji zachowanie".

KAMILA GASIUK-PIHOWICZ, *posłanka Nowoczesnej, podczas posiedzenia sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka*

eprasa.pl fd2222a256

fot. J. Gumowski

Wskazówka

Ustawa o pozbawieniu Jaruzelskiego i Kiszczaka rang generalskich stała się kolejnym już frontem *„wojny polsko–polskiej”*, rozpętując szereg medialnych dyskusji. Redaktor Tomasz Walczak z **„Super expressu”** o opinię spytał legendarnego dysydenta ery ZSRR, Władimira Bukowskiego, a ten się bardzo dziwił czemu kara przychodzi tak późno: *„ — Jaruzelski i Kiszczak zapisali się w historii Polski jak najgorzej, są winni komunistycznych zbrodni, lecz włos im z głowy nie spadł! Jestem zdziwiony, że za te zbrodnie nie odpowiedzieli przed sądem już w latach 90–ych! (...) Nie rozumiem dlaczego przez tyle lat chodzili wolno, bez skazujących wyroków...”*. Ponieważ red. Walczak nie wyjaśnił tego interlokutorowi, czynię to dzisiaj ja. Gospodin Bukowskij, wam nada znat’ szto w tamtej Polsce, którą *„z mocy konszachtu okrągłostołowego”* rządzili *„komuniści przefarbowani na demokratów, «różowi» manipulatorzy udający liberałów oraz byli agenci bezpieki przywdziewający piórka antykomunistów”* (to moja wypowiedź z wywiadu dla australijskiego **„Tygodnika Polskiego”** 20–III–1993) — *„playmakerem”* był guru postesbeckiego Salonu III RP, Adam Michnik. On decydował kogo karać, a kogo nagradzać. *„On jest tutaj sędzią, alfą i omegą”* — mówił wówczas (1991) rozgoryczony Stefan *„Kisiel”* Kisielewski, konkludując: *„Michnik to totalitarysta”*.

Od samego początku III RP patrioci żądali, by ukarać komunistycznych zbirów, zwłaszcza tych mających szczególnie dużo krwi na rękach — Jaruzelskiego (szefa junty niewolącej kraj) i Kiszczaka (szefa okrutnej bezpieki, mordującej nawet duchownych ze swoistą regularnością) — ale gdy sprawa trafiła do Sejmu, rozstrzygnął ją tam kategorycznie decydent główny, Michnik. Wszedł na mównicę (28–IV–1990), ryknął: *„ — Co ja tu słyszę?! Nienawiść!!...”*, po czym przezwał te żądania *„jaskiniowym antykomunizmem”* i zwymyślał żądających sprawiedliwości *„faszystów”*. Tego samego roku gościł Michnika Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie. Gość dał tam z trybuny wykład o tym, że *„Polsce grozi antykomunistyczna dyktatura, szowinizm, klerykalizm, populizm i ksenofobia, także antysemicka”*. W ramach zwalczania tych zagrożeń formacje polityczne z kręgu *„michnikowszczyzny”* (UD, UW, SLD, PSL) terroryzowały społeczeństwo narracją prolewicową tudzież kontrlustracyjną, nie wahając się imać ekstremalnych środków, jak choćby nocne obalenie rządu Jana Olszewskiego. Patronem wszystkich tych manipulacji i krętactw był rabbi z ulicy Czerskiej.

Przyjacielskie stosunki pomiędzy Michnikiem a Kiszczakiem i Jaruzelskim obserwowały miliony telewidzów, gdyż *„Adaś”* brał udział w różnych telewizyjnych programach z obydwoma generałami, nazywając ich *„ludźmi honoru”*, kadząc, gloryfikując, dopieszczając i broniąc przed *„niesprawiedliwymi atakami”* z kręgów *„tępego zoologicznego antykomunizmu”*, czyli czerni patriotycznej. Symbolem stało się jego publiczne warknięcie: *„ — Odpier… cie się od generała!...”*. Znany wówczas komentator, Lech Dymarski, rzekł: *„Michnik zerwał wiele przyjaźni lub z nim zerwano, odmawiając po prostu wpuszczenia do domu. Lukę tę snadnie wypełnił p.p. Jaruzelskim i Kiszczakiem. Są na «ty», lubią się, rozumieją, i ten stan rzeczy demonstrują w telewizji”*. Ja opublikowałem duży, piętnujący imperium medialne Michnika artykuł z Orwellowskim tytułem **„Ministerstwo Prawdy”** (**„Tygodnik Solidarność”** 20–V–1994), pisząc: *„Czuję do Michnika i do jego stachanowszczyzny pogardę i obrzydzenie. Cóż bowiem innego jak wstręt można czuć wobec byłego «dysydenta», który pije z Kiszczakiem i Jaruzelskim, deprawując Polaków apologią relatywizmu moralnego? (...) Michnik robi Polakom wodę z mózgu, to przejdzie do annałów głupoty zbiorowej”*. Reakcją na takie moje prasowe publikacje i na książki, w których batożyłem Michnika (nie tylko eseistyczne, również beletrystyczne, jak **„Dobry”** czy **„Najlepszy”**), stała się fala kalumnii wymierzanych we mnie przez **„Gazetę Wyborczą”** (że moje pisarstwo *„ma poziom froterki”*, itp.) oraz jej akolitów (exemplum **„Wprost”**, które informowało publikę, że dawna *„magiczna sprawność pióra Łysiaka, czyniąca go mistrzem”* minęła, przemieniając się w kontrMichnikowskie grafomaństwo). Wskutek tej nagonki utraciłem stanowisko wykładowcy — zostałem relegowany z Wydziału Architektury PW, mimo gwałtownego protestu studenterii, jak również protestów słanych do władz przez rozmaite patriotyczne plus katolickie organizacje i stowarzyszenia.

Było wielu ganiących Michnikową nikczemność, niektórzy płacili za to dużo wyższą cenę niż ja. Zbigniew Herbert, głoszący: *„ — Michnik jest manipulatorem. To człowiek złej woli, kłamca, oszust intelektualny”* — zapłacił utratą szans na Nagrodę Nobla, która mu się należała ewidentnie. A kto Michnika chwalił za lewarowanie zgniłego systemu? Salonowcy oraz dawni esbecy. Pewien major SB, charakteryzowany przez swe ofiary jako szczególnie bestialski oprawca, publicznie dytyrambował faraona **„GW”**: *„ — Cóż za wspaniały, mądry człowiek!”*. Tę samą opinię lansowali bez ustanku Jaruzelski i Kiszczak. Zofia Jaszcza: *„Kiszczak w nadanym ostatnio przez TVP programie tak Michnikowi kadził, tak kadził, że ciarki szły po plecach”*. Michnik rewanżował się deklarując, iż będzie bronił generała *„jak niepodległości”* (sic!). Drugiego generała bronił nie mniej żarliwie, m.in. publikując dęte sondaże, według których większość Polaków *„uważa Wojciecha Jaruzelskiego za bohatera narodowego”*. Jedni patrioci twierdzili, że wszystko to dlatego, iż brat Michnika, por. Stefan Michnik, był stalinowskim sędzią–katem, zaś ojciec, Ozjasz Szechter, sowieckim agentem w przedwojennej Polsce, inni (Dymarski, Herling–Grudziński) doszukiwali się przyczyn psychiatrycznych (paranoi, etc.), zaś lud powtarzał sobie dialog Jasia z nauczycielką:

— Proszę pani, czy pan Michnik jest zegarmistrzem?

— Ależ nie, Jasiu, pan Michnik jest autorytetem. Skąd ci się wziął pomysł o zegarmistrzu?!

— Bo mój tata mówił wczoraj mamie, że pan Michnik jeździ do Moskwy po wskazówki.

Wzięcie się przez PiS za WRON–owców to jasna wskazówka, że pan Michnik już nie kręci Rzecząpospolitą. ©℗

Waldemar Łysiak

akwarela E. Barańskiej–Jamrozik

Cień generałów

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl fd2222a256

NIEZAPOMNIANY KONCERT

16 MARCA
WROCŁAW
GODZINA 20.00

Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

ORAZ

ORKIESTRA NFM FILHARMONII WROCŁAWSKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

BILETY DO NABYCIA | W kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11:00–18:00

REZERWACJA BILETÓW | Rezerwacji biletów można dokonać telefonicznie od poniedziałku do piątku w godzinach 9:00–17:00 oraz w soboty w godzinach 15:00–20:30 pod numerem telefonu: +48 71 715 97 00. Rezerwacji można dokonać także e-mailowo pod adresem: rezerwacje@nfm.wroclaw.pl.

REZERWACJA ONLINE
WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL

NARODOWE FORUM MUZYKI PLAC WOLNOŚCI 1, WROCŁAW

MECENAT KONCERTU

WSPÓŁORGANIZATOR

PARTNERZY

PATRONI MEDIALNI

eprasa.pl fd2222a256